

RAFAŁ DĘBSKI

ŻELAZNY KRUK

SZALONY
MAG



Żelazny Kruk Rafała Dębskiego idealnie łączy w sobie elementy, które gwarantują niezapomnianą przygodę.

Adam Gotan Kmiecik,
efantastyka.pl



RAFAŁ DĘBSKI

ŻELAZNY KROK

KSIĘGA II

SZALONY MAG



Redakcja: Dominika Repeczko
Korekta: Renata Kuk
Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright © Rafał Dębski 2019
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Projekt okładki i mapy © Piotr Sokołowski, Warszawa 2019

ISBN 978-83-7686-804-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1. Więzień

Rozdział 2. Ucieczka

Rozdział 3. W cuchnącym lochu

Rozdział 4. Kaprysy księcia Leonora

Rozdział 5. Niespodziewani towarzysze podróży

Rozdział 6. Mistrz małodobry

Rozdział 7. Chwila oddechu

Rozdział 8. Lasy Kerenu

Rozdział 9. Zagubiona duszyczka

Rozdział 10. Spadek po Przodkach

Rozdział 11. Granica Malbarii

Rozdział 12. Zielony dom

Rozdział 13. Droin Mądry

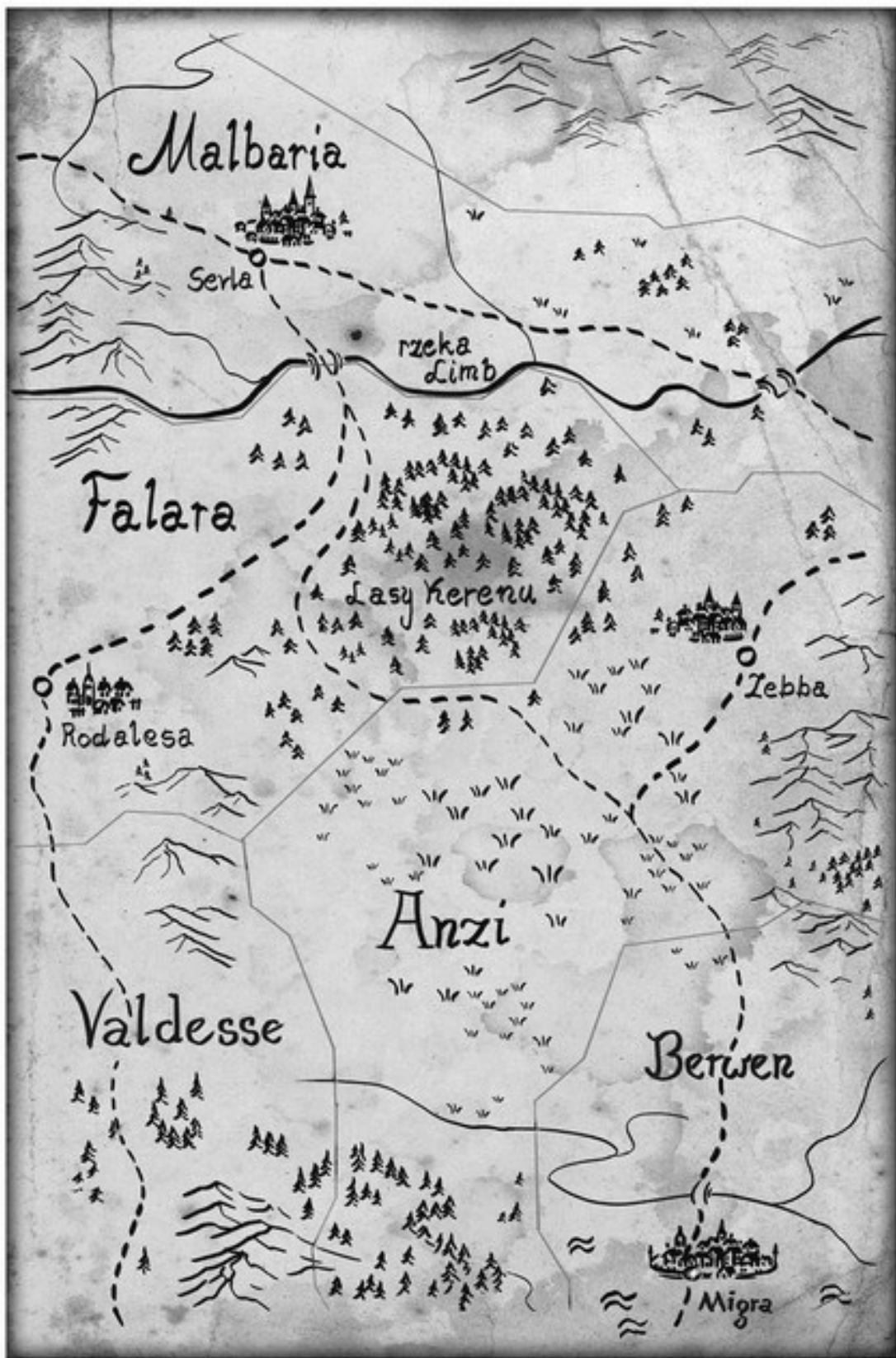
Rozdział 14. Rovilla czy Cellara?

Rozdział 15. Ponura kraina

Rozdział 16. Strachy w ciemności

Rozdział 17. Bure światło

Rozdział 18. Szalony Mag



Rozdział 1

Więzień



Evah miał już wszystkiego dość. Nigdy dotąd nie spędził w zamknięciu choćby kilku dni. Co więcej – nigdy dotąd nie spędził ani jednego! W jego wsi kowal, młynarz i wielu innych ojców miało zwyczaj karcić chłopców, zamykając ich w komórce czy stodółce na jakiś czas, to zależało od przewinienia. Syn bednarza siedział kiedyś cały tydzień o chlebie i wodzie, ale nikt się temu wielce nie dziwił, bo zepsuł ojcu cztery beczki, próbując ustawić z nich wieżę.

Oczywiście, nie robił tego sam, tylko z pomocą innych urwisów, Evaha zresztą też. Na nic zdały się próśby matki i łzy siostry, żeby skrócić mu karę. Bednarz był nieugięty. Inni chłopcy też odebrali kary, ale siedzieli w zamknięciu o wiele krócej, a Evahowi ojciec zamiast ciemnicy wymyślił uciążliwą pracę.

– Człowiek, jak się go trzyma w lochu, to zaczyna się psuć – mówił. – Lepiej niech zrobi coś pożytecznego, niż marnuje czas na rozmyślanie o niczym. Więzienie jest dla prawdziwych zbrodniarzy, a nie byle chłystków, co nabroją tylko z głupoty.

Prawdę mówiąc, Evah chyba by wówczas wolał jednak posiedzieć w szopie, bo przekładanie i sprawdzanie futer, wrywanie chwastów na nowo nabytym przez rodziców poletku i spulchnianie ziemi okazało się zajęciem tyleż męczącym, co potwornie nudnym.

Teraz jednak myślał z utęsknieniem o tamtej karze. Jego cela nie była może wilgotna i cuchnąca, jak to bywało podobno w miejskich więzieniach czy aresztach, ale była to jednak

cela. Na szczęście nie znajdowała się w podziemiach, ale na wysokim drugim piętrze zamkowej wieży, więc chłopiec miał przynajmniej widok na okolicę, a przede wszystkim rzekę i las po drugiej stronie.

Jednak ileż można patrzeć na jedno i to samo? Ani pod lasem, ani przy rzece nic się nie działo. Za to Evahowi za każdym razem, gdy patrzył na zielen drzew, przypominał się zdradziecki pustelnik i chłopiec aż zgrzytał zębami. Zaufał temu człowiekowi, a on go zdradził! To, że owa zdrada poniekąd uratowała im wszystkim życie, stanowiło mało pocieszającą okoliczność. Tyle dobrze, że Grzywa zdołał się wyrwać w zamieszaniu. Co z nim? Może już go dopadli siepacze cechu złodziejskiego? Na samą myśl o tym, co by mu uczynili, Evaha przechodził dreszcz.

Wrócił myślami do kolegów, którzy odbywali karę w szopach i komórkach. Wiedział już doskonale, co czuli, nie mogąc się nigdzie ruszyć, skazani na bezczynność i skąpe zazwyczaj pożywienie.

Jednak zdawał też sobie sprawę, że jemu jest jeszcze gorzej. Oni wiedzieli, że zostaną niebawem wypuszczeni, ojciec najwyżej jeszcze przeciągnie rzemieniem w miejscu, gdzie kończą się plecy, a zaczyna część ciała zwana o wiele mniej honorowo, ale potem wszystko wróci w stare koleiny. On siedział zaś w celi i nie miał pojęcia, kiedy z niej wyjdzie ani czy w ogóle to nastąpi. Kapitan wprawdzie zapowiedział, że księżę zechce rozmawiać z chłopcem, ale zamiast przed oblicze księcia del Berwena, zaprowadził go do tego pomieszczenia.

Evah nie widział od tamtego czasu nikogo poza przynoszącymi mu posiłki strażnikami, ale oni nie byli zbyt rozmowni. Jeden pogroził nawet pięścią, kiedy chłopiec zaczął go wypytywać o audiencję u księcia.

– Nie twoja sprawa, szczeniaku! – warknął. – Jak jaśnie pan zechce, to cię zobaczy. A czy zechce, to się okaże, kiedy wróci.

Chłopiec dowiedział się przynajmniej, że księcia na razie w Migrze nie ma. Ale na pytanie, kiedy zjedzie do zamku, strażnik nie raczył już odpowiedzieć. Wskazał tylko znaczącym spojrzeniem miskę i wyszedł.

Dzień mijał za dniem. Chłopiec naliczył ich już sześć i zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie rzucić się na strażnika przy następnej okazji i nie uciec z więzienia. Zdawał sobie jednak sprawę, że nawet jeśli zaskoczy silnego mężczyznę i pozbawi go przytomności, droga na zewnątrz wiedzie przez liczne korytarze, których rozkładu przecież nie znał, a zbrojni zbiegną się od razu, kiedy do nich dotrze, że więzień ucieka. Siedział więc na twardej pryczy i gapił się w niewielkie okno. Solidna krata dzieliła niebo na sześć części. Evah bawił się, wyobrażając sobie, że w każdej z nich jest wejście do innego świata, a obłoki przesłaniające błękit nieba to przewodnicy, którzy mogą przeprowadzić podróżnego z jednej krainy do drugiej.

Najgorsze były noce. Evah długo nie mógł zasnąć. A ponieważ nikt go nie budził

wczesnym rankiem, bo jeść dostawał dopiero po południu, wysypiał się w dzień aż nadto. W ciemności opanowywały go złe myśli i poczucie beznadziei. Wyrzucał sobie w tych chwilach, że tak pochopnie podjął decyzję o wyprawie w poszukiwaniu gniazda Żelaznego Kruka. Jak chciał sobie poradzić z potworem? Przecież wystarczyło zamknąć wielkiego śmiałka w wieży, aby stał się całkiem bezradny.

Wspominał też przysięgę złożoną na grobie ojca. Przez pewien czas tylko ona i zapiekła nienawiść pchały go do przodu, chociaż w miarę narastania przeciwności losu zaczynał nieco wątpić w powodzenie przedsięwzięcia. Lecz jeśli dał słowo, musiał go dotrzymać, nawet za cenę życia. Tylko że w miarę upływu czasu, w miarę jak minął pierwszy żal i pierwszy gniew, zaczął to widzieć nieco inaczej. Nie o samą zemstę już chodziło. Po rozmowach z mądrymi ludźmi spojrzął na sprawy z innej strony. Zupełnie jakby zdrapał nieco łuszczącej się farby ze starego mebla i dostrzegł pod nią następną, o wiele ciekawszą i bardziej trwałą. Pragnął już nie tylko dokonać zemsty, ale uwolnić wszystkich od straszego stwora. Jeśli nie chcieli albo nie mogli tego zrobić książęta, hrabiowie i baronowie, jeśli nie zajmował się Żelaznym Krukiem nawet sam cesarz, ktoś w końcu powinien stanąć do walki.

Jak dotąd, chłopiec nie słyszał o nikim, kto by się zdecydował na próbę zgładzenia poczwary, kto by stanął do walki z jej siepaczami. Niektórzy zdawali się wątpić w istnienie Żelaznego Kruka, a inni bali się o nim w ogóle rozmawiać. Jednak Evah wiedział przecież doskonale, że potwór istnieje.

Za oknem przesunęła się większa i ciemniejsza od innych chmura, a do dusznej celi wpadł powiew chłodniejszego powietrza. Czyżby miało się na deszcz? Rzeczywiście, od zachodu nadciągała ławica napęczniałych wodą obłoków, a po chwili Evah dostrzegł pierwsze krople. Wycięcie pozostawione na otwór w murze było wąskie, krata oddalona o dobre trzy łokcie, bo taką grubość miały ściany warownej wieży, w dodatku cały prostokątny otwór zwęzał się dość mocno, ale chłopiec był na tyle drobnej budowy, że kiedy podskoczył i zdołał już chwycić żelazną sztabę, dał radę podciągnąć się do samego okna.

Wystawił rękę i poczuł ciepłą wilgoć. Potem spadła następna kropla i następna... Były coraz chłodniejsze i biły coraz mocniej. Chłonał to doznanie z przyjemnością. Nigdy by nie powiedział, że zwykły deszcz może sprawić tyle radości. Ulotnej wprawdzie, wręcz śmiesznej, ale właśnie radości. Zupełnie jakby ta odrobina wody na dłoni i przedramieniu splukiwała jakiś brudny osad z duszy.

Nagle drgnął. Na skraju lasu po drugiej stronie rzeki dostrzegł ruch. Przez strugi wody niewiele mógł dostrzec, świat był zamazany, ale jakaś jasna plama wysunęła się spomiędzy drzew, tkwiła przez dłuższą chwilę w miejscu, a potem przesunęła się w prawo i znikła.

Evah westchnął ciężko. Przypomniał mu się Kellan ze swoją jasną czupryną.

– Gdzie jesteś, przyjacielu? – mruknął pod nosem. – Mam nadzieję, że bezpieczny i daleko stąd. Pomodłę się dzisiaj za ciebie do boga strwożonych i szukających ratunku. Za

siebie zresztą też się pomodłę, to nigdy nie zaszkodzi.



Noc spłynęła na świat razem z deszczem. Rozpadało się bardzo mocno, ale po jakimś czasie chmury się rozwiały i zza widnokregu wychynał wąski sierp księżyca. Evah oczywiście nie spał. Wprawdzie po zapadnięciu ciemności jednostajny szum kropel sprawił, że zapadł w płytką drzemkę, ale chłopiec zbudził się, kiedy deszcz ucichł.

Postanowił, że nazajutrz wstanie jak najwcześniej, nie będzie dosypiał, jak to mu już weszło w nawyk.

Światła w celi nie miał, strażnicy nie przynosili ani kaganka, ani ogarka świecy, ani nawet kopącego łuczywa. „Noc jest od spania” – burknął jeden z nich, kiedy chłopiec upomniał się o jakiś ogień, który by rozświetlił chociaż odrobinę ciemności. Dzisiaj przynajmniej zaświecił skąpo księżyc, ale w poprzednie noce było całkiem ciemno, bo znajdował się w nowiu.

Evah podszedł do wycięcia w murze, na końcu którego osadzono kratę i spojrzał w niebo. Gwiazdy świeciły jasno, jak zawsze o tej porze roku, a ich większy brat skradał się, by złośliwie przesłaniać je swoim blaskiem. Chociaż tłumiał gwiazdy nie tylko samym światłem. Evah już dawno zauważył, że w miarę jak sierp przesuwają się po niebie, nie tylko sam przesłania gwiazdy, ale znikają one również w pewnym oddaleniu od niego, zawsze z tej samej strony, tej wklęsłej. Zupełnie jakby pchał przed sobą jakąś kulę albo ciągnął ją z tyłu, zależnie od tego, w jakiej znajdował się fazie. Nikt nie potrafił mu tego wyjaśnić, nawet ojciec. Nikt z dorosłych nie poświęcał tej kwestii większej uwagi.

– Tak jest już urządzony świat – usłyszał odpowiedź od wędrownego kapłana. – Widać księżyc, zanim całkowicie dojrzeje, musi ukraść światło gwiazdom.

– To bym rozumiał, kiedy rośnie – zaprotestował chłopiec. – Ale tak się dzieje także wówczas, gdy po pełni traci krągłość. A zatem traci również blask.

– Bo wówczas nadal kradnie światło gwiazdom. Tylko że mocą wyroku bogów i tak musi zniknąć na czas nowiu, by odpokutować uczynioną krzywdę – odparł zniecierpliwiony mnich. – Płynie stąd nauka, że złodziejstwo musi zostać ukarane w ten czy inny sposób. Nie na darmo cech złodziejski ma w herbie sierp księżyca. Nawet zagorzali złoczyńcy muszą o tym zawsze pamiętać.

Evaha ta odpowiedź nie zadowalała, ale innej nie znał. Postanowił, że jeśli wyjdzie z tego więzienia, zapyta o tę kwestię kogoś tak mądrego, jak kapłan ze świątyni boga podróźnych w Salmarze.

Ach, Salmara... Nagle zatęsknił za pełnym ludzi i najrozmaitszych zapachów miastem. Co prawda ludzie zazwyczaj byli tam mało przyjemni, podobnie zresztą jak zapachy na

ulicach, ale panował ruch, coś się działo, można było spędzić cały dzień, tylko patrząc na krzątanie. Już chyba by wolał uciekać przed niebezpieczeństwem, niż tak siedzieć beczynnie i czekać nie wiadomo na co.

Nagle drgnął. Na zewnątrz rozległo się ciche stuknięcie, gdzieś niedaleko okna. Nie potrafił określić dokładnie kierunku, ale na pewno było to uderzenie w mur. Czy to możliwe, żeby jakiś nieostrożny nietoperz zderzył się ze ścianą? Nie, na pewno nie. To byłoby raczej miękkie plaśnięcie, a poza tym nocni łowcy nigdy nie wpadali na przeszkody, chyba że zostali celowo zmyleni przez człowieka. Chłopcy z wioski łapali czasem nietoperze, rzucając w górę jakiś niewielki przedmiot, a potem miękki kapelusz albo duży берет. Zwierzątko uznawało, że kawałek patyka to łup i skręcało w jego stronę. Jeśli rzut kapeluszem był wystarczająco dokładny, nietoperz wpadał w materiał i wraz z nim lądował na ziemi lub prosto w rękach psotnika.

Evah nigdy nie brał udziału w takich zabawach. Nie żeby go do nich nie ciągnęło, ale ojciec stanowczo mu zapowiedział, że jeśli przyłapie go na czymś podobnym, kara będzie sroga.

– To bardzo pożyteczne istoty – mówił. – Bez nich o wiele bardziej dokuczałyby nam komary i inne przykre owady, a nawet myszy i nornice, bo nietoperze potrafią mocno je przetrzebić. U nas nietoperze są najczęściej dość małe, tym bardziej wstyd zabawiać się ich kosztem, bo taki maluch przecież się nie obroni. Szanuj nietoperze, synu, chociaż ludzie nader często źle o nich mówią. Ale ludzie źle mówią o wielu rzeczach, których nie znają lub wydają im się zanadto tajemnicze.

Drugie stuknięcie wtargnęło w rozmyślenia Evaha o wiele mocniej, zwróciło jego uwagę. Z całą pewnością tak uderza kamień o kamień. Chłopiec przysunął się jeszcze bliżej okna. Już zamierzał podskoczyć i popęznąć ku kracie, kiedy coś z impetem uderzyło go w głowę.

– Auć! – zawołał i natychmiast zakrył usta dłonią.

Odsunął się od okna w samą porę, bo do celi wpadł jeszcze jeden kamień, w dodatku nieco większy. Chłopiec zastanowił się, co zrobić. Ktoś mu dawał znaki. Pierwsze, o czym Evah pomyślał, to dostać się do okna i pomachać temu komuś na dole. W świetle księżyca ten ktoś to zauważy. Ale co, jeśli tamten znów rzuci kamień? I to jeszcze większy?

Po chwili namysłu Evah podjął z podłogi kamień i odrzucił go, celując w przestrzeń między sztabami krat. Przedmiot odbił się od spojenia i wrócił. Evah burknął pod nosem coś o własnym zezie i spróbował jeszcze raz. Tym razem kamień poleciał łukiem na dół. Później następnym na znak, że to nie był przypadek.

Chłopiec odczekał chwilę, a potem znalazł się przy oknie. Na dole zobaczył... jasną plamę! Tak mogły lśnić tylko włosy Grzywy.

– Co tutaj robisz? – zawołał cichym głosem.

– Nie wrzeszcz! – dotarł do niego wysilony szept. – Odsuń się i czekaj.

Evah z radosnym drzeniem serca zsunął się z powrotem do celi. Grzywa! Na bogów,

Przodków i Przedwiecznych! Nie uciekł, nie zostawił towarzysza na pastwę losu! Ale co też on wymyślił?

Po chwili się wyjaśniło. Znow coś stuknęło o mur, potem zadzwoniło cicho o kratę, aż wreszcie wpadło do środka i zatrzymało się tuż przy żelaznych prętach. Evah sięgnął, macał przez moment, aż dotknął sporego kamienia. Poruszył go. W skąpym świetle księżyca, który właśnie zajrzał prosto w okno, zobaczył, że kamień jest obwiązany mocną, grubą nicią. Nie nicią, raczej dratwą.

A zatem tak chciał to rozegrać sprytny złodziejaszek!

Chłopiec uśmiechnął się, zaczął ciągnąć nić i związać wokół kamienia. Szło łatwo, ale czuł pewien opór. Domyślał się, że do dratwy dowiązано grubszy sznurek. Nie mylił się. Niebawem dostrzegł, jak plecionka z jasnych włókien pełźnie po gładkim kamieniu. Chwytał ją i pociągnął mocno. Lina, dowiązana do sznurka, okazała się dość ciężka, coraz cięższa, w miarę jak ją podciągał. Wreszcie znalazła się w środku. Jakies trzy łokcie były wolne, ale dalej co kawałek Grzywa zawiązał supeł, żeby ułatwić sobie wspinaczkę. Evah dostrzegł też dowiązaną do liny pętlę nad drugim węzłem, ale nie miał czasu zastanawiać się nad jej przeznaczeniem.

Rozejrzał się odruchowo, chociaż doskonale przecież wiedział, że nie ma jej do czego przywiązać. W celi było bardzo ciemno, poświata wypełniała okno, ale w tej fazie księżyca była zbyt marna, aby rozświetlić pomieszczenie. Pomyślał o pryczy, ale przesuwalaby się pod ciężarem wspinającego się Grzywy i narobiła hałasu. A gdyby na niej usiadł, nie mógłby wspiąć się do kraty.

Wreszcie wspiął się do okiennej niszy, zawiązał linę wokół kraty jak mógł najsolidniej i szarpnął trzy razy. Po chwili gruby sznur napiął się i zaczął rytmicznie drgać. Do ziemi było jakieś trzydzieści stóp, czyli mniej więcej wysokość pięciu roślących mężczyzn. Niby nie aż tak wiele, ale dość, żeby się porządnie zmęczyć przy wspinaczce. I żeby upadek okazał się fatalny w skutkach.

W pewnej chwili lina przestała drgać. Evah domyślił się, że Grzywa musi odpocząć. Kellan był zwinny i sprytny, ale siły za wiele nie miał. W dotychczasowym życiu nie była mu potrzebna.

Wreszcie chłopiec usłyszał ciężkie dyszenie i w oknie pojawiła się lśniąca w poświacie głowa złodziejaszka.

– Myślałem, że nie dam rady – wysapał, kiedy jego twarz znalazła się na wysokości oczu Evaha. – Mur jeszcze mokry, nie ma się jak zaprzeć, musiałem leżeć po samych węzłach.

– Ależ miło cię widzieć! – Syn myśliwego wysunął ręce przez kraty, żeby przytrzymać przyjaciela.

– Zostaw! – syknął Kellan. – Poczekaj, tylko wsadzę nogę w pętlę...

Evah zrozumiał, po co Grzywa ją zawiązał przy górnym kawałku liny; teraz włożył w nią stopę i dzięki temu mógł stanąć względnie wygodnie. Tyle że jego głowa zjechała nieco

nizej, patrzył więc na więźnia z dołu.

– Dobrze, żeś wystawił dzisiaj łapkę z okna – rzekł Kellan. – Bo zacząłem myśleć, że cię wsadzili gdzieś do piwnic albo masz widok na zamkowe stajnie, tam wewnątrz. Ponoć wszystkie okna cel w tej wieży wychodzą właśnie na tę stronę, ale kto tam może coś powiedzieć na pewno.

– Skąd to wiesz? – spytał Evah.

– Skąd wiem, to wiem – burknął Kellan. – Od tego mam uszy, żeby słuchać, co ludzie mówią i patrzeć, żeby odgadnąć ważne sprawy, o których nie mówią. Nie ma czasu na gadanie i wyjaśnianie. Trzymaj...

Puścił jedną ręką kratę, której się przytrzymał, zsunął z ramienia nieduży worek i podał go Evahowi.

– Co tam jest? – spytał więzień. Wyczuwał jakieś twarde przedmioty.

– Pilniki – odparł Grzywa. – A co niby można dać więźniowi, żeby się uwolnił? Kwiaty?

Evah przełknął ślinę. Właśnie pojawiała się szansa na opuszczenie tego przeklętego miejsca. Musieli tylko szybko wyjaśnić sobie pewne szczegóły.

Rozdział 2

Ucieczka



O d czasu odwiedzin Kellana Evah czuł się o wiele lepiej, a przecież jeszcze niedawno wydawało mu się, że potrafi czuć tylko beznadzieję i pustkę w duszy. Zupełnie minęła apatyczna rezygnacja, jakiej poddawał się, czekając w celi na powrót pana na Berwen. Jego powrót albo też całkiem nie wiadomo na co, bo del Berwen, zwany Leonorem Porządnym, mógł trzymać go w celi, ile tylko zapragnął. Co więcej, mógł nawet zupełnie zapomnieć o niewiele znaczącym więźniu.

Ale teraz chłopiec zyskał cel i możliwość, żeby go osiągnąć, a przede wszystkim życiodajną nadzieję. W worku znajdowały się trzy świetnej roboty pilniki. Oczywiście, Evah zapytał Grzywy, jak je zdobył, a ten odparł sucho:

– Ukradłem, a niby skąd miałem wziąć? Nie mam pieniędzy. A co, nie weźmiesz ich, bo kradzione?

Evah skrzywił się. Miał do wyboru albo zrezygnować z ratunku, albo pogodzić się z tym, że skorzysta z owoców przestępstwa.

– Dobrze, niech będzie – mruknął. – Ale po wszystkim je oddamy.

Grzywa tylko westchnął ciężko.

– Jedzenie też musiałem dla siebie z początku kraść, jeśli chcesz wiedzieć. Nikt mi nie przynosi każdego dnia chleba i wody, że o czymś lepszym nawet nie wspomnę. I pewnie dalej bym kradł, gdyby nie... – Urwał, a potem powiedział: – Nieważne. Nie ma czasu na

gadanie, bo jeszcze mnie ktoś zobaczy.

Evah chciał jeszcze o coś zapytać, ale Kellan nie dał mu dojść do słowa.

– Jak będziesz gotowy, daj znak.

– Jaki znak? – zdziwił się Evah. – Mam pomachać przez okno? Jak uwięziona królowna?

– Głupek – zachnął się Kellan. – Czy ja wyglądam na jakiegoś zidiociałego rycerza? Noc przed ucieczką wyrzucisz to, co znajdziesz jeszcze w worku poza pilnikami. Wtedy będę wiedział. A następnej nocy spuścisz sznurek, żebym mógł dowiązać linę.

Rzeczywiście, na dnie uszytego z grubej tkaniny worka znajdowało się kilka kamyków oznaczonych czerwoną kropką.

Evah wziął się do pracy jeszcze tej samej nocy. Nie mógł oczywiście działać w dzień, bo ktoś mógłby zobaczyć podejrzany ruch w oknie, a nocą trzeba było piłować bardzo ostrożnie, żeby nie robić hałasu, więc praca zapowiadała się na długą i nużącą. Ale przynajmniej coś mógł wreszcie robić!

Kiedy Grzywa zszedł na dół, Evah odwiązał i zrzucił linę. Kusilo go, żeby ją zatrzymać, ale Kellan stanowczo się sprzeciwił i miał rację. Strażnicy mogli przeoczyć ukryte pod siennikiem pilniki czy zwinięty cienki sznurek, ale wielki kłęb liny od razu rzucałby się w oczy. A pod pryczą umieścić liny nie mógł, bo legowisko było bardzo niskie, właściwie deski leżały wprost na posadzce. Ciągnęło między szparami i Evahowi chłód doskwierał nawet przez niezbyt gruby siennik. Chłopak zadrzał na myśl, jak musiało być tutaj nieprzyjemnie w zimie.

Teraz jednak zapomniał o wszelkich niedogodnościach. Martwiło go tylko jedno – jak umocować linę, kiedy przyjdzie do ucieczki. Początkowo chciał zostawić kawałek kraty u dołu okna, żeby na niej zrobić węzeł, ale zdał sobie sprawę, że wówczas może nie dać rady się precyzyjnie przycisnąć. Żeby lina nie zsunęła się z żelaznej sztaby, musiałby jej zostawić co najmniej na dwie dłonie, a to było stanowczo zbyt wiele. Dla pokonania ciasnego otworu trzeba było urznąć wszystko, i to przy samym murze.

Praca szła powoli, ale każdej nocy nacięcia stawały się coraz głębsze. W pewnej chwili zaczęło to niepokoić chłopca. Gdyby któryś strażnik podszedł do okna, zauważyłby, że coś jest nie w porządku, dostrzegłby szpary w żelazie. Evah nie miał jednak możliwości porządnie zamaskować rezultatów pracy. Zbierał tylko kurz i naniesioną wiatrem ziemię, żeby wcierać ją w lśniące rowki. W ten sposób mniej rzucały się w oczy.

Na szczęście strażnicy nie byli zanadto ciekawscy. Raz dziennie przynosili mu strawę, zabierali wiadro z nieczystościami i stawiali puste. Później pospiesznie wychodzili z celi. Evah domyślał się dlaczego. Nie mył się od dawna, więc zapach w pomieszczeniu unosił się na pewno nieszczególny. Tymczasem jego nadzorcy nie byli strażnikami więziennymi zaprawionymi w starciu z takimi woniami, tylko zwykłymi żołnierzami, którym kazano pełnić wartę przy osadzonym. Przynajmniej tak się Evahowi zdawało.

Wreszcie nadeszła noc, kiedy wystarczyło wykonać po kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt

ruchów pilnikiem w paru miejscach, żeby wreszcie wyjąć żelazne pręty. Wyrzucił więc kamyki i przepiłował do końca cztery z sześciu mocowań kraty. Z żalem pomyślał, że okradziony rzemieślnik i tak nie miałby wielkiej pociechy z całkowicie zużytych narzędzi, nawet gdyby mu je zwrócili. Dlatego postanowił nie obciążać się nimi w drodze na dół. Trudno, może kiedyś zdoła wynagrodzić temu człowiekowi stratę. Jeśli oczywiście nie skreśli gdzieś przedtem karku.

Miał nadzieję, że Grzywa nie przepadł przez ostatni tydzień, bo aż tyle zajęło Evahowi piłowanie kraty...

Następnego dnia przyszedł strażnik, którego Evah jeszcze dotąd nie widział. Przyjrzawszy mu się uważnie, stwierdził, że to nie może być zwykły żołnierz. Wprawdzie nosił mundur identyczny, jak ci, którzy zaglądali do celi wcześniej, ale uszyty z lepszego sukna i na patkach kołnierza miał naszyte niewielkie, czerwone kwadraty.

– A więc to ty – mruknął, przyglądając się chłopcu. – Kapitan mówił, że wyglądasz niepozornie, ale sporo umiesz. W każdym razie nieźle się bijesz.

Evah nie odpowiedział, bo nie było to pytanie, a poza tym nie bardzo wiedział, co miałby rzec. Przybyły skinął z zadowoleniem głową.

– I nie strzepisz języka na próżno. Dobrze. Jutro albo pojutrze staniesz przed obliczem księcia. Dobrze ci radzę, nie bądź krnąbrny ani bezczelny, odpowiadaj na pytania wyczerpująco i pamiętaj, że nasz pan jest bardzo bystrym człowiekiem. Byle czym nie da się zwieść.

Kiedy mężczyzna wyszedł, Evah odetchnął z ulgą. Dobrze, że ucieknie już tej nocy. Uniknie przykrego spotkania i zapewne jakiejś kary czy nawet dalszego zamknięcia. Tego ostatniego już by nie zniósł. Nie bardzo wprawdzie wiedział, za co księżę miałby go skazać, ale nieraz słyszał, że łaska pańska jeździ na pstrym koniu i nigdy nie wiadomo, co takiemu władcy przyjdzie do głowy. A Evah przecież był nikim, nie miał żadnych możliwych krewnych, nikt by się o niego nie upomniał. Co będzie, jeśli Leonor del Berwen zechce uczynić zeń niewolnika?

Rozmyślenia przerwało mu zgrzytnięcie zamka. Tym razem przyszedł zwyczajny strażnik z jedzeniem i czystym wiadrem. Spojrzał na chłopca, a Evahowi zdawało się, że pokręcił głową, jakoś tak smutno, współczująco. Ale kiedy spojrzał mężczyźnie w oczy, zobaczył w nich zwykły chłód.

Na cynowej tacy, którą strażnik postawił na podłodze, Evah znalazł kawałek chleba, nieco owczego sera i dzban z wodą. Odkąd zaczął pracować nocami, pochłaniał łączywie wszystko, co otrzymywał, ale dzisiaj nie czuł głodu. Czy sprawiła to rozmowa z niepokojącym człowiekiem? A może podniecenie planowaną ucieczką? Lub też jedno i drugie?

Nie wiedział, z jakiej przyczyny brak mu apetytu, ale zdawał sobie sprawę, że powinien coś wrzucić do brzucha, żeby nie zasłabnąć z wysiłku, bo przecież jeszcze tej samej nocy

będą musieli z Grzywą odejść bardzo daleko, zbliżyć się jak najbardziej do granicy księstwa. Za nią nikt już nie będzie mógł ich ścigać. A w każdym razie nie będzie mógł tego zrobić tutejszy władca.

Dlatego chłopiec usiadł na pryczy i zaczął mozolnie żuć chleb i twarde ser. W innych okolicznościach uznałby, że całkiem dobrze mu się trafiło z treściwym posiłkiem, lecz nie dzisiaj. Dzisiaj czuł, jak każdy kęs przeciska się przez gardło, a zimna woda drapie podniebienie. Nigdy dotąd nie czekał tak bardzo na nadejście nocy.

Zjadł tylko połowę, chociaż przez ostatnie dni nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przynoszono mu podwójne porcje. Patrzył przez chwilę na ser i chleb, aż wreszcie owinął je szmatką, którą Grzywa zabezpieczył pilniki, aby nie dzwoniły i schował jedzenie do worka. Przyda się na drogę.

Położył się na pryczy i zamknął oczy. Powinien chociaż trochę pospać, bo potem nie będzie na to czasu.



Noc zwlekała z nadejściem. Mrok zdawał się to nadpływać, to znów cofać, a czas włókł się niemiłosiernie. Evah miał wrażenie, że bóg chaosu i przeznaczenia uwziął się na niego. Jedni powiadali, że jest on znienawidzony nie tylko przez ludzi, ale też inne bóstwa właśnie z powodu swojej złośliwości. Inni zaś twierdzili, jakoby po prostu był roztargniony i mało bystry, dlatego nie umiał zapanować nad powierzonymi mu sprawami, a kiedy starał się to zrobić za wszelką cenę i bardzo porządnie, wprowadzał jeszcze większe zamieszanie i denerwował świat na rozmaite sposoby, w tym zanadto rozciągając bądź kurcząc czas. Czyżby teraz nastąpiło właśnie coś podobnego?

Evah potrząsnął głową i zaniósł modlitwę do wspomnianego patrona:

– Rotanie, władco tego, co najbardziej nieuchwytne, cofnij swoje wyroki, pozwól mi doczekać upragnionej godziny. Jeśli to ty wydłużasz czas wbrew woli swej siostry Zamany, jego bogini, błagam cię, zaniechaj mnie.

Oczywiście chłopiec zdawał sobie sprawę, że to jego własna niecierpliwość sprawia, iż popołudnie i wieczór tak bardzo się ciągną, ale modlitwa zdawała się nieco pomagać, a poza tym mógł zająć myśli, składając słowa. Nie istniała żadna gotowa formułka, którą można by próbować wpłynąć na Rotana. Bóg chaosu z pewnością nie życzył sobie uporządkowania czegokolwiek, co może go dotyczyć, więc kapłani przestrzegali przed układaniem stałych modlitw. Jedynie obrzędy w świątyni tego bóstwa miały jakiś porządek, ale przeprowadzający je celebranci mieli obowiązek chociaż odrobinę je zakłócać, zmieniać kolejność składania ofiar, mylić krok, a przede wszystkim za każdym razem inaczej wypowiadać słowa modlitw. Dlatego niezbyt wielu kapłanów paliło się do służby Rotanowi.

Ludzie lubią chodzić utartymi ścieżkami, wykorzystywać to, czego się już nauczyli.

Wreszcie za oknem zupełnie pociemniało. Słońce zaszło, a księżyc jeszcze nie wspiął się na nieboskłon i Evah miał nadzieję, że nastąpi to jak najpóźniej. Wprawdzie jeszcze nie było pełni, ale krąg towarzysza i pogromcy gwiazd stawał się coraz pełniejszy i jego światło wydobywało z ciemności coraz wyraźniejsze kształty. W dodatku, jak na złość, na niebie nie było ani jednej chmurki. Jeśli księżyc wypełźnie w chwili, kiedy pod oknami wieży zjawi się Grzywa ze zwojem liny, trzeba będzie prosić bogów o odrobinę szczęścia, aby nikt nie zauważył machinacji obu chłopców.

Evah odczekał, aż na ulicach Migry rozlegną się pierwsze okrzyki strażników nawołujących mieszkańców do gaszenia świateł. Wtedy przysunął się do kraty i ostrożnie dopiłował ją, poczynając od góry. Ostatnie cięcie w środkowej sztabie na samym dole nie wymagało już nawet wysiłku. Wystarczyło poruszyć parę razy całą kratą, żeby ostatni, wąski pasek metalu wygiął się w tę i z powrotem, a potem puścił.

Teraz należało przygotować mocowanie dla liny. Evah miał dość czasu by wymyślić, jak to zrobić. Postanowił wykorzystać deskę z pryczy, którą obluźował za pomocą najmniejszego pilnika. Zamierzał obwiązać deskę liną pośrodku, a potem tak pociągnąć za sobą, żeby oparła się o mur z obu stron niszy okiennej. Na szczęście deska była sporo dłuższa niż szerokość otworu, nie powinna więc sprawić niespodzianek, kiedy Evah będzie schodził w dół.

Na początku zastanawiał się, czy nie opleść liną całej pryczy i nie przyciągnąć pod okno, ale niewygodne legowisko było lżejsze od Evaha, więc mogłoby narobić hałasu, sunąc po ścianie i jednak zwrócić czyjąś uwagę.

Ostrożnie odłożył kratę pod najdalszą ścianę. Za nic nie chciał na nią nadepnąć, kiedy będzie się krzątał po celi. Teraz mógł już tylko niecierpliwie czekać na znak od Kellana. Miał nadzieję, że przyjaciel zjawi się niezawodnie. Następnego dnia Evah mógł przecież zostać wezwany przed oblicze księcia, a potem wylądować w zupełnie innym miejscu. A poza tym wystarczy, że strażnik wejdzie i rzuci okiem na okno, żeby zauważyć brak kraty.

Wreszcie po nieznośnie długim czasie, gdy Evahowi już się zdawało, że niebawem nastanie świt, rozległo się stuknięcie o mur przy oknie. Więzień zerwał się i czym prędzej wyrzucił linę, trzymając jej drugi koniec tak kurczowo, jakby mogła mu się wyrwać z rąk swoim mizernym ciężarem. Na wszelki wypadek owinął ją nawet wokół nadgarstka.

Po chwili poczuł lekkie szarpnięcie i zaczął ciągnąć przywiązaną do sznurka linę. Miał ochotę czynić to gwałtownymi ruchami, ale opanował się i pracował powoli. Lina powinna pełznąć po murze gładko i nieśpiesznie jak polujący wąż, a nie skakać na wszystkie strony niczym przestraszony młody szczur.

Musiał tylko raz mocniej pociągnąć, kiedy węzeł zahaczył o ostrą końcówkę odpiłowanej kraty. A potem wydobył spod siennika deskę. Zawiązanie grubej liny przysporzyło mu pewnych problemów. Deska była dość wąska i węzeł nie chciał się należycie zaciskać, więc

sztynny konopny splot trzeba było dociągać, stając na niej obiema nogami. Gdyby miał doświadczenie żeglarskie, z pewnością poradziłby sobie lepiej, ale przecież nigdy nie pływał niczym większym od rzecznej łodzi wiosłowej, a na niej próżno by szukać zagli i olinowania.

Wreszcie udało mu się zawiązać w miarę solidne mocowanie. Ułożył deskę starannie pod oknem i zaczął pełznąć do otworu. Czynił to jednak tyłem, żeby jak najsprawniej operować liną. Kiedy poczuł, że stopy znalazły się na zewnątrz, przeszedł go dreszcz. Za chwilę miał zawisnąć nad przepaścią. W tej chwili te kilkadziesiąt stóp do skalistego podnóża wieży zdawało się prawdziwą otchłanią. Evah z mimowolnym podziwem pomyślał o Grzywie, który musiał pokonać tę drogę w obie strony, w dodatku zaraz po deszczu.

Wysunął się najpierw do kolan, a potem do połowy ud. Resztką kraty, wystająca pośrodku otworu okiennego, uwierała chłopca w brzuch. Musiał zachować najdalej idącą ostrożność, jeśli nie chciał się pokaleczyć o ostrą krawędź. Trzeba było chociaż odrobinę wygładzić ją pilnikiem, gdy czekał na Grzywę, ale nie przyszło mu to wówczas do głowy.

Pociągnął ostrożnie linę. Deska popęzła w górę, szorując o ścianę. Nawet z bliska był to ledwie słyszalny odgłos, ale Evahowi zdawało się, że brzmi niczym grom nadciągającej burzy. Wreszcie niewyraźny cień deski zamajaczył w przestrzeni wycięcia okiennego, Evah naprężył mocniej linę. Drewno oparło się z obu stron o mur. Mógł schodzić.

I w tej chwili przypomniał sobie, że zostawił w celi worek z resztką posiłku. Najpierw chciał zawrócić, ale kiedy pomyślał, że będzie musiał pokonywać drogę do wolności jeszcze raz, zrezygnował. Jakoś sobie poradzą bez tego kawałka sera i czerstwego chleba. Szkoda tylko, że nie zjadł wszystkiego zawczasu.

Przesunął się dalej w tył, mocno trzymając linę. Deska zgrzytnęła, podsunęła się nieco wyżej, aż wreszcie znieruchomiła na dobre. Teraz nogi Evaha znajdowały się już całkiem poza murem i chłopiec ostrożnie uniósł się na łokciach i zsunął dalej. Nabrał głęboko powietrza i zawisł na rękach. Przez straszną chwilę zastanawiał się, czy da radę zejść, czy dłonie mu nie omdleją, nie puszczą liny. Pobyt w wieży i marne jedzenie sprawiły, że stracił nieco siły. Na szczęście ręce i podeszwy butów mogły znaleźć oparcie na węzłach. Evah poruszał się bardzo ostrożnie, nie chciał wykonać fałszywego ruchu. Znowu pomyślał z podziwem o Kellanie, który tak sprawnie sobie radził.

– Pośpiesz się – doleciało z dołu syknięcie. – Bo zaraz...

W tej chwili znad widnokregu wychynął skrawek księżyca. Światło było jeszcze słabe, ledwo wydobywało z mroku kształty, ale z każdą chwilą ukazywało się coraz więcej zdradzieckiej tarczy.

Evah porzucił więc ostrożność i zaczął się bardziej zsuwać, niż schodzić, zatrzymując się tylko przy węzłach. Po chwili znalazł się na dole. Padli sobie z Grzywą w objęcia, ale starszy z chłopców zaraz się odsunął.

– Ale śmierdzisz – mruknął, a potem ze złością machnął ręką w stronę księżyca. – Że też

ten łysy dziad musi tak jasno świecić! Trzeba wiać!

Rzeczywiście stali pod wieżą widoczni jak dwie muchy na wykrochmalonym prześcieradle. W dodatku lina bardzo ostro odcinała się od jasnego tła niedawno pobielonego starannie muru. Evah kolejny raz pomyślał, że przydomek tutejszego księcia musi doskonale oddawać charakter władcy.

– Dokąd? – spytał krótko.

– Na drugą stronę, do lasu. Potem pójdziemy...

Nie zdołał jednak powiadomić przyjaciela, dokąd pójda.

– Pójdziecie z nami, szczeniaki! – przerwał mu ostry, w dodatku znany Evahowi głos. Kapitan Moran, ten sam, który najpierw ich uratował w chacie pustelnika, a potem zaprowadził Evaha do więzienia.

Chłopiec rzucił się w prawo, ale przystanął na widok wyłaniających się z ciemności żołnierzy. Grzywa, który wybrał przeciwny kierunek, też znieruchomiał z tego samego powodu.

Zostali otoczeni kordonem. Evah rozważał przez chwilę, czy nie spróbować jakoś się przebić, jednak zrezygnował. Był przecież nieuzbrojony, a naprzeciwko miał silnych, wyszkolonych do walki mężczyzn. W dodatku każdy z nich nosił pancerz. Wprawdzie miecze trzymali w pochwach, ale nie musieliby ich wydobywać, żeby zrobić porządek z uciekinierami. Na domiar złego kordon był szczelny. Choć ludzie nie stali ramię przy ramieniu, to przemknięcie między nimi zakrawałoby na cud. A na cud Evah wolał w tej chwili nie liczyć. No i nie mógł porzucić Grzywy. Nie po tym, jak złodziejasek narażał się, aby go ratować.

– Dokąd nas zabieracie? – spytał, starając się pokonać drżenie głosu, który zresztą drżał nie ze strachu, ale z gniewu i zawodu. Tyle wysiłku poszło na marne!

– Na razie prześpicie się w zamkowym lochu – odpowiedział kapitan gwardii książęcej. – A co będzie dalej, zdecyduje już osobiście Jego Wysokość Leonor del Berwen.

Evah spojrział na Grzywę. Nawet w niepewnym świetle księżycy widać było niezwykle bladą twarz Kellana.

– A jednak zdradził – wymamrotał. – A jednak to łajdak...

Evah chciał już zapytać, o kim przyjaciel mówi, ale kapitan warknął:

– Milczeć! Który się odezwie, dostanie dziesięć batów!

Czekał chwilę, czy któryś z chłopców chce się przekonać, czy groźba jest prawdziwa, ale zapadła głucha cisza. Zwrócił się do podwładnych.

– Marsz w szyku ubezpieczonym. Pilnujcie ptaszków jak oka w głowie, bo to zawołani spryciarze. A książę nie byłby zadowolony, gdyby któryś wyfrunął.

Żołnierze sprawnie utworzyli ciasną kolumnę, w której środku znaleźli się obaj chłopcy. Evah szedł z pustką w sercu, ponuro wpatrując się w jasną plamę bujnych włosów Grzywy, podążającego dwa kroki przed nim.

No to napytali sobie biedy. Wpadli w jeszcze gorszą kabałę niż w chacie pustelnika. Teraz zamkną ich w takim miejscu, z którego się nie wydostaną inaczej niż wyniesieni na cmentarz. A kto wie, może nawet po śmierci zostaną pod kluczem...

Kapitan Moran zamykał niewielki pochód. Evah czuł jego świdrujące spojrzenie na potylicy. Z pewnością był gotów bardzo ostro zareagować, gdyby chłopcy chcieli zrobić coś niespodziewanego.

Tyle tylko, że nie mieli ku temu żadnych możliwości...

Rozdział 3

W cuchnącym lochu



Tak jak zapowiedział kapitan, noc spędzili w lochu. W zimnym, wilgotnym i potwornie śmierdzącym lochu. W dodatku nie byli sami, o czym mogli się przekonać, kiedy tylko zamknięto za nimi ciężkie, dębowe drzwi, wzmocnione kutymi sztabami żelaza.

Zanim zdążyli wykonać krok, uchwyciły ich i unieruchomiły mocne ręce, a zręczne palce przebiegły po ciałach.

– Ten nic nie ma – powiedział chrapliwy głos przy uchu Evaha.

– Mój też nic – odpowiedział drugi.

Evah znów mógł się ruszyć, ale tego nie robił. W ciemności czaiło się zagrożenie. Nie miał pojęcia, ilu ludzi znajduje się w lochu, ale najmniej czterech, skoro jeden go trzymał, a drugi przeszukał. Jak nic dwóch kolejnych pochwyciło Grzywę.

– Nie bójcie się już – powiedział człowiek, który odezwał się przedtem przy Evahu. – Znajdźcie sobie jakieś miejsce, słomy nie ma wiele, ale młodzi jesteście, kamień wam nie zaszkodzi.

Oczy chłopców powoli przywykły do ciemności, rozpraszaną jedynie poświatą księżyca wpadającą przez wysoko umieszczone okno. Na szczęście to wystarczyło, żeby coś dostrzec. I mogli się przekonać, że ludzi w celi jest nie czterech, ale pięciu. Z tym że jeden leżał nieruchomo pod najdalszą ścianą. Evah zaczął się zastanawiać, czy mężczyzna w ogóle żyje.

Chłopcy spojrzeli na siebie. Evah widział głównie jasną burzę włosów towarzysza

i ledwie zarys sylwetki. Ale dostrzegł też wolny kawałek podłogi pod ścianą. Padało tam światło księżyca, rozlewając się w siną plamę.

Obaj, jakby wiodła ich jedna myśl, jednocześnie skierowali się w tamtą stronę. Usiedli blisko siebie, dotykając się ramionami.

– Za co was tutaj wsadzili? – spytał któryś z mężczyzn.

– Za ucieczkę z wieży – burknął Evah.

– Ho, ho! – roześmiał się ten z chropowatym głosem, a pozostali mu zawtórowali. – Ho, ho! W wieży pan trzyma znaczniejszych więźniów. Źle wam tam było?

– Tylko mnie – wyjaśnił syn myśliwego. – Mój przyjaciel pomagał mi się wydostać.

– No to teraz przekonacie się, co to znaczy prawdziwe więzienie – rzekł chropowaty. – Słuchajcie żarcie, zimno i szczury. W wieży tego nie zaznałeś.

Evah nie odpowiedział. Westchnął ciężko i zapatrzył się w otwór na górze. Księżyc właśnie chował się za krawędzią okna i niebawem w lochu zrobiło się zupełnie ciemno.

– A was za co tu wtrącili? – spytał Grzywa.

– Jak już musisz wiedzieć – odparł więzień, który najwyraźniej rządził w tym miejscu – to mnie, Dudka, Bociana i Gila za zbójowanie, a tego tam biedaka za kłusownictwo.

– Dudek, Bocian i Gil – powtórzył Kellan. – Ty też masz takie ptasie przezwisko?

– Też – odparł z jakimś dziwnym zadowoleniem herszt. – Skowronek. Dlatego nazywali nas Ptasią Bandą. Słyszeliście o nas?

– Nie – powiedział Grzywa. – Ale nie jesteśmy stąd.

– Odgadłem już po waszej mowie – rzekł chropowaty.

– My też nie stąd – odezwał się ponuro inny rozbójnik. – Aleśmy się zapędzili do Berwen jak katu na pieniek... Było siedzieć w Lapurii, może byśmy się jakoś wywinęli pościgowi. Ale nie, Skowronek musiał nas przywieść tutaj! Prosto w szpony księcia Berwena i jego przekłętogo kapitana!

– Nie wyrzekaj, Bocian! – warknął przywódca. – Taki mądry teraz jesteś, ale jak zobaczyłeś chłopów z widłami i cepami, toś rwał na drugą stronę granicy, aż się kurzyło! Ledwie cię dognaliśmy.

– Bo głupi byłem – odparł hardo rozbójnik zwany Bocianem. – Chłopom by można jeszcze dać po łbach i spróbować prysnąć. Kupa ich była wielka, ale lepsze bić się z takimi dziesięcioma niż jednym żołnierzem tego przekłętogo dowódcy gwardii księcia! Tego całego Morana!

– Mówi się, że zbój mądry jest po szkodziu – rzekł Skowronek. – Ale ty głupi byłeś i przed nią, i zostałeś teraz. Tam by nas czekała niechybna śmierć, i to w męczarniach, jakby którego żywcem wzięli. Tutaj siedzisz sobie wygodnie w lochu i czekasz na wyrok. Jak mają mi już łeb uciąć albo za szyję powiesić, to wolę konać krótko i z rąk wprawnego kata.

Evah słuchał tego przekomarzania zbójów, rozmyślając jednocześnie, jak łatwo w życiu zdarzają się niespodziewane kaprysy losu. Jeszcze chwilę temu pełzył po linie, przestraszony,

ale też szczęśliwy, że umknie z więzienia, a teraz trafił między kajdaniarzy i szubieniczników. Westchnął w duchu, przypominając sobie, że wcale nie tak dawno jednego podobnego im poranił i sprawił, że posłano go do więzienia, a potem pewnie na szafot. Ciekawe, czy ci tutaj znali bandę, która napadła karawanę w drodze do Salmary? Pewnie nie, bo wyglądało na to, że trzymali się Lapurii. Jednak po przygodach z Grzywą, po tym, jak go spotkał najpierw w Rukce a potem w odległej Salmarze, chłopiec przekonał się, że świat bywa zaskakująco ciasny i mały.

– Też wymyśliłeś – prychnął inny ze zbójów. – O lochu wygodnym będzie nam prawić. I o pożytkach z zabicia przez kata. A jak księżę każe nas ćwiartować lub rwać końmi? Różne kary wymyśla się rozbójnikom. Powiadają o nim, że bardzo jest kapryśny.

– Wtedy będziemy się tym zamartwiać, Dudek – odpowiedział chropowaty. – Na razie siedzimy i tym się ciesz, że cię tam chłopci nie dopadli, bo rozerwaliby na kawałki gołymi rękami, zanimby się zjawilo wojsko jaśnie pana.

– Ciebie się nie przegada – odezwał się milczący do tej pory zbój. Ewah już się domyślił, że to ten zwany Gilem. – Prawnikiem jakimś powinienes zostać. I to nie zwykłym bakałarzem u marnego kauzyperdy, ale samym sędzią cesarskim. Jak namotasz, to człowiek nie wie, co odrzec.

– Sędzią cesarskim? – powtórzył Skowronek. – Tak powiadasz? Nie, przyjacielu, na sędziego Jego Cesarskiej Mości na pewno bym się nie nadał.

– A to z jakiej przyczyny? – zdziwił się Gil.

– Zanadto uczciwy jestem! – huknął radośnie rozbójnik. – Gdzie mnie, prawemu złodziejowi, do tych jaśnie oświeconych szubrawców, co cię ze skóry obłupią i jeszcze powiedzą, że dla twojego dobra?

Zbóje roześmiali się, ale zaraz zamilkli, bo herszt ciągnął dalej, już bez prześmiejów.

– Słyszałem, że Leonor Porządny, jak mu coś na nosie siądzie, potrafi być przykry, co się zowie. Znajomek znajomka mojego stryjecznego kuzyna prawić, jakoby kiedyś del Berwen kazał ściąć nie tylko rozbójników, ale nawet prawnika jednego, co ich chciał bronić. Sam tego nie widział, jednak opowiadał mu to jakiś daleki krewniak, który był w okolicy, kiedy mówiono o tej kaźni.

– We łbie mi się zakręciło od tych krewnych i znajomych – poskarżył się Gil. – Znaczy jak, księżę każe nas ściąć czy powiesić?

– Wielka mi różnica – prychnął Dudek. – Na końcu śmierć jest jednaka. Przynajmniej tak mi się zdaje.

– Śpijmy lepiej, zamiast jęzorami mielić i się straszyć – burknął Bocian. – Głodny jestem jak dziki pies. Jak stado dzikich psów. Trzeba przespać to ssanie w brzuchu, bo inaczej was zaczną kęsać i żadnej zgoła kaźni nie doczekacie.

– Śpijmy – zgodził się herszt. – Choć nie wiadomo, czy warto się spieszyć do jutrzejszego poranka.



Następny poranek nie przyniósł niczego szczególnego. Przynajmniej z początku. Tyle że chłopcy mogli zobaczyć, z kim ich zamknięto. Evah aż przymknął oczy na widok twarzy rozbójników. Mieli już okazały zarost, ale trudno było nie dostrzec blizn ciągnących się przez całe oblicza, i bez tego mało urodziwe.

– Co się tak gapisz? Piękni nie jesteśmy – rzekł Skowronek swoim chropowatym głosem.

– Gęby mamy takie, jak nasz fach. Nieraz się człękowi zdarzyło porządnie oberwać, to i ślady zostały. Poczekaj no, chłopaczku, jak będziesz w moich latach, też możesz tak wyglądać. O ile dożyjesz, bo za ucieczkę z wieży księżę może cię i na śmierć skazać.

Evah poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz, ale Grzywa aż tak się nie przejął groźbami przywódcy bandy.

– Zaś tam będzie nas kaźnił – burknął. – Za co? Za upiłowaną kratę? Batów da najwyżej i tyle.

– Nie bądź taki pewien – wtrącił się Dudek. – Wielki pan, jak zechce zwykłego człowieka kopnąć, zawsze znajdzie powód. Za upiłowaną kratę może dać baty, zgoda. Ale co, tylko to jedno macie na sumieniu?

Evah przypomniał sobie skradzione pilniki. W niektórych krajach za najdrobniejszą kradzież skazywali na obcięcie ręki albo i głowy. Kto wie, jak jest tutaj? Nie on wprawdzie skradł narzędzia, ale on ich użył do sforsowania prętów.

– Na pewno coś się znajdzie – mówił dalej Dudek. – A jak się już księżę czegoś przyczepi, to trzyma ślad niczym pies posokowiec. Wszystko z was wywlecze, całą prawdę. Tak przynajmniej słyszałem.

– Właśnie – przyświadczył z miejsca Gil. – Tylko brew uniesie, a jego kapitan wywlecze was katu na szafot. Księżę bywa niezwykle kapryśny.

Evah parzył przez dłuższą chwilę to na Skowronka, to na jego towarzyszy. Przypomniał sobie, co mu wspominał o władcy Berwen kapłan boga prawdy w Salmarze. Coś się tu nie zgadzało. Według czcigodnego Verdiga Leonor miał być bardzo rozsądnym człowiekiem, który potrafił utrzymać pokój na własnych granicach, a przy tym umiejętnie trzymał w ryzach wybujałe temperamenty zwaśnionych władców państw, z którymi graniczył.

– A wy skąd tak doskonale znacie usposobienie księcia? – spytał podejrzliwie. – Podobno grasowaliście w Lapurii.

– Nie tylko – odparł jakby z pewną dumą herszt. – Zachodziliśmy też na trakty w Lagen, żeby ulżyć kupcom ciężarowi, wpadaliśmy również z wizytą do Anzi.

Brzmiało to, jakby opowiadał o zwykłych podróżach albo pielgrzymkach do świętych miejsc. Ton i treść dziwnie kłóciły się z prawdziwym znaczeniem słów.

– Księciu Leonorowi nie nadeptywaliśmy na odciski, bo jego kapitan gwardii Moran okrutnie jest cięty na zbójników. Nie dajcie bogowie, żeby którego schwytał na rabunku. Żyjemy jeszcze dlatego, żeśmy tylko uciekali, a nie rabowali po tej stronie granicy.

– Znaczy, że zamknęli was za niewinność? – spytał z szyderstwem Grzywa.

– A żebyś wiedział, szczeniaku! – uniósł się gniewem Bocian. – Nic tu złego nikomu żeśmy nie uczynili!

– Wystarczy pewnie tego, coście wyprawiali gdzie indziej – nie dawał za wygraną Kellan.

– Pyskaty z ciebie wyrostek! – warknął rozbójnik. – Chyba trzeba nauczyć cię moresu!

Mężczyźni podnieśli się jak na komendę. Gil z Bocianem ruszyli do młodego złodziejaszka, pozostali dwaj patrzyli, co się będzie działo. Kellan też się zerwał, pobladł, ale zacisnął pięści. Nie miał dokąd uciec, pozostawała jedynie walka.

Evah zaklął w duchu, przez głowę przeleciało mu, że oto za chwilę Grzywa na własnej skórze przekona się, że czasem warto trzymać jęzor za zębami. Gorzej, że on też będzie musiał odpokutować za złośliwości przyjaciela. Czyżby Kellan zapomniał, że mają do czynienia z okrutnymi opryszkami? Do tej chwili traktowali chłopców jak towarzyszy niedoli, ale nie należało ich drażnić, bo tacy zawsze są szybcy, jeśli chodzi o rękoczyny.

– Odsuń się! – ostrzegł Bocian, kiedy zobaczył, że syn myśliwego dołącza do Kellana. – Jemu przetrzepiemy skórę, tyś się nam dotąd nie naraził.

– Dajcie mu spokój – rzekł Evah, opanowując drżenie głosu. – Nic takiego nie zrobił.

– Wyśmiewać to się może ze swojego ojczulka, jeśli w ogóle wie, kto go spłodził! – syknął Gil.

– Wiem czy nie wiem, ale porządny musiał być człek, skoro zbójem nie zostałem – odszczeknął się chłopak. – Ciebie zaś pewnie jaki kajdaniarz na świat przywołał...

Gil uznał, że tego już za wiele, rzucił się na Grzywę. Ale schwytał tylko powietrze. Może chłopak nie był biegły w walce, lecz życie w zaułkach i ciągłe niebezpieczeństwa nauczyły go wywijać się zagrożeniu. Zdołał się także wymknąć Bocianowi. Tymczasem Skowronek z milczącym do tej pory Dudkiem zasadzili się na Evaha. Ich też czekało zaskoczenie, bo zlekceważyli przeciwnika. Uznali, że chłopiec nie może stanowić zagrożenia. Że jest inaczej, pierwszy przekonał się herszt bandy. Krzyknął i chwycił się za kolano, w które oberwał solidnego kopniaka. Dudek tymczasem złapał Evaha za ramię i pociągnął, ale zaraz odskoczył, bo nieoczekiwanie twarda pięść wyrostka trafiła go w oko.

Ale to był już koniec jakiegokolwiek przewagi dwóch wyrostków. Nie upłynęła chwila, jak Bocian trzymał mocno Kellana z tyłu pod wykręcone ręce, a Skowronek przyciskał Evaha do wilgotnej ściany.

– Umieją kąsać – zaśmiał się. Evaha owiał jego nieprzyjemny oddech. W lochu nie dało się dbać o czystość, a zresztą zbój pewnie i na wolności nie zaprzętał sobie głowy takimi drobiazgami. Chłopiec przypomniał sobie zaraz, że sam też nie pachnie leśnymi fiołkami. – A teraz im pokażemy, co to znaczy zadzierać z Ptasią Bandą! Stracą trochę zębów, to

zmądrzeją.

Twarda pięść uniosła się na wysokość oczu Evaha, Gil również przymierzył się do ostatecznego ciosu w twarz Grzywy. Chłopcy byli zupełnie bezradni. Lecz kiedy zbóje mieli już przejść do czynów, rozległ się niezbyt głośny okrzyk:

– Stójcie! Da wam nadzorca za burdy w lochu! Przestańcie!

Wszyscy spojrzeli w odległy kąt. Gdyby Evah mógł się ruszyć, przetarłby oczy. Przysięgłby, że poza wiązką przegniłej słomy nic tam więcej nie ma, a już na pewno nie ma nikogo!

– Co się wymądrzasz? – warknął Skowronek. – Nie twoja rzecz!

– Będzie moja, jak strażnicy nie będą pytać, kto zawinił, tylko wszystkim po równo złoją skórę! A ja nie mam na to ochoty. Więc jeśli zaczniecie bić tych szczeniaków, narobię krzyku.

Hałas zbudził nawet apatycznego kłusownika. Mężczyzna usiadł i patrzył na całą scenę, jakby oglądał przedstawienie wędrownej trupy teatralnej.

Skowronek splunął i odchylił ramię jeszcze bardziej, jakby chciał zadać cios tak mocny, by zmiażdżył twarz ofiary. Ale po chwili wypuścił powietrze i mruknął:

– Prawda. Nie ma co się prosić o baty.

Puścił Evaha i się odwrócił. Spojrzał na Kellana.

– Ale jeśli jeszcze raz otworzysz paszczę, nie będę na nic zważał. Rozbiję ci ją na tych śmierdzących kamieniach. Obu wam się dostanie, chociaż pyskaty jest tylko jeden!

Bocian puścił Grzywę z wyraźnym żalem. Chłopak z jękiem osunął się na kolana, a potem zaczął rozcierać bolące ręce.

Evah podszedł do niego, pomógł mu wstać.

– Przeproś ich – powiedział cicho.

Grzywa spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Mam przeproszać zbójów?

– Tak trzeba – nalegał młodszy z chłopców. – Nie wiadomo, ile nam przyjdzie jeszcze z nimi siedzieć. Po coś im tak dopiekl?

– Bo mnie drażnią tacy, jak ci – odparł Grzywa, ale tak cicho, żeby nikt poza Evahem nie słyszał. – Moją ciotkę, co miała mnie przygarnąć po śmierci matki, właśnie zbóje ubili po drodze i skończyłem na ulicy.

Evah pokiwał lekko głową. Mógł zrozumieć żal przyjaciela, ale pomyślał, że jeśli rozbójnicy nie dadzą się ułagodzić, gotowi jeszcze udusić chłopców we śnie. A wtedy nikt im nie przyjdzie z pomocą.

– Ale nie ci to zrobili – zauważył. – Przeproś i będzie dobrze.

Skowronek usłyszał ostatnie słowa Evaha.

– A tak, należałoby nas przeprosić – zawołał. – I podziękować, żeśmy was oszczędzili!

– Dziękujemy i przepraszamy – powiedział Evah, widząc już, że Grzywie takie słowa nie

przejdą przez usta. Ale Kellan złamał się na tyle, by pokiwać głową, herszt zaś uznał, że to wystarczy.

Obie grupki znów usiadły, ale tym razem nieco dalej od siebie. Chłopcy znaleźli się bliżej swojego wybawcy. Wyglądał zarazem żałośnie i zaskakująco godnie. Wygrzebał się spod słomy i patrzył tęsknie w wysokie okno.

Evah zastanawiał się, kim może być ten człowiek w brudnym, ale dobrym i droгим ubraniu. Miał pociągłą twarz, której szlachetnych rysów nie zdołał ukryć nawet wielodniowy zarost. Za co trafił tutaj ktoś taki?

– Zastanawiasz się, kim jestem? – Młody mężczyzna dostrzegł spojrzenie chłopca. Popatrzył na kłusownika, który znów zapadł w drzemkę.

– Wybacz, ale trudno się nie zastanawiać – odparł Evah. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zwracać się do obcego z większym szacunkiem, przez „pan” albo „wy”, ale uznał, że w więzieniu takie formy nie mają znaczenia.

– Nieważne, kim jestem – odparł wybawca chłopców. – Ważne, kim mógłbym być. Kim bym mógł zostać, gdyby nie paskudny nałóg, który wpierw mnie uwięził, a potem przywiódł w to miejsce, aby memu upodleniu nie było końca.

Evah słuchał mężczyzny i próbował zrozumieć, o czym on mówi.

– Wino, mój chłopcze – westchnął współwięzień. – Zaczęło się od wina, a skończyło na gorzałce. A ostrzegali mnie mądrzy ludzie, bym się zbyt nie kontentował trunkami. Zdawało mi się jednak, że cóż to wielkiego wypić dzban wina do wieczery? Co się może stać poza tym, że człowiek ma lepszy sen, jeśli spożyje go w miarę? Najwyżej głowa będzie go rano bolała, gdyby przesadził. Lecz to nie jest takie proste. Pijesz więcej i coraz więcej. Przestaje wystarczać wino, więc sięgasz po mocniejszy trunek. Niechby najpierw eleganckie nalewki, ale potem z chłopami w karczmie z ukontentowaniem czystą gorzałkę pijałem!

– Niech on już przestanie! – rozległo się od strony zbójów. Gil siedział z rękami przy uszach. – Musi nam o tym picu gadać? Na Przedwiecznych, to gorsza tortura niż łamanie kołem! Nam tu dają jeno wodę, a ten o winie... o nalewkach... o gorzałce! A ja bym się napił nawet kwaśnego piwka, co je pastuchy warzą i brzuchy nim sobie psują! Cienkusza ostatniego bym przyjął z wdzięcznością, nawet gdybym wiedział, że mi wino cykutą zaprawili!

– Prawda! – poparł kompana Bocian. – Zawrzyj już pysk, człowieku!

Evah spojrział na mężczyznę. Jego szlachetna, choć nieco zniszczona twarz przybrała najpierw wyraz smutku, a potem urazy. Zanim chłopiec zdążył o cokolwiek zapytać, sprostponowany przez zbójów więzień zagrzebał się w słomie tak gruntownie, że znów go nie było widać.

Grzywa podpełzł bliżej niedawnych przeciwników.

– Kto to jest? – zapytał cicho.

– A diabli go wiedzą – burknął Skowronek. – Jak go pytaliśmy, to tylko o tym swoim

pijaństwie bredził. Tyle z niego wydobyłem, że jakiś możny krewny wtrącił go do lochu, aby otrzeźwiał i oprzytomniał z wiecznego przepicia.

– Gdy nas tu wsadzili – dodał Bocian – on już był. Dlatego ma słomy więcej od nas. I niech mu idzie na zdrowie. Zdaje się, że ten krewniak całkiem o nim zapomniał. Kto wie, czy nieborak życia tu nie spędzi.

Evah spojrział na spoczywającego w słomie mężczyznę, a potem na Kellana. Pomyślał w tej chwili, czy i o nich nie zapomną. Z tego lochu człowiek nie wyrwie się tak łatwo, jak z celi na wieży. Poza tym na zewnątrz nie było nikogo, kto by im pomógł w ucieczce.

Po chwili Kellan przysiadł się do niego.

– Wiesz – powiedział cicho – widziałem wczoraj w południe pustelnika...

– Nawet mi o nim nie mów! – przerwał przyjacielowi Evah.

– Posłuchaj no i nie przerywaj! – rozzłościł się Grzywa.

Evahowi nie było jednak dane dowiedzieć się, co chce mu powiedzieć przyjaciel o zdradzieckim kapłanie, bo zamek w drzwiach zazgrzytał przenikliwie i stuknęła ciężka sztaba, blokująca je po drugiej stronie. Rozbójnicy mimowolnie zbili się w ciasną grupkę, a na schodach stanął nadzorca więzienny.

– Wy dwaj! – Wskazał na chłopców. – Zbierać się i za mną! Żywo, żeby księżę się nie rozsierdził długim czekaniem!

– A ja?! – Mężczyzna o szlachetnej twarzy zerwał się. – Kiedy mnie zawołają?!

– Kiedy uznają za stosowne – odparł obojętnie dowódca strażników. – Na razie widać jeszcze nie uznali.

Evah i Kellan wstali i z ponurymi minami powlekli się do wyjścia.

– Bądźcie zdrowi – powiedział Evah, mijając rozbójników. – Możemy się już nie zobaczyć.

– I wy bądźcie zdrowi – odpowiedział Skowronek. – Co tam było między nami złego, to już nieważne.

Rozdział 4

Kaprysy księcia Leonora



Książę Leonor Porządny w niczym nie przypominał barona di Rukkona. W odróżnieniu od pana Rellen, był starszym człowiekiem o szczupłej, opalanej twarzy i smukłej sylwetce. Gdyby Evah zobaczył go poza zamkiem i nie wiedział, kim jest, zapewne wziąłby arystokratę za mistrza z jakiegoś cechu rzemieślniczego. Nie chodziło o to, żeby brakowało mu dostojęstwa czy szlachetności rysów, ale nie widać było po nim tej wyniosłości, jaką prezentował baron. Zupełnie jakby książę nie miał ustawicznej świadomości, że powinien być dumny ze swojego pochodzenia. Ponadto oblicze księcia mętnie przypominało chłopcu kogoś, kogo już widział i nie było to wspomnienie kojarzące się z władzą.

Nagle Evah zdał sobie sprawę, że chyba popełnia błąd, oczekując, by wszyscy sprawujący rządy mieli wyglądać podobnie i przypominać siebie nawzajem. Przecież pochodzili z różnych stron, należeli do różnych rodów. W wiosce ci, których nie łączyły więzy pokrewieństwa, byli bardzo różni, a nawet bliscy krewniacy potrafili odbiegać od siebie znacznie zarówno wyglądem, jak i zachowaniem.

Komnata, w której przyjął ich książę, również nie przypominała świetlicy na zamku w Rukce, która miała wzbudzać respekt i podziw. Leonor siedział na zwykłym zydlu przy stole w sali, która nie imponowała wielkością, chociaż małą by jej Evah nie nazwał. Najwyraźniej nie miała robić piorunującego wrażenia na wchodzących, a jednak było w tej izbie coś przywodzącego na myśl elegancję i dostojęstwo przystające do godności

książęcej.

Pan del Berwen posilał się właśnie, kiedy wprowadzono chłopców. Na ich widok skinął głową, przełknął kęs i odsunął talerz, wykonany z jakiegoś białego materiału, zdobionego na złoto i czerwono.

– Zostaw nas samych – polecił książę kapitanowi.

Moran osobiście doprowadził chłopców do chlebowdawcy, nie wzywał do eskorty strażników. Ani Evahowi, ani Grzywie nawet przez myśl nie przeszło próbować ucieczki w środku twierdzy, na dodatek spod ręki srogiego żołnierza.

– Ale Wasza Wysokość – zaprotestował kapitan. – To nie są zwyczajne dzieci.

– Gdybym uznał ich za zupełnie zwyczajnych, nie kazałbym do siebie przyprowadzać, tylko zająłby się nimi ochmistrz i nauczył rozumu różgą.

– Tym bardziej... – zaczął Moran, ale książę uciszył go niecierpliwym gestem.

– Przecież mi nie przegryzą gardła! Nie traktuj ich jak zwykłych złodziei, ale też nie zrównuj z rabusiami.

Evah bardziej wyczuł, niż dostrzegł, że Kellan poruszył się niespokojnie. No tak, on nie miał czystego sumienia. Przecież musiał ukraść pilniki i sam mówił, że jedzenie też zdobywał niekoniecznie uczciwie.

– A jednak z jakiegoś powodu kazaliście ich schwytać, Wasza Wysokość – odparł śmiało kapitan. Widać było, że szanuje księcia, ale nie obawia się wyrażać własnego zdania.

– Oczywiście, że miałem powód. Ale w tej chwili chcę z nimi zostać sam. Jeśli tak bardzo się o mnie obawiasz, możesz czekać za drzwiami. Zawołam niechybnie, gdyby na mnie napadli.

Evah postąpił pół kroku naprzód, zwracając na siebie uwagę księcia.

– Zapewniam, panie, że ani ja, ani mój towarzysz nie będziemy nastawać na wasze życie...

Leonor patrzył przez chwilę na chłopca, potem wymienił spojrzenia z kapitanem. Twarz księcia poczerwieniała lekko i Evah uznał, że za chwilę władca Berwen wybuchnie gniewem, udowadniając, jak bardzo jest kapryśny. I rzeczywiście, Leonor wybuchnął... ale śmiechem.

– Dziękuję ci, chłopcze, za niezwykłą łaskawość – powiedział, kiedy już nieco się uspokoił. Otarł łzę wesołości z kącika oka. A potem zwrócił się do Morana: – Słyszałeś, kapitanie. Możesz spokojnie odejść, skoro ten dzielny młodzieniec zapewnił, że jestem bezpieczny w jego towarzystwie.

Evah poczuł, że palą go ze wstydu policzki. Ośmieszył się swoim oświadczeniem, zrozumiał to dopiero, kiedy je wypowiedział. Ale dowódca gwardii zachował powagę.

– Jak sobie Wasza Wysokość życzy – rzekł sztywno. – Ale wy dwaj pamiętajcie, że w każdej chwili mogą tu wpaść moi ludzie. I o tym, że książę jest jednym z najtęższych szermierzy, jacy chodzą i chodzili kiedykolwiek po świecie. Pięść też ma twardą i nie radzę

pod nią podchodzić.

– To nie będzie potrzebne, jak sądzę. – Leonor uniósł dłonie. – Powtarzam, że nie zostawiasz mnie sam na sam z krwawymi złoczyńcami.

Kapitan oddał salut i wyszedł. Drzwi trzasnęły chyba nieco mocniej, niż powinny.

I to także było zupełnie inne niż podczas wizyty u barona. Tam strażnicy przez cały czas tkwili w świetlicy, strzegąc życia i zdrowia swojego pana.

Księżę przez dłuższą chwilę patrzył na chłopców, wreszcie uczynił zapraszający ruch dłonią.

– Podejdźcie – polecił. – Chcę się wam bliżej przyjrzeć.

Zbliżyli się posłusznie, stanęli po drugiej stronie stołu. Władca Berwen obrzucił ich uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

– Siadajcie.

Chłopcy spojrzeli po sobie niepewnie. Nie bardzo wiedzieli, jak się zachować i czy wypada skorzystać z zaproszenia.

– Siadajcie wreszcie! – zirytował się pan del Berwen. – Nie będę zadzierał głowy, rozmawiając z wami. Nie jesteście wcale tacy niewysocy!

Czym prędzej zajęli miejsca na takich samych zydlach, na jakim siedział ich dostojny rozmówca. Evah ze zdziwieniem stwierdził, że chociaż nie zostały wyłożone niczym miękkim, są bardzo wygodne.

– Świetna robota – mruknął do siebie, zapominając na chwilę, że po ostatniej kompromitacji nie powinien się odzywać.

– Świetna, to prawda – zgodził się księżę, który najwyraźniej miał doskonały słuch. Domyślił się również od razu, co wzbudziło tak wielki podziw gościa. Węch też go nie zawodził, bo władca zmarszczył lekko nos, kiedy doleciał go mało wykwintny zapach Evaha. – Kosztowały też niemało. Wolę je od tych wszystkich pięknie wyściełanych mebli. Czasem tak jest, że coś, co wygląda niepozornie, okazuje się nadzwyczaj cenne.

Po wypowiedzeniu tych słów zapatrzył się na Evaha, po chwili przeniósł wzrok na Grzywę i znów spojrzeniem wrócił do młodszego z chłopców. Milczeli, czekając, co będzie dalej. Obaj byli zaskoczeni łagodnym traktowaniem, spodziewali się raczej gniewu, krzyków, połajanki i wreszcie jakiejś przykrej dla nich decyzji. Chociaż, z drugiej strony, to wszystko mogło ich jeszcze czekać. W końcu słyszeli niedawno, że księżę Leonor bywa nader kapryśny.

– Pewnie jesteście głodni. Wybaczcie, ale nie dotrzymam wam towarzystwa, sam już się najadłem.

Pan del Berwen podsunął im rzeźbioną misternie miskę z ciepłym jeszcze mięsiwem, klasnął w dłonie. Po krótkiej chwili zjawił się dostojnie wyglądający mężczyzna o posiwiałych skroniach.

– Panie ochmistru – zarządził księżę – proszę podać moim młodym gościom talerze.

Można by też przynieść więcej chleba.

Ochmistrz skrzywił się lekko, zupełnie jakby uznał rozkaz za uwłaczający jego godności, ale nie odezwał się, tylko zniknął za drzwiami. Po chwili przybiegła służąca z talerzami, obok których położyła tępo zakończone noże i dwuzębne widelce. Evah pierwszy raz widział takie sztucce. W domu czy u krewnych jadło się polewkę łyżką, a mięso czy warzywa kroilo zwykłymi nożami, a do ust niosło po prostu ręką. Chleb kroilo się w wielkie pajdy albo rwało z bochna, a tymczasem tutaj niewielkie kromki ułożono na osobnym talerzu. Podobnie jak w rodzinnym domu, Evah jadał z żołnierzami z eskorty karawany kupca Harimiego, w gospodzie, przy stołach rolników, u których zatrzymywali się w drodze do Migry. Chłopiec nie miał pojęcia, jak sobie radzić z takimi wymyślnymi sztuczkami, żeby nie wyjść na gbura. Jak trzymać widelec, o którym coś tam kiedyś słyszał, ale którego nigdy jeszcze nie widział? W jaki sposób używać niewielkiego ostrza?

Na szczęście Kellan był bardziej obyty w tym względzie, ujął więc dwuzębny sztuciec, choć niezbyt wprawnie i wbił go w porcję mięsa, przeniósł ją na talerz, a potem zaczął pracowicie kroić.

Evah obserwował przez chwilę przyjaciela, po czym zaczął go naśladować. Jednak kawałek, który nabił na widelec, okazał się zbyt duży i ciężki, dlatego spadł z plaśnięciem na talerz.

– Przepraszam. – Syn myśliwego zaczerwienił się.

– Jedz spokojnie, chłopcze – rzekł książę z pobłażliwym uśmiechem. – Szybko nabierzesz wprawy.

Z początku Evah miał ochotę wymówić się od posiłku, żeby nie najeść się wstydu, ale mięsiwo pachniało tak kusząco, że ślina sama napływała do ust. Po marnej więziennej kuchni – jeśli chleb, jęczmienne placki i gotowaną brukiew, a od czasu do czasu ser, można nazwać kuchnią – nie mógł się powstrzymać, żeby nie zjeść czegoś tak pysznego.

Szło mu opornie, widelec nie chciał trzymać się należycie ręki, dziwnym nożem operowało się niewygodnie, bo nie mógł go wbić w potrawę i rozkroić, żeby ułatwić sobie jej rozdrobnienie. Ale po jakimś czasie rzeczywiście zaczął się przyzwyczajać do nowego sposobu jedzenia. Pomyślał nawet, że mógłby to polubić. Dzięki widelcowi palce nie opływały tłuszczem, nie trzeba było ich wycierać w chleb albo wręcz skórę przedramienia. Pokrojony w małe kromki chleb też bardziej pasował do tego sposobu jedzenia. Nie wypychało się nim ust jak przy gryzieniu grubej pajdy, nie kruszył się też tak łatwo.

Czyli tak zwykli jadać wielcy panowie... Evah spojrzał ukradkiem na księcia. Władca Berwen stanął przy dużym oknie, wychodzącym na dziedziniec. Obserwował coś z wyraźnym skupieniem, które zmieniło się stopniowo w niepokój. Z dołu rozległo się rżenie konia.

– Co robisz, durniu jeden! – krzyknął nagle książę, a chłopcy aż podskoczyli z wrażenia. – Co robisz?! To nie chabeta do furmanki, tylko bojowy ogier! Chcesz, żeby ci paluchy

odgryzł? Albo ucho?! Trzymaj go tylko i czekaj, już idę!

Odwrócił się, popatrzył na chłopców i znieruchomiał. Zaaferowany wydarzeniami przy stajni chyba zapomniał o ich obecności.

– Tak to jest, kiedy człowiek w ważnych sprawach musi polegać na byle kim! – rzucił a potem ruszył do drzwi. – Zaraz wracam. Kapitan Moran dotrzyma wam na razie towarzystwa.

Wypadł na zewnątrz, a do izby wszedł dowódca gwardii. Obrzucił chłopców niechętnym spojrzeniem, a potem podszedł do okna, żeby zobaczyć, co też tak wzburzyło księcia.

– Głupiec – nie wytrzymał, widząc, co się dzieje na dziedzińcu. – Nie próbuj go kulbaczyć, tylko trzymaj, baranie jeden! – krzyknął. – Księżę już idzie, pokaże ci, jak się obchodzić z takim koniem!

Znów popatrzył na Evaha i Grzywę. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale z dołu dobiegły krzyki i coraz głośniejsze rzenie.

– Nigdzie nie odchodźcie! – nakazał surowo. – Muszę pomóc Jego Wysokości, bo koniuch rozdrażnił ogiera nad miarę. Za drzwiami są strażnicy! – przestrzegł zupełnie niepotrzebnie, bo chłopcy nigdzie się nie wybierali. Po pierwsze, zamierzali jeszcze się posilić, korzystając z łaski księcia, a po drugie, gdy tylko Moran znikł, sami pobiegli do okna zobaczyć, co się wyrabia przy stajni.

A tam wielki, barczysty koniuch wodził się z ogromnym koniskiem. Zwierzę mierzyło w kłębie dobre sześć stóp, a kiedy uniosło łeb, znacznie przewyższało potężnego mężczyznę, który próbował je okiełznać. Szło mu to niesporo, wyraźnie nie miał ani wprawy, ani najmniejszego pojęcia, jak radzić sobie z takim wierzchowcem.

Księżę też już tam był, obchodził tę dwójkę dookoła, próbując odgadnąć, dlaczego bojowy rumak jest taki niespokojny.

– Coś mu się stało, nie widzisz? – mówił do koniucha. Chłopcy łowili każde słowo. – Nie może stanąć na tylnej nodze. Co mu zrobiłeś?

– Ja nic, panie! – wydyszał koniuch. – Jakem go prowadził z łąki, zaczął się już boczyć. Ale wściekł się dopiero, jak przeszliśmy zamkową bramę.

Ogier tymczasem drobił kopytami. W pewnej chwili wyrzucił prawą tylną nogę do tyłu, jakby chciał kogoś trafić, ale nikt za nim nie stał. Znów zaczął rzeć i wierzgać. Próbował zębami sięgnąć potężnej dłoni, która dzierżyła uzdę.

– Co za licho? – powiedział księżę do kapitana, który właśnie do niego dołączył. – Krwi nie widać, więc się nie poranił. Zresztą, z łąki prowadzi dobra droga, co mu się tam mogło przydarzyć?

Moran również przyjrzał się zwierzęciu; pochylił się, obserwując tę nogę, którą koń co jakiś czas wyrzucał do tyłu.

– Pomóż temu durniowi go uspokoić, a ja spojrzę, co tam się dzieje – polecił księżę.

– Jeszcze was kopnie – zaprotestował kapitan. – Może ja to zrobię albo masztalerz. –

Wskazał mężczyznę, stojącego w otwartych wrotach stajni.

– Jeśli kogoś teraz nie kopnie, to tylko mnie – odparł Leonor. – Nawykliśmy do siebie. Ale chodźże tutaj – zwrócił się do masztalerza. – Możesz się przydać.

Moran chwycił uzdę z drugiej strony, położył dłoń na chrapach wierzchowca. Ten od razu przestał tupać. Kapitan mruzczał coś do zwierzęcia, a ono strzygło uszami. Widać było, że kapitan doskonale zna się na koniach.

Tymczasem książę delikatnie chwycił pęcinę, zgiął końską nogę i przyjrzał się jej uważnie.

– Cierń – powiedział. – Wielki cierń. Skąd się wziął? Masztalerzu, przynieś szczypce.

Ogier, czując, że się nim zajmują i chcą pomóc, a nie zmusić do tępego posłuszeństwa, całkiem się uspokoił. Po chwili masztalerz wprawnym ruchem wyjął zza kopyta drażniący kolec.

Książę kazał odprowadzić konia, a sam stanął przed koniuchem. Musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć osiłkowi w twarz.

– Którędy go wiodłeś, ladaco?! Drogą miałeś prowadzić, a nie skracać jej sobie przez krzaki! Ileś zaoszczędził? Półsta kroków? Może sto?! Tak ci się do obiadu śpieszyło?!

Koniuch wydawał się robić coraz mniejszy i mniejszy. Coś tam próbował tłumaczyć, ale dostał lekkie plaśnięcie w potylicę od kapitana.

– Jak tak ci śpieszno było, żeby napchać kałdun, to teraz będziesz pościł! – warknął Leonor. – Tydzień w lochu o chlebie i wodzie nauczy cię rozumu i dbałości! Kapitanie, wezwij strażę. Aha, i dzisiaj niech mu już nic nie dają oprócz picia! Z głodu nie zemrze, bo nosi przed sobą pokaźne brzuszysko!

Widząc, że to już koniec widowiska, chłopcy wrócili do stołu.



Książę przechadzał się po komnacie wolnym krokiem. Chodził od ściany do okna, jakby się nad czymś zastanawiając, dopiero po dłuższym czasie odwrócił się do młodych gości. Założył ręce za plecy i wwiercał się w nich uważnym, przenikliwym spojrzeniem.

Evahowi zrobiło się nieswojo, Kellan zaczął się niespokojnie wiercić. Czyżby miała się odezwać kapryśna natura pana del Berwena, a jego zły nastrój odbić się na nich?

Ale książę Leonor potrząsnął tylko głową, odetchnął głęboko.

– Uf, już mi złość trochę przeszła – rzekł. – Miałem ochotę trzepnąć tego lenia obusykiem w łeb. Ale to by go mogło zabić.

– Ośmielę się zauważyć – odezwał się ostrożnie Grzywa – że byliście bardzo łaskawi, Wasza Wysokość. Kto inny kazałby mu dać ze dwadzieścia batów i wtrącił do lochu nie na parę dni, a na pół roku. Toż to bardzo cenny koń.

Książę przysiadł się do stołu, w zamyśleniu wziął nóż do krojenia mięsa i postukał nim w blat.

– Owszem, wielu panów nie cackałoby się z takim kłosem. Ale ja nie lubię krzywdzić ludzi bez potrzeby. Niektórzy uznają, że to tylko mój kaprys i chęć pokazania światu, jaki jestem łaskawy. Zresztą, wiele rzeczy, które robię, moi wysoko urodzeni krewni, przyjaciele i znajomkowie uważają za wytwór kapryśnej natury.

– Na przykład to, że nas też, zamiast potrzymać w zamknięciu do nie wiadomo kiedy, zawołaliście do siebie? – spytał Evah.

– Zapewne. – Książę uśmiechnął się lekko. – Ale przecież nikt nie powiedział, że po rozmowie nie każę was z powrotem zamknąć, prawda?

Chłopcy nie odpowiedzieli, zresztą pan del Berwen wcale tego nie oczekiwał.

– Posłuchaj, chłopcze. – Spojrzał Evahowi prosto w oczy. – Mój znakomity kuzyn, del Valdesse, przysłał gońca z żądaniem, abym cię wziął pod klucz. Sam nie zdążył tego zrobić, za późno mu doniesiono, że pojawił się młodzieniec, który poprzysiągł zemstę Żelaznemu Krukowi. Z początku nie bardzo w to wierzyłem, bo mój krewniak miewa różne pomysły, ale potem przyszedł do mnie pustelnik z taką samą wieścią, którą przesłał mu pewien kapłan z Salmary.

– Przeklęty Szatri. – Evah nie zdołał powstrzymać syknienia.

Grzywa szturchnął go ostrzegawczo, a książę zmarszczył brwi.

– Źle oceniasz tego człowieka – rzekł. – Nie zdradził cię. Przeciwnie, postanowił chronić, bo spodziewał się, że Ignatio może za tobą rozesłać wici. Poza tym jest w tej chwili moim poddanym, bo przygarnąłem wyklętego, więc ma wobec mnie obowiązki. Zatrzymałbym cię tak czy inaczej, ale dzięki Szatriemu dowiedziałem się paru rzeczy, które sprawiły, że postanowiłem z tobą porozmawiać, zanim zdecyduję, co dalej. Inaczej siedziałbyś w więzy bardzo długo.

– Próbowałem ci o tym powiedzieć – mruknął Kellan.

Evah przypomniał sobie, że kompan rzeczywiście coś zaczął mówić w lochu, kiedy wszedł nadzorca, żeby ich zabrać.

– Tak – mówił dalej książę. – Poza tym, byłem zmuszony spełnić żądanie księcia del Valdesse. Pozostajemy w przymierzu, nie wypada lekceważyć prośb przyjaciela, prawda? Dlatego zapewniłem go solennie, że znajdziesz się w celi więziennej. Zgodziłem się jednak równocześnie, żeby Szatri wspomógł twojego przyjaciela. O Kellanie w liście nic nie było, nie byłem więc czymkolwiek związany. Pustelnik odnalazł go z wielkim trudem, bo trzeba przyznać, że chłopak potrafi się ukryć. Nic dziwnego zresztą, że tak się zaszył, skoro szukają go ludzie ze złodziejskiego cechu.

Grzywa kiwał głową, a Evah poczuł wstyd, że niesłusznie oskarżył pustelnika. Ale skąd miał wiedzieć, jak sprawy stoją?

– Korzystając z okazji, że obaj znaleźliście się w moim polu widzenia, postanowiłem

poddać was pewnej próbie – powiedział Leonor. – Dlatego osadziłem cię właśnie w tej wieży, a nie w zwykłym lochu.

– Jakiej próbie? – Evah zmarszczył brwi. – Co moje uwięzienie miało udowodnić?

– Nie tyle uwięzienie, co twoje uwolnienie się – odparł ze śmiechem książę. – Możecie to uznać za jeden z moich słynnych kaprysów. Prawda jest taka, że lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. Skoro postanowiłeś rozprawić się z potworem, byle krata nie powinna cię zatrzymać. A twój towarzysz z kolei powinien być na tyle lojalny, żeby podjąć chociaż próbę uwolnienia kompana. I muszę stwierdzić, że tę próbę przeszliście pomyślnie.

– Pomyślnie? – spytał z niedowierzaniem Evah. – Przecież od razu nas złapali.

– Zaraz.

Książę klasnął w dłonie, kazał przynieść sobie wina, a chłopcom wody zaprawionej miodem i ziołami. Po chwili wszyscy sączyli z kubków.

– Jeszcze się nie domyśliłeś, że przez cały czas byliście pilnie śledzeni? – odezwał się pan del Berwen. – Każdego kroku Grzywy pilnowali ludzie kapitana, Szatri też nam donosił o jego zamiarach. Ale znów nie sądzcie go surowo. On także chciał pomóc mi się przekonać, ile jesteście warcu. Sam również był ciekaw. Ciebie, Evahu, sprawdził w walce, okazałeś się twardy i dzielny, ale co do Kellana miał jeszcze pewne wątpliwości.

– Mam rozumieć, że to mnie próbowaliście bardziej niż jego? – domyślił się Grzywa.

– Obu – odpowiedział z naciskiem książę. – Jeśli macie iść dalej razem i nie zginąć przy pierwszej sposobności, musicie współpracować i nadstawiać za siebie nawzajem karku. Evahowi jest łatwiej, bo dzielność ma we krwi, wyniósł ją z domu. Ale ty, Kellanie, musisz się pewnych rzeczy dopiero nauczyć. Z kolei Evah powinien od ciebie przejąć trochę tego złodziejskiego sprytu, którego masz nadmiar.

Zapanowała cisza. Chłopcy musieli sobie poukładać w głowie to, co przed chwilą usłyszeli, a Leonor nie zamierzał ich popędzać.

– A zatem próbę przeszliśmy pomyślnie – odezwał się wreszcie Evah. Ze zdziwieniem zauważył, że przy panu del Berwenie czuje się mniej skrępowany niż przed obliczem Edmira di Rukkona, chociaż tamten był tylko baronem na skrawku ziemi i miał nad sobą pana równego stanowiskiem władcy Berwen. – Co teraz z nami będzie?

– Teraz chcę wysłuchać waszych opowieści – odpowiedział książę. – Mamy czas, jest jeszcze wcześnie, więc nie musicie się martwić o ich obszerność. Zaczniemy od Evaha.

Chłopiec przełknął ślinę. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć, milczał więc długo.

– Urodziłeś się w wiosce, nad którą władzę sprawuje baron di Rukkon – pomógł mu pan del Berwen. – Opowiedz mi o ojcu i matce, o waszym życiu i oczywiście o nieszczęściu, które was spotkało.

Evah na wspomnienie rodziców poczuł w gardle gulę rozpacz. Przełknął ją i zacinając się, rozpoczął opowieść.

Z każdą chwilą było mu coraz łatwiej mówić, tym bardziej że książę spoglądał na niego

życzliwie i od czasu do czasu kiwał głową, dając znak, że słucha uważnie. I tak chłopiec niespodziewanie dla samego siebie opowiedział dosłownie wszystko. O tym, jak ojciec po powrocie z wojska został myśliwym, bo za dzielność otrzymał przywilej polowania w cesarskich i książęcych lasach, jak zostawał sam z matką, kiedy Krunnah wyruszał na dłuższe wyprawy łowieckie, jak sam pomagał w gospodarstwie, ale też się buntował przeciwko „babskim” pracom, nawet o tym, że ojciec ukrywał przed poborcami podatków część łupów z polowań. W tej chwili spojrzął z obawą na księcia, ale ten tylko się roześmiał:

– Cóż, każdy z nas próbuje zawsze urwać coś dla siebie. Wiem, że poborcy bywają niesłychanie chciwi i biorą więcej, niż się należy, żeby sobie napchać kabzę. Mów dalej.

I Evah mówił. O swoich wiecznych utarczkach z kowalem i jego synem, o spotkaniach z Verillą... Tu też się zaciął, bo zdjął go nagle żal i tęsknota za dziewczyną, a poza tym nieco się zawstydził, mówiąc o sympatii, jaką do niej czuł. Zaraz się jednak opanował i przeszedł do historii z Żelaznym Krukiem.

– Najpierw na niebie zaczęli krążyć skrzydlaci śludzy potwora – rzekł. – Ojca to bardzo zaniepokoiło, bo bywał w świecie i niejedno wiedział. Ale ludzie ze wsi nie chcieli go słuchać... Gdyby moja siostrzyczka nie dostała gorączki, pewnie byśmy już tę noc spędzili w lesie i nie musiałbym szukać zemsty.

Zamilkł, znów przełknął kłęb rozpaczony cisnący się od serca ku gardłu. Księżę uczynił uspokajający ruch ręką.

– Wystarczy. Resztę wiem już od pustelnika, bo przekazał mi, co opowiedziałeś. Ocaleliście tylko ty i twoja siostrzyczka, ojciec oddał życie, a matkę porwał Kruk na pożarcie albo żeby z niej uczynić kosztowny klejnot. Podobnie się stało z innymi mieszkańcami wioski. Teraz ty, Kellanie. Przedstaw mi historię swojego życia. A może raczej nam? Bo Evah na pewno wielu rzeczy o tobie jeszcze nie wie.

– Ja tam jestem złodziejem i odkąd pamiętam, byłem złodziejem. – Grzywa wzruszył ramionami. – Nie ma o czym opowiadać.

– Na pewno jest. Wiemy, że jesteś sierotą. Wiemy, że jako maluch dostałeś się pod czarne skrzydła mistrza cechu złodziejskiego. O tym mów.

Kellan, widząc, że się nie wymiga, westchnął i zaczął opowieść. Jemu również z początku szło nieskładnie, ale podobnie jak przyjaciel po krótkim czasie mówił już płynnie. Jego życie było o wiele smutniejsze niż Evaha, pełne przemocy, bólu, upokorzeń i strachu. Opowiadał o nauce, jaką odbierał od mistrza cechu, zwanego Trupem, o tym, jak kradł na jego polecenie, a także dla samego siebie, jak dostawał kary za wszelkie niepowodzenia, był wtrącany do ciemnicy i głodzony, a potem dostawał najgorsze prace i zadania, zanim znów wrócił do jakichś takich łask. Mówił także o swojej pracy dla fałszywego wróżbity, którego zdemaskował w obecności Evaha, o zemście, jaką mu poprzysiągł Trup za wyjawienie szalbierzemu jasnowidzowi jego handlowych zamiarów i o tym, jak syn myśliwego uratował go z opresji, kiedy dopadły go rzezimieszki mistrza cechu złodziei.

Kiedy skończył, słońce chyliło się już ku zachodowi, a książę kazał przynieść obiad. Posiłek nie był wystawny, wręcz skromny, ale bardzo smaczny. Leonor naprawdę cenił sobie prostotę. Może dlatego umiał rozmawiać z chłopcami pochodzącymi przecież z ludu i zdawał się całkiem dobrze ich rozumieć.

– Dobrze – powiedział, kiedy się posilili. – Oczywiście wypuszczę was...

– Wybaczcie, panie – przerwał mu Evah. – Rozumiem, że możecie puścić Grzywę, bo niczego nie obiecywaliście, jeśli chodzi o niego. Ale mnie? Zobowiązaliście się, że weźmiecie mnie pod klucz.

Książę, który w pierwszej chwili wyraźnie obruszył się i okazał niecierpliwość, że chłopiec ośmielił się wejść mu w słowo, roześmiał się i lekko uderzył dłonią w stół.

– I wywiązałem się ze zobowiązania. Byłeś uwięziony, nawet dwukrotnie. Mój dostojny kuzyn zapomniał w liście podać termin, na jaki mam cię zatrzymać. A może stwierdził, że po prostu wrzucę cię do lochu i zapomnę? A ja postanowiłem, że cię wypuszczę. Osobiście wątpię, czy książę del Valdesse będzie się interesował twoim losem. Sam zwykł zapominać o tych, których wtrącił do więzienia, więc o tobie też zapomni.

Evah zmrużył oczy, przyglądając się twarzy pana del Berwena. Ten oczywiście to zauważył, zmarszczył brwi.

– Czyżby wyskoczył mi jakiś paskudny przyszcz? – zapytał z rozdrażnieniem.

– Proszę o wybaczenie – odpowiedział Evah i skłonił lekko głowę. – Kiedy mówiliście, Wasza Wysokość, o zapominaniu, kogo się trzyma w lochach. Czy wy sami nie więzicie już nazbyt długo swojego krewniaka?

Książę drgnął.

– Skąd wiesz, że to mój krewniak? – spytał ostro.

– Kiedy tylko wszedłem, wasze oblicze przywiodło mi na myśl kogoś, kogo widziałem, ale przez rozmowę całkiem mi to wyleciało z głowy.

Leonor del Berwen skrzywił się, a potem machnął ręką.

– Tak, to mój młodszy brat. Dobry z niego człowiek, ale dopadł go nałóg pijaństwa. Dnia nie potrafi wytrzymać bez upicia się prawie do nieprzytomności. Co jakiś czas muszę go zamykać, żeby wytrzeźwiał, bo przecież w ten sposób zabija samego siebie. Zazwyczaj siedzi zamknięty w swoich komnatach albo w wieży. Ale tym razem postanowiłem mu dopiec, pokazać, jak wygląda prawdziwie zły los, dlatego wylądował w lochu ze zbójcami.

– A z nimi co będzie? – spytał Grzywa. Mimo zatargu, czuł z tymi ludźmi jakąś więź.

– Jeszcze dzisiaj albo jutro ma się zjawić pewien doskonały kat. Spotka ich los, na jaki zasłużyli.

– Oni nie są wcale tacy źli – mruknął Evah.

– Za rabunki na drogach karze się ścięciem lub powieszeniem – odparł twardo książę. – Chyba nie chcesz, żebym ich wypuścił?

Evah potrząsnął głową.

– Niechby ponieśli karę, ale po co ich zabijać? Może lepiej dać im jakąś ciężką pracę i niech odpokutują grzechy.

– A jeśli potem wrócą do zbójowania, dopiero ich wieszać – dodał Kellan. – Co za pożytek z trupów?

Książę znów zmrużył oczy, ale teraz nie w gniewie, tylko w zamyśleniu.

– Tak powiadacie? Hm... Ptasia Banda to rzeczywiście nie są najgroźniejsi bandyci w tej części imperium. Więcej robią wokół siebie hałasu, niż czynią prawdziwej szkody. Tylko że katu i tak będę musiał zapłacić, skoro się tu fatyguję. Niech się zastanowią.

– A miasto nie ma własnego kata? – spytał Evah, ale książę machnął na niego ręką, żeby nie przeszkadzał.

Grzywa pociągnął przyjaciela za rękaw.

– Ja ci wytłumaczę. Nie każde miasto utrzymuje mistrza małodobrego. Wręcz mało które ma prawo miecza, to znaczy sądzenia na śmierć i wykonywania wyroków. Jeśli zachodzi taka potrzeba, sprowadza się kata z innego miasta, żeby uczynił swoje. Utrzymanie takiego człowieka nie jest wcale tanie. Jeśli się często nie skazuje ludzi na śmierć, po co wydawać pieniądze?

– Ten, który ma przybyć, to kat wędrowny – wyjaśnił książę, który przysłuchiwał się mimo woli słowom Grzywy. – Nie osiedlił się w żadnym mieście z prawem miecza, tylko wędruje po świecie.

– I oferuje swoje umiejętności chętnym? – spytał Kellan.

– Ten niczego nie oferuje, ale można go wynająć. To wyjątkowa postać – powiedział Leonor. – Znamy się niezłe, dlatego wezwałem właśnie jego. Jeśli już zadaje śmierć, czyni to tak, aby nie dręczyć skazańca.

Evah kiwał głową, zapamiętując nowe dla siebie wiadomości.

Książę uśmiechnął się na wpół kpiąco, na wpół przebiegle.

– Zrobię z rozbójnikami, jak mówisz – rzekł. – Wprawdzie więcej na tym stracę, niż zyskam, bo do roboty nadają się jak pies do pług, ale niech będzie. Może porzucą rabowanie.

– Tam siedzi jeszcze kłusownik – przypomniał sobie Evah. – Co z nim zrobicie?

– W zasadzie za polowanie bez pozwolenia w książęcych lasach, które należą wszak też do cesarza, grozi stryczek. Ale nie zamierzam tak go karać! – Zamachał rękami. – Nie za parę wiewiórek i leciwą łanią. Nie musisz się za nim wstawiać. Posiedzi w lochu, dostanie parę batów dla pamięci, a potem leśniczy wynajdzie mu jakąś pracę, żeby odkupił winy.

Evah skinął głową, a książę milczał przez chwilę, zanim powiedział:

– Ale skoro mam ułaskawić rozbójników, wy też coś dla mnie musicie zrobić.

Rozdział 5

Niespodziewani towarzysze podróży



Chata pustelnika wydała się Evahowi jeszcze nędzniejsza, niż kiedy ją widział po raz pierwszy. Może dlatego, że przebywał ostatnio w kamiennych, solidnych budowlach, oglądając je dokładnie i od wewnątrz, i od zewnątrz. Zamek księcia, choć pewnie wcale nie najzamożniejszy, niemogący się równać z siedzibami cesarskimi, dla chłopca z niewielkiej wsi był czymś zjawiskowym.

Jednak w środku dom Szatriego okazał się tak przytulny, jak to Evah zapamiętał. Wyklęty kapłan zdążył już naprawić szkody, jakie wyrządził pamiętny napad ludzi z cechu złodziejskiego. Na palenisku tliły się węgle, posykując, kiedy z rusztu umieszczonego nad nimi kapały kropelki tłuszczu. Szatri przygotował na powitanie chłopców smakowitą pieczeń. A przynajmniej zapowiadała się na smakowitą, sądząc po zapachu.

Nie byli zbyt głodni po gościnie u władcy Berwen, ale woń mięsa i przypraw sprawiła, że poczuli chęć na jedzenie.

– Trzeba jeszcze trochę poczekać – powiedział pustelnik, dostrzegając tęskne spojrzenie Grzywy rzucone w kierunku potrawy. – Ciepło musi dojść do wnętrza i zrobić swoje, inaczej ucieknie smak i udziec będzie wprawdzie soczysty, ale niedostatecznie kruchy.

– Przywykliśmy do różnego jadła w drodze – mruknął Kellan. – A nawet do jego braku. Ale chętnie zaczekamy.

– Książę nas godnie ugościł – dodał Evah.

Patrzył na gospodarza spod zmarszczonych brwi. Nie bardzo wiedział, jak Szatri go potraktuje. Przecież nazwał pustelnika zdrajcą. Ale co miał pomyśleć, gdy okazało się, że mnich doniósł księciu o pojawieniu się chłopca? Kiedy gwardziści prowadzili go do wieży jak najgroźniejszego przestępcę? A potem w celi, gdy miał dość czasu na rozmyślenia, do jakich mógł dojść wniosków? Został zdradzony, przerwano jego wędrówkę, nie wiedział, ile czasu spędzi w zamknięciu.

– Nie patrz tak! – roześmiał się Szatri. – Księżę chyba wytłumaczył wam, dlaczego postąpiłem w ten sposób? Dzięki temu wyruszyście w dalszą drogę nie tylko z niezbędnymi wiadomościami, ale też doskonale wyposażeni.

Evah spojrzał rozmówcy prosto w oczy, potrząsnął głową.

– Tylko dlatego, że udało nam się pomyślnie przejść tę waszą próbę. Gdyby nie to, wciąż siedziałbym w wieży, a może nawet już w lochu.

– Skąd! – Pustelnik znów się zaśmiał. – Księżę ani przez chwilę nie zamierzał cię uwięzić na dłużej. Spełnił prośbę, czy raczej żądanie krewniaka, uwięził cię, ale za co miałby cię trzymać dalej? Nie popełniłeś żadnej zbrodni. Wypuściłby cię tak czy inaczej, tylko nie zaoferował pomocy.

– Chcę odnaleźć Żelaznego Kruka – odparł chłopiec. – Jak już się zdążyłem przekonać, dla niektórych to właśnie przestępstwo.

– Lecz nie dla Leonora. – Szatri machnął ze zniecierpliwieniem ręką. – Nie ma o czym gadać. Nasz księżę jest człowiekiem mądrym i zapobiegliwym. To dzięki jego pośrednictwu i rozumowi pan del Valdesse nie bije się na okrągło ze wszystkimi dookoła, a szczególnie z panem Lapurii. Dobrze się składa, że z kolei władca Lagen ma dobry wpływ na hrabiego Ronara ven Dolmana. No i nie bez znaczenia jest to, że Lapurię od Valdesse oddziela wąski pas ziem Berwen, łączący się na południu z Lagen. Inaczej mielibyśmy ustawicznie płonące pogranicze. Chociaż to ostatnie, czyli sprawy graniczne, stanowi najmniejszą przeszkodę. Przodkowie zwaśnionych stron nie przejmowali się znaną własnością ziem, urządzali na siebie najazdy właśnie przez ten przesmyk.

– Ale obecni władcy tego nie robią? Co im przeszkadza? – spytał Kellan.

– Nie robią, bo księżęta Leonor i Ronar potrafią rozmawiać z oboma wariatami, przecież mówiłem. Wystarali się nawet u cesarza o edykt, który zabrania przedzierania się wojsk państwów pozostających w stanie wojny przez terytorium Berwen czy Lagen pod karą utraty szlacheckiej godności, a nawet wolności. Tylko że to też nie gwarantuje spokoju. Cesarz jest daleko, a poza tym niechętnie miesza się w wasnie swoich panów. Co więcej, chyba nawet woli, żeby się gryźli między sobą.

– Dlaczego? – zdziwił się Evah. – Nie lepszy jest spokój?

– Tak łatwiej mu rządzić, bo on ma wtedy spokój – mruknął Grzywa. – Trup robi podobnie. Słyszałem kiedyś, jak mówił do swojego najbliższego przyjaciela, że jeśli przywódcy różnych grup w cechu się kłócą, może ich wykorzystywać przeciwko sobie

i panować nad nimi. A gdyby się porozumieli, mogliby go w każdej chwili pozbawić władzy.

– Blisko byłeś tego bandyty – zauważył Szatri. – Wcale się nie dziwię, że kazał cię ścigać aż tutaj. Znasz pewnie sporo innych jego tajemnic.

– Niewiele – zaprzeczył Kellan. – Ale coś tam wiem.

Szatri podszedł do rusztu, przewrócił mięso, podlał je sosem z garnuszka, grzejącego się przy palenisku, żeby tłuszcz zachowywał płynną konsystencję.

– Tak właśnie jest – rzekł, patrząc w zamyśleniu na przyrumieniony udziec. – Cesarzowi potrzebni są poddani, którymi można kręcić na wszystkie strony, więc pokój między panami jest mu nie na rękę.

Evah skrzywił się, wydał wargi i wypuścił powietrze.

– Wstrętne jest to, o czym mówicie – zauważył.

– Wstrętne – zgodził się pustelnik. Odwrócił się do gości. – Ale tak się sprawuje władzę. Podzielonymi na różne grupy i frakcje ludźmi łatwiej się rządzi. Skończmy jednak z takimi smutnymi rozważaniami.

Podszedł do stołu, stanął przed Evahem. Chłopiec odruchowo wstał, widząc powagę na twarzy wyklętego kapłana.

– Uwierz mi, chłopcze, że gdybym miał choć cień podejrzenia, że księżę Leonor może cię skrzywdzić, nigdy bym mu nie powiedział o twoim przybyciu. Chociaż jestem mu winien wdzięczność i wierność za to, że chce mnie mieć pod swoim bokiem, podczas gdy kapłani suszą mu o to głowę i co trochę wnoszą petycje, żądając mojego wygnania z kraju lub co najmniej przeniesienia gdzieś na Kemarski Moczar, a on nie ulega tym naciskom.

– Kemarski Moczar to okropne miejsce – powiedział cicho Evah. Przeszedł go dreszcz na wspomnienie strasznej nocy pośród bagnisk.

– Coś o tym wiesz. – Szatri uśmiechnął się. Nie potrafił zbyt długo zachować powagi, taką już miał naturę. – W każdym razie między nami zgoda?

Wyciągnął do chłopca rękę, ale nie tak, jak to czynią zazwyczaj witający się mężczyźni, lecz z dłonią uniesioną ku górze, na wysokość twarzy. Tak pozdrawiali się wojownicy, tak żegnali się z Evahem zaprzyjaźnieni żołnierze, kiedy wyruszał z Salmary w niebezpieczną podróż.

Syn myśliwego bez chwili wahania wyciągnął rękę, ujął prawicę pustelnika i chwilę trwali, mocno ściskając sobie dłonie.

– Chyba jestem ci winien przeprosiny – powiedział Evah, kiedy usiedli. – Aż do rozmowy z księciem miałem cię za sprzedawczyka. Dlatego...

– Nieważne – przerwał mu Szatri. – Mogłeś tak pomyśleć. Co więcej, powinienes, skoro miałeś przejść próbę. Kellan też nie wiedział, jak to naprawdę wygląda. Myślał, że ruszyło mnie sumienie, dlatego przyjąłem go pod swój dach.

– Nie wiedziałem – przyznał Grzywa. – Ale czegoś się domyślałem. Tylko nie zdążyłem

nic powiedzieć Evahowi.

– Teraz to naprawdę bez znaczenia – rzekł pustelnik. – Wszystko się wyjaśniło, a ja uzyskałem od księcia pozwolenie, aby udzielić wam wskazówek.

– Wskażesz nam drogę do gniazda Żelaznego Kruka? – Evah aż podskoczył na zdydlu z podniecenia.

Pustelnik patrzył na niego dłuższą chwilę.

– Nie wiem, gdzie się znajduje – rzekł w końcu. A widząc zawód na twarzy chłopca, uniósł dłoń. – Ale powiem wam, w jaki sposób można znaleźć człowieka, który to wie doskonale. O ile jest jeszcze człowiekiem – dodał ciszej.

– Co to znaczy, o ile jest jeszcze człowiekiem? – zaniepokoił się Kellan.

– Sami zobaczycie, oczywiście jeśli uda się wam do niego dotrzeć.

Evah machnął na przyjaciela ręką, żeby nie przerywał i zapatrzył się na suche, wąskie usta gospodarza, jakby to miało pomóc w uzyskaniu wiadomości.

– O tym człowieku mało się mówi na tych ziemiach, więcej o nim można usłyszeć na zachodzie imperium, a osobiście na północnym zachodzie. Ale ludzie niechętnie wspominają tę postać. Z nim jest jak z samym Żelaznym Krukiem. Mogliście się przekonać, że już w Valdesse istnieje coś w rodzaju zмовы milczenia. Niby ludzie wiedzą, że stwór istnieje, ale mówią o tym niechętnie. Im dalej pójdziecie w stronę zachodnią i ku północy, tym bardziej będzie to widoczne. Nie należy mówić o stworze zbyt głośno. Podobnie jak o tym, którego nazywają Szalonym Magiem.

– To jego mamy odnaleźć? – domyślił się Evah.

– Właśnie jego – potwierdził pustelnik. – Ale nie będzie to łatwe. Bo ja też nie wiem, gdzie dokładnie siedzi i nigdy mnie to zbytnio nie ciekawiło, prawdę mówiąc. To znaczy, mogę określić kierunek, ale znalezienie go zajęłoby mnóstwo czasu. Będziecie musieli jeszcze kogoś dopytać po drodze.

Evah westchnął w duchu. Zaczął się obawiać, że łańcuch ludzi, którzy mogą mu jakoś pomóc, zaczyna się niepokojąco wydłużać. A co, jeśli się okaże, że nie ma końca?

– To również zakonnik, ale nie taki, jak ja. Człowiek szanowany, u którego możni zasięgają rad...

Zawiesił głos, spojrzał na mięsiwo, a potem podszedł do okna.

– Ale dokładniej powiem wszystko rano. Na razie mamy gości. A piecyste już dochodzi. Usiądziemy do wieczerzy.

Evah skrzywił się z niechęcią, ale nic nie powiedział, tym bardziej że na zewnątrz rzeczywiście rozległy się kroki, a potem stukanie do koślawych drzwi.



Wyruszyli wczesnym rankiem następnego dnia, kiedy jeszcze szarość przedświtów niezupełnie odeszła, a nad polaną unosił się lekki opar. Evah szedł wąską ścieżką na samym końcu, mając przed sobą Kellana. Przed nim widział szczupłą sylwetkę mężczyzny, którego poznali w więzieniu, a na czele majaczyła wysoka, również szczupła, ale barczysta postać. Ten człowiek wyglądał w tej chwili jak cień, ale gdyby nawet szedł w pełnym słońcu, właśnie z cieniem by się kojarzył.

O ile obecność Mavarena, brata księcia Leonora, nie była dla chłopców zaskoczeniem, o tyle nie spodziewali się zupełnie groźnie wyglądającego mężczyzny. Evah dostrzegł też, jak pustelnik zareagował na jego pojawienie się w chacie. Drgnął i zeszywniał, spojrzął na długi miecz, który przybysz nosił na plecach w skórzanej uprzęży. Cały ten człowiek był odziany w czarne skóry, na ramiona miał narzucony obszerny płaszcz, spod którego wystawała rękojeść broni.

W ogóle zrobiło się dość dziwnie. Chłopcy wpatrywali się z zaciekawieniem i niepokojem w przybysza, pustelnik zaniemówił bodaj po raz pierwszy, odkąd go poznali, tylko Mavaren zachowywał się swobodnie, zasiadł przy stole i wlepił wzrok w pieczone, dochodzące na ruszcie. Izbę wypełniał wspaniały zapach. Evah i Kellan mniej go odczuwali, bo przebywali w domu od dłuższego czasu, ale przybyłych musiał uderzyć w nozdrza z wielką siłą.

– Witaj, czcigodny Szatri – odezwał się wreszcie tajemniczy mężczyzna. – Mam nadzieję, że nie wygnasz mnie spod swojego dachu.

Głos miał głęboki, łagodny, chociaż pobrzmiewały w nim twarde, chropawe tony. Po akcencie sądząc, mężczyzna pochodził z daleka, a jego wymowa kojarzyła się Evahowi trochę z kupcem Harimim, ale też ze śpiewnymi nutami, jakie chłopiec słyszał u pewnego kapłana, który zawitał do wioski ponad rok wcześniej, aby nauczać dzieci i chętnych dorosłych o bogini płynących wód, Maan. Mówił, że urodził się i wychował na północnym wschodzie, ale nazwy krainy Evah nie zapamiętał.

– Oczywiście, oczywiście. – Pustelnik zakrzętnął się, jakby chciał zatrzeć pierwsze, niezbyt przyjemne wrażenie. – Siadajcie, moi drodzy, jadła wystarczy dla wszystkich.

W milczeniu przeniósł pieczeń na duży drewniany półmisek i zaczął ją dzielić.

– Książę powiadomił mnie, że oprócz swojego brata przyśle tutaj kogoś jeszcze – powiedział, kiedy nałożył każdemu solidną porcję – ale nie spodziewałem się, że będziesz to właśnie ty, kacie.

Evah zamarł z kęsem w pół drogi do ust. Gorący tłuszcz spływał mu po palcach, ale chłopiec nie zwracał na to uwagi. Kat? Ten sam, który miał dokonać egzekucji rozbójników? Na pewno on, bo któż by inny?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko i pokiwał głową.

– Życie jest pełne niespodzianek, Szatri. W twoim wieku powinieneś już dobrze o tym wiedzieć.

– I kto mi wiek wypomina... – zaczął pustelnik, ale zamilkł, kiedy przybysz zmarszczył

brwi.

Chłopcy przysłuchiwali się z ciekawością wymianie zdań, za to Mavaren zdawał się nadal niczym nie przejmować. Pałaszował pieczeń, jakby nie jadł od tygodni. Evah nagle zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie tak właśnie było. W lochu karmiono go tym samym, co innych. Pyszna potrawa na pewno stanowiła miłą odmianę po suchym chlebie, wodzie i rzadkiej polewce serwowanej raz dziennie, w której tylko czasem pływał jakiś kawałek mięsa.

– Nie rozmawiajmy o przemijaniu – rzekł kat pojednawczym tonem, a Szatri skinął głową. Widać było, że ci dwaj znają się i na pewno nie są przyjaciółmi, choć darzą się niechętnym szacunkiem. – Weźmy się do jedzenia, szkoda, żeby tak wspaniale przyrządzona baranina ostygła.

Potem już przez cały wieczór mówił niewiele. Powiadomił tylko obecnych, że wyrusza z nimi na prośbę księcia i będzie im towarzyszył na pewno do Malbarii, leżącej dość daleko na północny zachód od Valdesse.

A teraz szedł jako pierwszy. Kiedy wkroczyli na leśny trakt, nadleciał mocny powiew, rozwiął poły skórzanego płaszcza mężczyzny. Zanim kat je zebrał, przez chwilę wyglądał jak wielki, złowieszczy ptak... Jak kruk...

Evah wzdrygnął się. Też mu książę naraił towarzyszy podróży! Swojego beztroskiego, leniwego brata, wielkiego miłośnika trunków i tego mistrza małodobrego, który zdawał się pochodzić nie z innego nawet kraju, ale wręcz innego świata. W nocy siedział długo i rozmawiał z Szatrim, ale Evah nie miał pojęcia, o czym, bo chociaż mógł usłyszeć każde słowo wypowiedane przyciszonymi głosami, mężczyźni posługiwali się nieznanym chłopcu językiem. Śpiewnym i chrapliwym zarazem, budzącym odległe skojarzenia ze śniegiem i lodem, wywołującym w sercu dziwną tęsknotę, ale zupełnie niezrozumiałym. Tylko kilka razy chłopiec złowił takie słowa jak „Evah” i „Kellan”, więc domyślał się, że rozmowa dotyczy również ich albo może przede wszystkim ich, ale nie bardzo wiedział, czy powinien się czuć tym pokrzepiony, czy raczej zmartwiony.

Domyślał się, że Grzywa też podsłuchuje, bo nie sapał przez sen swoim zwyczajem i nie pochrapywał cicho, jak to mu się zdarzało, kiedy sypiali w bezpiecznym otoczeniu, nie przypuszczał jednak, żeby przyjaciel rozumiał cokolwiek więcej niż on.

Jedynie Mavaren spał snem sprawiedliwego, najedzony aż do rozpuknięcia. Próbował wprawdzie nakłonić pustelnika, żeby poczęstował go winem lub chociaż piwem, ale Szatri był nieugięty.

– Nie wiesz, jak z tym jest? – spytał. – Wystarczy naparstek, a wrócisz do nałogu, a nim minie jedna modlitwa do boga napitków Leanna, będziesz leżał pod ławą bez przytomności.

Mavaren obraził się z początku na kapłana, ale potem machnął ręką i zadowolił się wodą z miodem i ziołami.

– Przysięgłem bratu, że nie wezmę nic mocniejszego do ust – rzekł – tyle że nie tak łatwo

dotrzymać obietnicy. Co tam, wolę nie pić i iść z wami na włóczęgę, niż siedzieć w cuchnącym lochu ze śmierdzącymi szubienicznikami.

Ten człowiek zdawał się zupełnie nie interesować, dokąd i po co idą. Książę na pewno go uświadomił, ale niebezpieczeństwo nie robiło na Mavarenie wrażenia. Evah pomyślał, że brat Leonora albo jest tak beznadziejnie beztroski, albo zbyt głupi i oteńpiony już za sprawą nadużywania alkoholu, żeby zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. O wielką odwagę i żądzę przygód na pewno Mavarena nie podejrzewał.

– Ciekawe, czy nie porzuci nas gdzieś po drodze – powiedział do Kellana, kiedy poszli do źródła, aby obmyć się przed snem. Wprawdzie Evah tuż przed odwiedzinami u pustelnika wyparzył się porządnie w książęcej łaźni, ale po tylu dniach bez mycia wciąż mu się zdawało, że jest brudny.

Grzywa pokiwał głową.

– Tak mi się zdaje. Nawet jeśli przysiągł księciu Leonorowi, że nas nie porzuci, wątpię, aby się tym bardzo przejmował. Tak jak obietnicą, że nie będzie pił. Przecież już próbował urobić Szatriego. Chociaż – dodał po chwili – z takimi nigdy nie wiadomo. Kiedyś urznąłem sakiewkę podobnemu utracjuszowi. Chwytał mnie i wezwał strażę, lecz gdy go zacząłem błagać, by mnie wypuścił, zaklinałem na bogów i płakałem, że nie chcę stracić dłoni, zlitował się i zanim przybiegli miejscy pachołkowie, pozwolił mi umknąć w tłum. Tak, trudno coś pewnego o nim powiedzieć. Przekonamy się w drodze.

Na trakcie szli dwójkami – kat i Mavaren przodem, chłopcy pięć kroków za nimi. Wszyscy milczeli. Mistrz małodobry zdawał się pogrążony we własnych myślach, brat księcia najpierw coś tam próbował nucić i pogwizdywać, ale szybko dał spokój, a Evah z Kellanem nie mieli ochoty na rozmowy. Zresztą, każdy z nich też rozważał i wspominał niedawne wydarzenia, próbował odgadnąć, co ich czeka.

Na razie kierowali się na północ, ale za jakiś czas przyjdzie im skręcić na szlak prowadzący ku zachodowi. Siedziba Szalonego Maga powinna znajdować się właśnie na północnym zachodzie, a trakt, na który mieli zejść, biegł przez księstwo Anzi. Jak zapewniał Szatri, władza cechu złodziejskiego z Salmary tam nie sięgała, więc mogli się czuć bezpieczniej, niż gdyby obrali krótszą drogę przez Valdesse. Ale też obchodzili tę dziedzinę z tego względu, że gdyby jakimś sposobem do tamtejszego księcia dotarła wieść, że młody śmiałek kontynuuje wyprawę, niewątpliwie próbowałyby go zatrzymać, tym razem w swoim więzieniu i bez wątplenia już na dobre.

Evah zżymał się trochę w duchu, że stracą czas, ale rozumiał, że niekiedy tak trzeba. „Najkrótsza droga z jednego miejsca do drugiego nie zawsze wiedzie na wprost – powtarzał nieraz ojciec. – Zdarza się, że obierając cel, musimy nieco zboczyć, zatrzymać się, odczekać”.

Wówczas chłopiec nie bardzo rozumiał, o co chodzi w tej mądrości, którą jego rodzic usłyszał od jakiegoś uczonego, wcielonego na siłę i zupełnie omyłkowo do oddziału ciężkiej

piechoty, lecz teraz zaczął do chłopca docierać sens słów. Nadkładając drogi, zapewniali sobie spokój, mogli też liczyć na życzliwość urzędników księcia Anzi, jako że Leonor del Berwen utrzymywał z tutejszym władcą przyjazne stosunki. Evah zastanawiał się teraz, czy księżę nie wysłał Mavarena tylko i wyłącznie po to, żeby ułatwić im tę pierwszą część podróży. Wprawdzie podczas rozmowy, kiedy postawił warunek, że zabiorą młodszego del Berwena w zamian za ułaskawienie rozbójników, chłopiec uznał, że księżę jest już zmęczony swoim krewniakiem, a poza tym liczy na to, że podczas wyprawy ten jakoś zacznie się zmieniać, ale teraz nabrał wątpliwości. Leonor był niewątpliwie człowiekiem mądrym i przewidującym, wiedział też doskonale, ile znaczy słowo pijaka.

W rodzinnej wiosce chłopca zdarzali się mężczyźni, którzy nazbyt często nawiedzali karczmę leżącą między młynem a osiedlem. Ich żony stale narzekały, że pijanice tylko przysięgają, że więcej nie zajrzą do dzbana, ale gdy tylko nadarzy się okazja, z miejsca zapominają o solennych zapewnieniach. Nie wyglądało na to, żeby Mavaren był inny.

Chłopiec spojrzał na niezbyt wysoką szczupłą sylwetkę. Brat księcia niósł na plecach worek, jak wszyscy oprócz kata. Ten nosił dużą torbę, przerzuconą przez ramię pod płaszczem. Nie mogło się w niej znajdować zbyt wiele dobytku. Ale skoro małodobry całe życie wędrował, chyba wiedział, co robi. Natomiast Mavaren zapakował do swojego worka całkiem sporo zbędnych rzeczy, a nawet jakieś pachnidła. Zabrał też resztę pieczeni, chociaż każdy otrzymał doskonały chleb z piekarni księżęcej i nie mniej doskonałe wędzone i suszone paski mięsa.

Broń też miał nieco dziwną. O ile kat dźwigał długi, solidny miecz, o tyle brat księcia przypasał sobie wąską i bardzo ostro zakończoną klingę. Rękojeść miała podobną do mieczowej, tyle że jeden z jeliców został wydłużony i wygięty tak, że pałakiem zasłaniał dłoń, a u zbiegu ostrza i rękojeści zamocowano stalową, solidną tarczkę. Evah, który miał już pewne doświadczenie z bronią, przyglądał się temu dziwowisku przez sporą część wieczoru, jako że Mavaren odstawił broń w kąt i jakby o niej zapomniał. Chłopiec wyobrażał sobie, że można się sprawnie posługiwać czymś podobnym, ale wolał swój krótki miecz, na pewno cięższy, jednak dobrze wyważony i mocny.

Tylko Kellan nie miał długiej broni, ale dźwżył swój ulubiony kostur, a poza tym za pazuchą chował solidny sztylet. Ktoś, kto by chciał uczynić mu krzywdę, mógłby się bardzo zdziwić, gdyby nagle spojrzał na ostrze lśniące między oczami i obiecujące rychłą śmierć. Evah mógł się już przekonać, że o wartości Grzywy nie stanowią zwykła krzepa i wojowniczość, ale spryt i szybkość. W bezpośrednim pojedynku z dobrze uzbrojonym i doświadczonym przeciwnikiem nie miałby większych szans, ale w zamieszaniu i ścisku radził sobie doskonale.

Kat zwolnił kroku, przystanął, obejrzał się na chłopców.

– Teraz wy idziecie z przodu – zarządził. – Przynajmniej przez pół dnia nigdzie nie zboczemy, wystarczy zmierzać przed siebie.

Evah skinął głową, trącił Grzywę w ramię.

– Chodźmy.

– Kiedy będzie postój? – zapytał brat księcia.

Spojrzeni na niego zaskoczeni.

– Przecież niedawno jedliśmy śniadanie i ledwie wyruszyliśmy w drogę – zauważył Evah.

– Ale ja już jestem głodny – odparł Mavaren. – Kiedy zatrzymamy się, żeby coś zjeść?

Evah otwierał już usta, żeby w miarę uprzejmie uświadomić mężczyźnie, że trzeba jeszcze trochę przejść, jednak wyreczył go kat.

– Nieprędko – powiedział spokojnie, ale dobitnie. – Nie wcześniej, niż w południe.

Mavaren chciał coś odpowiedzieć, lecz kat uciszył go krótkim, ostrym gestem.

– Dość o tym!

Księżę wydał wargi, ale nic nie powiedział, a Evah pomyślał, że towarzystwo mistrza małodobrego ma swoje dobre strony. Nie trzeba będzie się użerać z rozpieszczonym paniczkiem, skoro odczuwa taki respekt dla kata. Kto by go zresztą nie odczuwał? Chyba tylko ostatni głupiec.

Rozdział 6

Mistrz małodobry



Evah zobaczył wielkie, zakrzywione ostrze dosłownie w ostatniej chwili. Nie miał czasu zasłonić się mieczem, mógł tylko spróbować uskoczyć. Szarpnął się w tył i jednocześnie w bok, w stronę przeciwną do ruchu wrogiej klingi. Tak uczył go ojciec. Powinien nie tylko zejść po prostu z linii ciosu, ale też uniemożliwić przeciwnikowi zadanie natychmiast kolejnego cięcia, czyli znaleźć się jak najdalej od morderczego żelaza.

Zresztą, gdyby nawet zdołał unieść własną klingę, żeby stanęła na drodze tej krzywej, nie dałby rady powstrzymać uderzenia. Było zbyt silne, zadał je mężczyzna przewyższający chłopca o więcej niż głowę, ze dwa razy szerszy w ramionach od kowala z Zarzecza, a przecież to był potężny chłop.

Może Evah dałby radę uciec napastnikowi, ale potknął się, zaplątał we własne nogi i runął na ziemię. Miecz poleciał gdzieś w ciemność.

Dopiero teraz chłopiec zauważył, że znajduje się w kręgu jasnego światła, ale to tylko parę kroków w każdą stronę, a dalej panuje mrok. Mrok gęsty, nieprzenikniony, ziejący grozą.

Wielki mężczyzna zbliżył się nieśpiesznie, kołysząc w dłoni jednosiecznym mieczem o głównej przypominającej sierp młodego księżyca. Lśniła jak lustro, odbite promienie, padające nie wiadomo skąd, a może ze wszystkich stron, raziły oczy chłopca.

Znieruchomiały Evah wpatrywał się w miecz, który wędrował nad głowę mężczyzny.

Olbrzym ujął rękojeść również drugą ręką, żeby zadać ostateczny cios. Evah pomyślał, że zaraz zostanie rozcięty na pół w dowolną stronę, zależy, jak przeciwnik trafi. Ale ta myśl była dziwnie odległa, jakby dotyczyła kogoś innego. Czy tak się czuje człowiek na mgnienie oka przed śmiercią, kiedy wie, że nic go już nie uratuje? Podobno przed oczami powinno w takim momencie przelecieć całe życie. Tak w każdym razie mawiali starsi ludzie. Ale Evahowi nie przypomniało się nic z przeszłości. Po prostu czekał na koniec... A olbrzym wcale się nie śpieszył. Trzymając ostrze nad głową, uśmiechnął się okrutnie. Spomiędzy warg wysunął język. I dopiero w tej chwili Evah się przeraził.

Wężowy sługa? Czciiciel najokrutniejszego z bogów Thuebana, zwanego również Shytanem? Jako jedyne z bóstw nosił dwa różne imiona, choć oba groźne, zwiastujące nieszczęście. Był dwoisty, jak rozwidlony język...

– Zabiorę cię do siebie – oznajmił mężczyzna. – Zostaniesz jednym z najwspanialszych klejnotów w moim skarbcu.

Evah wstrzymał oddech. To nie był sługa! To był sam bóg Thueban! Ten, który jednym tchnieniem potrafił zmienić całe połacie ziemi w jałową, wypaloną pustynię, a mieszkających na niej ludzi w żywe trupy, chodzące bez celu i łaknące tylko jednego – zaspokoić wieczne pragnienie gorącą krwią żywych.

– Nie!!! – krzyknął chłopiec.

Poczuł przypływ sił, jaki daje tylko ostateczna rozpacz. Przekręcił się na brzuch, znowu na plecy, a wielkie ostrze rozorało ziemię dwa palce od jego ramienia. Poderwał się i...

Czyjaś mocna dłoń przycisnęła go z powrotem. Czyżby bóg miał pomocnika?

Evah znów się poderwał, rozejrzał dookoła.

Ciemność. Właściwie szarość. Namacał dłonią, chwycił rękojeść miecza, leżącego zawsze tuż przy nim.

– Ćśś – usłyszał uspokajający głos. – Nic się nie dzieje...

Chciał jeszcze unieść ostrze, uderzyć przeciwnika między oczy, zanim sam zginie, ale mocna dłoń ścisnęła jego rękę.

– Zły sen, chłopcze – rozległ się szept. – Miałeś tylko zły sen.

– Krzyczałem? – spytał Evah. – Rzuciałem się.

– Nie, choć pewnie powinienes. Jednak widać na szlaku panujesz nad sobą, nawet pogrążając się w krainie marzeń. Dopadł cię straszny koszmar?

Evah dopiero teraz oprzytomniał, ale ten, którego ujrzał nad sobą, wydał mu się nie mniej groźny od Thuebana. Szarpnął się, jednak mocne palce mrocznego mężczyzny nawet nie drgnęły.

– Uspokój się, tamto już minęło – powiedział cicho wędrowny kat. – Nie mnie przecież widziałeś, nie ze mną walczyłeś. To było zło, tak? Zło w najczystszej postaci?

Evah odetchnął głęboko. Skoro znalazł się na łasce tego człowieka, który był wielokrotnie silniejszy od niego, musiał ulec. Przynajmniej w tej chwili.

– Dobrze – powiedział mistrz małodobry. – Potrafisz się ugiąć, żeby odbić później jak sprężysta gałąź.

W mdłym blasku małego ogniska Evah zobaczył tuż przed sobą oczy niechcianego towarzysza podróży. Nie znalazł w nich groźby czy złości. Miały zupełnie nieoczekiwany wyraz jakby smutku i odwiecznego zamyślenia. A jednocześnie spoglądały bystro, oceniały walecznego chłopca.

Kat odsunął się od Evaha, usiadł przy dogasającym ognisku, dorzucił parę gałązek. Ogień cofnął się, kiedy upadły prosto w żar, ale po chwili wrócił i zaczął lizać drewnienka. Syn myśliwego położył się z powrotem, odetchnął głęboko, lecz nie mógł zasnąć. Mistrz katowski zbyt go niepokoił. Wprawdzie po całym dniu wędrówki chłopiec zasnął jak kamień, ale teraz, gdy już się zbudził, czuł coraz większą obawę.

– Często miewasz takie złe sny? – odezwał się nagle kat.

Evah drgnął. Mężczyzna siedział do niego tyłem, mimo to doskonale wiedział, że chłopiec czuwa.

– Nie bardzo. Pamiętam tylko jeden taki. Tej nocy, kiedy Żelazny Kruk napadł na naszą wioskę.

Kat uniósł rękę, skinął wskazującym palcem, a Evah od razu wiedział, że to do niego. Małodobry chciał, żeby chłopiec przysiadł się do niego przy ogniu.

– Na razie i tak nie zaśniesz – rzekł, kiedy syn myśliwego usadowił się na zwiniętym kocu. – Jeśli masz się męczyć, patrząc ustawicznie w moje plecy, lepiej popatrz w ogień.

Evah otworzył usta, żeby coś powiedzieć, nawet skłamać, że wcale się nie gapił, ale zrezygnował. Zdał sobie sprawę, że kat wie lepiej. Położył miecz obok siebie. Małodobry zerknął na broń, wyciągnął rękę. Po krótkiej chwili wahania chłopiec podał mu oręż. Przecież gdyby ten człowiek chciał go zabić, mógł to zrobić tysiąc razy w ciągu tej nocy gołymi rękami.

Kat wy dobył miecz, obejrzał go pod światło ogniska, zawinął w rękę. Był na tyle wysoki, że krótka klinga nie miała prawa zawadzić o ziemię, nawet kiedy siedział.

– Doskonała broń – rzekł cicho. – Rękojeść ładnie wyrobiona, chociaż chyba nie bardzo pod twoją rękę. Za dużo masz w niej luzu.

– To miecz ojca – odparł Evah. – Był żołnierzem, zanim osiadł z powrotem w rodzinnych stronach.

– Ojca... – powtórzył kat w zamyśleniu. – Nie żyje... Książę to i owo mi opowiedział. Twój ojciec albo miał szczęście, że trafiło mu się takie ostrze, albo umiał zadbać, żeby dostało się w jego ręce. Coś mi się wydaje, że to drugie.

– Skoro tak mówicie, to sądzę podobnie – przyświadczył chłopiec. – Tatko zawsze powtarzał, że to dobra klinga, choć wygląda niepozornie i ma niepiękną oprawę.

Kat pokiwał głową.

– Gdyby siła broni tkwiła w zdobieniach, najlepiej by nią robili najbogatsi. A tak wcale

nie jest i nigdy nie było.

Evah zapatrzył się w płomyki, coraz śmieiej obejmujące nieco wilgotne gałązki. To było całkiem fascynujące obserwować, jak żar i ogień wysuszają odporne drewno.

– Z człowiekiem jest podobnie – rzekł kat. – Nawet nie zauważa, kiedy płomień go ogarnia i przywodzi do zguby, spopiela nie tylko ciało, ale i duszę.

Mówił bardziej do siebie niż chłopca, a Evah wzdrygnął się.

– Umiecie czytać w myślach, mistrzu? – spytał z obawą.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Kat spojrzał na niego i unióśł brew. A właściwie miejsce, gdzie powinna się brew znajdować, a które było zupełnie gołe.

Evah dopiero teraz zrozumiał, dlaczego ta twarz budzi taki niepokój. Nie było na niej śladu owłosienia, gładka czaszka zdawała się wygolona przez najostrejszą z brzytwę świata.

– Jakoś tak – wybąkał, onieśmielony. – Najpierw wiedziałeś, mistrzu, że dręczy mnie zły sen, że pojawiło się w nim czyste zło. Kiedy o tym pomyśleć, tak było naprawdę. Walczyłem z samym bogiem Thuebanem i właśnie miałem zginąć, kiedy mnie obudziłeś... A teraz... Teraz wiesz, że rozmyślałem o tych płonących drewniakach...

Kat pokręcił głową i uśmiechnął się. Wyglądał w tej chwili jeszcze bardziej niepokojąco niż wtedy, kiedy był poważny. Zupełnie jakby uśmiech nie został przeznaczony do takiej twarzy.

– Mylisz się, chłopcze. Nie umiem czytać w myślach. Lecz doskonale wyczuwam ludzkie nastroje. Czytam nie z umysłów, ale czegoś, co uczeni zwą mową ciała. Wprawdzie nie jęczałeś przez sen, mimo to napinałeś ręce i nogi, oddychałeś szybko, pod powiekami oczy latały ci na wszystkie strony, nie mogłeś się obudzić. Tutaj nie ma wielkiej tajemnicy. Musiałeś zobaczyć coś naprawdę strasznego. A to oznacza, że podpełza zło. We śnie ludzie są bliżsi natury, lepiej umieją odczytywać znaki, choć na jawie mocno się przed tym bronią. A teraz? Teraz zapatrzyłeś się w odporne, wilgotne drewno. Zdaje się, że po prostu pomyśleliśmy o tym samym.

Evah rozmyślał przez chwilę nad słowami małodobrego. Czy to możliwe, żeby kat tak dobrze rozumiał drugiego człowieka? Przecież zajmował się pozbawianiem życia, nierzadko w najokrutniejszy sposób. A może właśnie dlatego?

Spojrzał na mężczyznę, ale ten nie zwracał już na chłopca uwagi. Zdawał się pogrążony we własnych myślach i własnym świecie. Od czasu do czasu poruszał leciutko ustami... Nie, nawet nimi nie poruszał. Pozostawały nieruchome, a jednak chłopiec miał nieodparte wrażenie, że kat z kimś rozmawia. A może po prostu się modlił? W końcu ten cech też miał jakiegoś swojego patrona, chociaż Evah nie wiedział, jakie miano nosi ten bóg.

Siedzieli bez słowa przez dłuższy czas. Chłopiec w pewnej chwili zaczął odczuwać zmęczenie.

– Chyba się jeszcze położę – mruknął.

Kat milczał przez chwilę, a potem drgnął.

– Co mówiłeś?

– Położę się jeszcze – powtórzył chłopiec. – Jeśli was nie ogarnia sen...

– Nie. Poza tym to jeszcze moja kolej wartowania – odparł kat.

A potem znów dorzucił trochę drewna do ognia i znów zamarł.

Evah rozłożył derkę, legł na niej i nakrył się oponczą. Musiał przyznać, że książę Leonor dobrze wyposażył ich na wyprawę. Podróżny płaszcz z kapturem był ciepły, a zarazem lekki, na pewno o wiele lżejszy niż ten, który nosił mistrz katowski. Ale pewnie tamten doskonale sprawował się podczas wiatru i deszczu.

Chłopiec przymknął oczy, lecz natychmiast ujrzał znowu wykrzywione okrutnym gniewem oblicze Thuebana. Usiadł więc, odetchnął i pomodlił się do Dromme, bogini dobrych snów. To była jedna z pierwszych modlitw, jakich nauczyła go matka.

„Pani Dromme – szeptał w myślach – pani najlepsza, ześlij mi spokój i pomyślny sen. Pozwól mi przeżyć tę noc w twoich ramionach, a kiedy nadejdzie ranek, obudź mnie pocałunkiem”.

Patrzył na szerokie, mocne plecy znieruchomiałego przy ognisku kata, wreszcie zamknął oczy. Tym razem nie zobaczył już złego boga, ale złocistozieloną grootę, w której płąsały barwne cienie. Bronił się jeszcze przez chwilę przed oddaniem duszy we władanie snu, pamiętając o niepokojącej postaci mistrza małodobrego. Czy można mu było zaufać? Dlaczego szedł z nimi? Przecież książę nie mógł mu tego rozkazać, a jedynie prosić. Kat nie wyglądał na człowieka, który robi coś wbrew woli...

Ale wreszcie chłopiec poddał się kolorowemu marzeniu. Znowu uświadomił sobie bowiem, że gdyby kat miał złe zamiary, wszyscy by już nie żyli...

Dał się zaprosić do tańca najbliższej zjawie. Troski odeszły gdzieś daleko na krótką chwilę, chociaż też nie całkiem, bo gdzieś tam w głębi duszy dręczył chłopca niepokój. Zupełnie jakby coś złego miało się zdarzyć, i to całkiem niedługo.



– Bogowie! – jęknął ktoś głucho.

Evah poczuł ból w dole brzucha i otworzył oczy. Zdał sobie sprawę, że to on sam jęknął. Coś uderzyło miękko o ziemię i ból zelżał. W szarości poranka chłopiec zobaczył ciemny wełniany płaszcz i wystające spod niego podkute obcasy.

Gdzieś po prawej stronie usłyszał szamotaninę, rzucił okiem w tamtą stronę. Mistrz katowski stał okrążony przez czterech ludzi. Piąty właśnie padł i legł na plecach, dwóch innych zajęło pozycje nieco z tyłu, ubezpieczając kompanów, zbierających się do ataku na kata.

Przy ognisku siedział Mavaren, ale nie był sam. Jakiś zarośnięty po oczy mężczyzna

trzymał go z tyłu. Odchylił głowę księcia i przyłożył mu do gardła nóż.

Człowiek, który nadepnął Evaha, nie podnosił się. Zaplątany w płaszcz, związał się z bólu, ale z jego ust nie wydobywał się najmniejszy jęk. Chłopiec zerwał się, ściskając w dłoni rękojeść obnażonego miecza. Przez głowę przeleciała mu niechciana i niepotrzebna myśl, że jeszcze kilka tygodni wcześniej pewnie zamarłby z zaskoczenia, próbował ocenić sytuację. Lecz nauczony krótkim, lecz intensywnym doświadczeniem, rzucił się do walki w jednej chwili. I ta niepotrzebna myśl wcale w tym nie przeszkodziła. Po prostu przeleciała, kiedy już był w ruchu. Napastnik, trzymający Mavarena, pozwolił się zaskoczyć. Nie przypuszczał, że chłopiec będzie tak szybki, a przede wszystkim zdecydowany na ostry atak.

Otworzył usta, żeby ostrzec, że zabije jeńca, jeśli Evah nie rzuci miecza, lecz nie zdążył wydobyć słowa. Bo syn myśliwego już trzymał sztych właśnie w tych otwartych ustach.

– Rzuć nóż – warknął. – Może zdążysz szarpnąć ręką i go zabić, ale sam zginiesz.

Napastnik milczał przez chwilę. Nie mógł się ruszyć, nie mógł spojrzeć na kompanów, bo wówczas ostrze rozciąłoby mu wargi i policzek, nie mógł też mówić.

A towarzysze i tak nie byli w stanie uczynić czegokolwiek, żeby mu pomóc. Bo mistrz małodobry właśnie się poruszył, nie czekając, aż tamci go zaatakują.

Kat nagle zawirował w błyskawicznym obrocie. Rozległ się cichy zgrzyt, świst i długi miecz załśnił nieoczekiwanie jasno, zupełnie jakby nie panował jeszcze półmrok, ale był dzień – może nie słoneczny, lecz na pewno jasny. To zaskoczyło Evaha. Czyżby mistrz małodobry spodziewał się napaści, skoro założył uprząż? Przy ognisku trzymał wartę bez broni, leżała na wyciągnięcie ręki, ale obok. Zresztą, byłoby mu bardzo niewygodnie, gdyby siedział z tym długim żelazem. Lecz nie tylko to zdziwiło chłopca. Również łatwość, z jaką kat wydobył miecz. Syn myśliwego sądził, że to musi trwać dłużej, jako że ostrze liczyło sobie co najmniej cztery stopy. Powinno się je chyba wyciągać w tempie na dwa.

– Poddaj się – zawołał jeden z napastników. – Wszystkim nie poradzisz!

Kat nie odpowiedział. Znów się zakręcił, odbijając dwa ostrza mieczy i jedno żeleźce topora na raz. A potem skoczył wcale nie ku najbliższemu napastnikowi, ale ku temu, który w tym ataku nie brał udziału, aby nie przeszkadzać kompanom. Zadając ciosy z czterech stron, wchodziłby sobie zanadto w paradę. Wszyscy byli zaskoczeni, a najbardziej zaatakowany. Tęgi tasak wyleciał mu z ręki, a on sam odbiegł kawałek, słaniając się, aż wreszcie legł na ziemi i zwinął się z bólu, tak samo jak napastnik, który nadepnął Evaha. Chłopiec nie widział nawet ruchu miecza, potrafiącego zadać tak bolesne rany.

A mistrz katowski już był przy jednym z ubezpieczających. Ten też się nie spodziewał, że natarcie może pójść w taką stronę. Takie działanie zdawało się przeczyć zdrowemu rozsądkowi. On również zwał się na ziemię, lecz nie zwinął się w kłębek, tylko sztywny jak deska. Drugi, stojący na zewnątrz, był oddalony od kata ponad pięć kroków. Mistrz skoczył. W tym ruchu poły jego płaszcz wydeły się jak skrzydła, tak samo, jak poprzedniego dnia na wietrze. Zaatakowany mężczyzna miał czas unieść miecz nad głowę, ściskając go oburącz.

Chciał zadać Mistrzowskie Cięcie, zwane też Gniewnym Uderzeniem. Ojciec uczył Evaha tej techniki, ale chłopiec był wówczas jeszcze nieco zbyt słaby, aby ją prawidłowo wykonywać. Jeśli cios został dobrze wyprowadzony, trudno znaleźć przed nim obronę. Najlepiej odskoczyć.

Tylko że kat nie zamierzał się cofać. A mężczyzna, stojący przed nim i pewien już swego, uderzył prosto w głowę nadciągającego ciemnego demona. Bo właśnie z demonem skojarzył się Evahowi w tej chwili mistrz małodobry. Chłopcu umknął ruch, jaki wykonał kat, ale małodobry musiał zrobić unik, skoro doskonale wyprowadzone uderzenie go nie trafiło. Sam tylko musnął końcem sztychu pierś i ramię napastnika. Tylko musnął? Tamten wrzasnął, a potem padł na kolana, kiedy mijający go mistrz dokończył cięcie w tył nóg.

Wtedy pozostali trzej wrogowie popełnili niewybaczalny błąd. Zamiast uciekać czym prędzej, puścili się w pogoń za pozostającym cały czas w ruchu katem. Oczywiście nie biegli bezładnie, utrzymywali między sobą odległości pozwalające na swobodne operowanie bronią i najwyraźniej znów chcieli otoczyć przeciwnika.

Tylko że on nie zamierzał czekać, aż to zrobią. Nagle zatrzymał się i zrobił dwa kroki w lewo, dzięki czemu znalazł się między dwoma napastnikami. Zanim zdążyli zrozumieć, co się dzieje, obaj odnieśli rany – jeden usiadł na ziemi z ręką rozplataną od ramienia do łokcia i rozciętą łydką, drugi osunął się bezwładny jak szmaciana lalka, krwawiąc z rozoranego czoła. Zdawało się, że kat nie tylko zdołał sięgnąć go ostrzem, ale na dodatek ogłuszył uderzeniem głowicy miecza.

Evah mógł to zobaczyć, odwracając lekko głowę. Widział i starcie, i mężczyznę, którego miał przed sobą. Mavaren z zaciśniętymi ustami czekał, co się stanie. W tej chwili nie mógł nic zrobić.

Ostatni z napastników przystanął niepewnie, a mistrz małodobry odwrócił się do niego powoli. Stali naprzeciwko siebie, a kat najwyraźniej czekał na ruch przeciwnika. Evah też zamarł. Mężczyzna z ostrzem między zębami łypał rozpaczliwie na boki. Część walki znalazła się także w jego polu widzenia, zdawał więc sobie sprawę, że towarzyszom nie poszło jak z płatka. A ponieważ Evah się nie ruszał, doszedł do słusznego wniosku, że sprawy przyjęły dla nich bardzo niekorzystny obrót. Powoli, ostrożnym ruchem, odsunął wreszcie nóż od gardła Mavarena, rzucił go, rozłożył ręce, pokazując, że nic w nich nie chowa i postanowił się poddać. Brat księcia przetoczył się na bok, wstał i uczynił ruch, jakby chciał kopnąć prześladowcę, ale chłopiec powstrzymał go gestem. Na razie jeszcze trzymał klingę na poprzednim miejscu. Dopiero po chwili namysłu cofnął ją, odsunął się i opuścił rękę.

Mavaren z miejsca uderzył klęczącego mężczyznę w głowę obcasem.

Jęk kompana sprawił, że ostatni napastnik rzucił się do ucieczki. Kat patrzył za nim przez chwilę, a potem spojrzął na Evaha.

– Trafisz?

Chłopiec od razu domyślił się, że chodzi o łuk. Skoczył, porwał broń, z wprawą włożył jeden koniec między łydki, żeby go zablokować, prawą ręką nagiął łuczysko, lewą naprowadził cięciwę. Wyjął z kołczanu dwie strzały, jedną wbił przed sobą. Zanim uciekinier zrobił dwadzieścia czy trzydzieści kroków, był gotów do strzału.

– Postaraj się go nie zabić – powiedział kat.

– A niech zabije! – zawołał Mavaren. – Porwali się na majestat ksiązęcy!

– Najlepiej w udo. – Mistrz nie zwrócił uwagi na brata Leonora del Berwena. – Ale jeśli nie dasz rady, celuj w plecy.

Evah naciągnął łuk, przymierzył się. Na szczęście uciekinier nie kluczył, biegł prosto przed siebie. Chłopiec nie celował zbyt długo, bo wtedy napięte mięśnie zaczynają drżeć, a ojcowy łuk wprawdzie nie stawiał mu już takiego oporu, jak jeszcze niedawno, ale chłopiec wciąż miał za mało siły, żeby pozwolić sobie na zbytnią swobodę i brawurę. Wypuścił strzałę i od razu nałożył tę, która czekała na swoją kolej, wbita w ziemię. Znów naciągnął łuk, lecz nie strzelił. Pierwszy pocisk dosięgnął uciekającego. Wprawdzie nie wbił się w udo, tylko nieco niżej, dłoń pod kolanem, ale to wystarczyło, żeby mężczyzna potknął się i przewrócił, a potem usiadł, ściskając ranę.

– Idźcie po niego, ksiązę – powiedział kat do Mavarena.

Ten z miejsca się obruszył.

– Nie jestem twoim chłopcem na posyłki!

Mistrz małodobry podszedł do człowieka, który nadepnął Evaha. Zbój przestał się zwijać z bólu, zaczął wstawać na czworaki. Kat zatrzymał się przy nim, dotknął palcem wskazującym najpierw karku a potem jakiegoś miejsca za uchem mężczyzny, a on zaraz padł na twarz i zamarł. Podobnie kat postąpił z kolejnym, którego nie ranił ostrzem, tylko przyprawił w sobie znany sposób o ból. A potem odwrócił się do Mavarena.

– Idź po tamtego, wasza wysokość – powtórzył. – Trzeci raz nie poproszę.

Ksiązęcy brat burknął coś pod nosem, ale w końcu wstał, wziął swój dziwny oręż i powłókł się w stronę postrzelonego.

– A gdzie Grzywa? – Evah zdał sobie nagle sprawę, że jego kompan zniknął. – Porwali go?

Kat pokręcił głową, wskazał niedaleką kępę krzaków, z której zresztą poprzedniego dnia przynieśli część drewna na ognisko.

– Tam siedzi. Umknął na samym początku. Jak mniemam, zgodnie ze swoim obyczajem.

– Słusznie mniemacie, mistrzu – odparł chłopiec. – Kellan nie lubi walki.

– Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie lubi – rzekł kat. – I nie mów już do mnie mistrzu. Skoro walczyliście ramię w ramię, zwij mnie po imieniu.

– Walczyliście? – Evah zaśmiał się mimo woli. – Sami pokonaliście ich wszystkich. Ja tylko...

– Ty tylko uratowałeś życie bratu Leonora del Berwena – przerwał mu kat. – Ale coś mi

się zdaje, że gdybym potrzebował pomocy, nie wahałbyś się, by tamtego zbója pchnąć i przyjść mi z pomocą.

Evah zastanowił się przez chwilę, a potem pokiwał głową.

– Nie lubię zabijać – powiedział cicho – ale tak bym pewnie uczynił.

– Dlatego możesz mi mówić po imieniu.

– A jak macie na imię? – spytał Evah. – To znaczy, jak masz na imię? – poprawił się zaraz.

Ale kat nie zdążył odpowiedzieć. Jeden ranny zbój przytaszczony przez Mavarena zaczął miotać przekleństwami, przyłączył się do niego drugi.

– Popamiętajcie! – wrzasnął ten, którego Evah postrzelił. Opierając się na ramieniu księcia, dokuśtykał w stronę powalonych kompanów. – Popamiętajcie, a ty, czarny pajacu, będziesz żałował, że się urodziłeś.

Evah myślał, że kat się rozgniewa, ale on tylko się lekko uśmiechnął.

– Wiele razy już tego żałowałem – odpowiedział niezbyt głośno, lecz i tak wszyscy go usłyszeli. – Módl się, żeby ciebie taki los nie spotkał.

– Trup się za nas pomści!

Kat zmarszczył czoło, a Evah się skrzywił. Od początku podejrzewał, że zaatakowali ich ludzie nasłani przez przywódcę zakonu złodziejskiego, ale nie był tego pewien. A zatem odnaleźli ich jeszcze zanim przekroczyli granicę Anzi...

– Trup niech się modli, żebym był daleko, kiedy go wreszcie skarżą na męki – rzekł kat. – Bo kogo jak kogo, ale jego obsłużę nawet za darmo i wbrew swoim obyczajom zadam mu wiele bólu.

Zwrócił się do Evaha, wskazał kępę.

– Wyciągnij stamtąd złodziejaska. Trzeba tych ludzi powiązać, zanim zacznę ich leczyć.

– Leczyć?! – zdumiał się Evah.

– Tak. Biegnij po Kellana.



Chłopcy z zaciekawieniem, a Mavaren ze zgorzaniem przyglądali się, jak mistrz katowski opatruje tych, których sam poranił. Tylko czterech nie potrzebowało jego pomocy – ten, który nadepnął Evaha, dwóch z atakującej małodobrej grupy, których kat sięgnął ręką, a nie ostrzem, jak się okazało po wszystkim, oraz ten, który trzymał nóż na gardle książęcego brata, bo jego sam del Berwen pozbawił przytomności.

Evah mógł zobaczyć, co kryje torba kata. Mistrz wyjął z niej kilka flakonów różnej barwy, nici, połyskujące we wschodzącym słońcu tak, jakby zostały uczynione ze srebra lub złota, a do tego zakrzywioną igłę. Najpierw zajął się najcięższym rannym, ciętym przez ramię i pierś.

Przemył rozcięcia lnianą szmatką, nasączoną miksturą z zielonego flakonu. A potem nawłókł nić na igłę i włożył je do niewielkiej miseczki, do której nalał nieco płynu z czerwonej buteleczki.

Brzegi rany najpierw pokryły się białą pianą, a potem spłynęła ona do wnętrza. Mężczyzna wrzasnął i szarpnął się, ale mocna dłoń w czarnej rękawiczce go przytrzymała. Był ciasno związany, ale prawą rękę musieli mu uwolnić, a lewą przywiązać do kostki, żeby nie próbował zrobić krzywdy małodobremu. Evah dopiero teraz uświadomił sobie, że kat w ogóle nie zdejmuje rękawic, przylegających do jego dłoni tak ściśle, jak druga skóra. Postanowił go przy okazji o to zagadnąć. Oczywiście jeśli tajemniczy mężczyzna zechce odpowiedzieć.

– Nie krzycz tak – rzekł kat. – Teraz czeka cię szycie. Ale ten eliksir, którym przemyłem ranę, sprawi, że nie będziesz czuł nic więcej niż dotknięcie.

– Nie, nie! – zaprotestował złodziej. – Tak nie wolno! Niech się samo goi.

– Jeśli zostawimy, jak jest, wda się zakażenie i umrzesz w męczarniach. Chcesz tak skończyć?

– Po co nas leczysz? Żeby potem zabić?! Jesteś wszak katem, nie uzdrowicielem!

Kat milczał przez chwilę, następnie wyjął igłę z nawleczoną nicią, ale nie ręką, lecz niewielkimi szczypczykami, które wyjął z torby, a ich końce zanurzył w tej samej cieczy. Zebrał brzegi rany i zaczął szyc, posługując się tym zmyślnym narzędziem.

Ranny znów wrzasnął, ale po chwili zacisnął zęby i tylko posykiwał, kiedy mistrz zakładał kolejne szwy. A potem przestał wydawać nawet takie dźwięki, kiedy dotarło do niego, że zabieg naprawdę nie jest bolesny.

– Nie lubię zabijać bez potrzeby – odezwał się kat. – Dlatego wszyscy jeszcze żyjecie.

– Właśnie, mistrzu – powiedział Kellan. – Patrzyłem na tę walkę z oddali i nie rozumiem, dlaczego ich wszystkich nie pozabijałeś. Przecież mogłeś.

– Mogłem – zgodził się kat. – I gdybym tak postąpił, poszłoby nawet łatwiej. Ale powiedziałem już, że nie lubię zabijać bez potrzeby.

– I to mówi małodobry! – zaśmiał się Mavaren. – Ten, który zarabia na życie, ścinając, wieszając i torturując innych!

Chciał jeszcze coś dodać, ale kat przerwał pracę, spojrzał mu prosto w oczy, a książęcy brat zamilkł i odwrócił wzrok.

– Nie wiem, nie ścinam i nie torturuję – powiedział, wracając do szycia.

– To co z ciebie za kat, jeśli nie zabijasz? – wyburczał Mavaren.

– Jeśli ktoś naprawdę zasłużył na śmierć, może otrzymać ją z mojej ręki. Ale to nie powód, żeby urządzać krwawe widowisko. Pozbawić życia można choćby małym palcem.

Evah przypomniał sobie, jak padli tamci dwaj ludzie. Chłopiec myślał, że dosięgnął ich nieuchwytny ruch miecza, tymczasem był to rzeczywiście nieuchwytny ruch, ale samej dłoni. Mistrz wiedział, gdzie uderzyć, żeby pozbawić człowieka tchu, przyprawić

o cierpienia. A potem zwykłym dotknięciem posłał zbierających się z ziemi ludzi do krainy nieprzytomności. Ocknęli się już związani, też na skutek jego dotyku.

– Czy dlatego mój brat kazał sprowadzić właśnie ciebie? – spytał Mavaren. – Bo sam nie lubi takich widowisk?

– Mistrzu – poprawił go z naciskiem kat. – Tak należy się do mnie zwracać, o ile nie zażyczę sobie inaczej.

– To nie będę się wcale zwracał – warknął del Berwen. – Nie zwykłem „mistrzować” różnym dziwnym indywiduom.

– Wasza wola, panie – odparł kat, skłaniając głowę z przesadnym szacunkiem. – Nie mnie, małemu żuczkwowi pod waszymi stopami, spierać się z majestatem.

Skończył szyc ranę na ramieniu złodzieja, obejrzał jego pierś.

– Tu wystarczy jałowiąca mikstura i zwykły opatrunek. Zostanie najwyżej większa blizna, ale takich masz na ciele, jak widzę, całkiem sporo.

Obejrzał następnego jeńca, przemył mu ranę, założył kilka szwów. Przechodził od jednego do drugiego, wreszcie zbliżył się do herszta. Przyjrzał się strzale.

– Przeszła na wylot – powiedział nie do rannego, tylko do Evaha. – Muszę ją złamać.

– Trudno. – Chłopiec wzruszył ramionami.

– Szkoda dobrej strzały – odparł kat. – Tak sobie myślę, czy nie przeciągnąć jej jednak w całości. Wprawdzie opierzenie ucierpi, ale drzewce i grot będą całe. Sam na pewno potrafisz naprawić taki pocisk...

Główny złodziej zbladł i zaczął coś bełkotać, a Evah przełknął z trudem ślinę na myśl o czymś podobnym i już zbierał się z zapewnieniem, że przeżyje bez tej jednej strzały, kiedy dostrzegł przymrużone lekko oko małodobrego i zdał sobie sprawę, że ten właśnie daje nauczki przestępcy.

– Hm... – udał zamyślenie. – To nie taki zły koncept. Jakieś pióra albo się znajdzie w lesie, albo weźmie gęsie lotki w którejś wsi po drodze... Gdybyś mi użyczył, mistrzu, kawałka nici, naprawię strzałę bez trudu.

– A zatem postanowione. – Kat chwycił strzałę przy grocie, który wystawał z przodu łydki złodzieja.

Mężczyzna wrzasnął wniebogłosy i zaczął złorzeczyć.

– Toż jeszcze nie zacząłem – rzekł mistrz małodobry.

– Podobno nie torturujesz! – krzyczał herszt bandy.

– Dla ciebie zrobię wyjątek, skoro jesteś takim bliskim przyjacielem Trupa.

– Jaki on tam dla mnie przyjaciel! Robię, co każe. A jakbym nie zrobił, to bym dopiero popamiętał! Kazał pojmać Grzywę, to go ścigamy. Ale teraz każe ścigać i ciebie, skoro nas pobiłeś i uratowałeś szczeniaka.

– Cóż, możliwe. – Kat sięgnął do torby, wyjął spore cążki. – Ale nie dowie się tego od ciebie ani któregośkolwiek z was.

Przywódca bandy pobladł jeszcze bardziej, chociaż przed chwilą zdawało się to niemożliwe. Właściwie zrobił się zielony, a potem zemdłał.

Jego podwładni spoglądali ponuro na poczynania mistrza katowskiego. Te cążki nie wróżyły nic dobrego.

Ale kat nie zamierzał ich użyć w celu, jakiego obawiał się postrzelony. Zacisnął je z tyłu łydki na strzale, tuż przy ranie i mocno ścisnął. Chrupnęło drewno i ponad połowa drzewca wraz z opierzeniem opadła na ziemię. Mistrz przemył ranę z obu stron, a potem tymi samymi cążkami uchwycił drewno i z wyczuciem wydobył resztę strzały z rany. Oderwał kawałek koszuli mężczyzny, wylał na niego nieco środka z brązowego flakonu i owinął materiałem łydkę.

Złodziej ocknął się, spojrzał na kata i znów zemdłał, a małodobry pokiwał głową z zadowoleniem.

– Przynajmniej nie będzie gadać i straszyć.

– Chcesz ich jednak pozabijać? – Mavaren był zbyt zaaferowany, żeby wytrwać w postanowieniu milczenia, a kiedy kat nie odpowiedział, tylko zapatrzył się na niego, dodał z przymusem: – Mistrzu. To po co ich leczyć?

– Właśnie. – Jeden ze złodziei rzucił się w więzach. – Jak masz nas zgładzić, zrób to zaraz!

Kat zignorował jeńca, zwrócił się do del Berwena:

– Nie zamierzam nikogo zabijać, przecież powiedziałem. Ale tych ludzi należy oddać w ręce sprawiedliwości. Niech wasz brat zdecyduje, jaki będzie ich los. Wtargnęli na jego ziemię, napadli jego brata. Na pewno wyda sprawiedliwy wyrok.

– Mamy ich wlec ze sobą? – jęknął Mavaren. – Niby jak? Niektórzy nie mogą chodzić...

– Zostawimy ich tutaj, przy trakcie – odparł kat. – A w najbliższej warownej osadzie albo strażnicy przekazemy wiadomość. Niech ich zabierają pod sąd. Zbliżamy się do granicy, zatem na pewno niedaleko znajdziemy jakąś stanicę.

Evah pokiwał głową. Przypomniał sobie, jak zbója, którego poranił podczas walki o karawanę kupca Harimiego, żołnierze też opatrzyli, żeby stanął przed trybunałem. Ale jego wzięli wtedy ze sobą na wozie i przekazali strażom w Salmarze.

Do złodziei dopiero po chwili dotarło, że nie zostaną puszczeni wolno, na co chyba zaczęli liczyć.

– Obyś zdechł! – wrzasnął jeden z tych nieporanionych. – Jeśli nas nie uwolnisz, doścignie cię zemsta mistrza Trupa! Ale gdybyś nas puścił, możesz liczyć na jego wdzięczność.

– Ani mnie nie przeraża zemsta tego zbója, ani nie potrzebuję jego wdzięczności – odpowiedział spokojnie kat. – Martwcie się lepiej o swój los, bo książę del Berwen nie na darmo zwany jest Porządnym. Ponoć bardzo nie lubi, kiedy w jego dziedzinie dzieje się coś nie po jego myśli.

Przemył cążki i szczypczyki w cieczy z trzeciej flaszeczki, schował wszystko do torby i spojrzał pytająco na Evaha.

– Co powiesz? Chyba trzeba nam ruszać?

Chłopiec był zaskoczony. Czyżby mistrz zasięgał jego opinii?

– To twoja wyprawa – rzekł kat, widząc wahanie syna myśliwego. – Ja będę wam towarzyszył tylko do stolicy Malbarii, tak się umówiłem z księciem.

– Że niby naprawdę mamy słuchać tego szczeniaka?! – oburzył się Mavaren.

– Słyszeliście, wasza książęca łaskawość, pod jakim warunkiem brat wypuścił was z lochu. Byłem przecież przy tej rozmowie i przyjęliście wszelkie warunki, byle tylko nie siedzieć dalej w cuchnącej ciemnicy.

Mavaren chciał coś odpowiedzieć, ale Evah już zebrał myśli.

– Tak, najwyższy czas ruszać. Im prędzej znajdziemy się w Anzi, tym lepiej.

I zaraz pomyślał, że wcale mu się to przewodzenie grupie nie podoba. Wolałby, żeby to kat wziął na siebie odpowiedzialność za wszelkie decyzje, przynajmniej dopóki im towarzyszy. Jednak skoro nie chciał...

Zebrali się bardzo szybko wśród nieustających złorzeczeń ludzi nasłanych przez Trupa. Przeklinali wędrowców do siódmego pokolenia i zaklinali na bogów, żeby ich wypuścili. Herszt posunął się do zapewnienia, że uczyni wszystko, aby Trup zaniechał zemsty, ale z miejsca zgasił go Mavaren, przypominając, jak to niedawno się zarzekał, że jest nikiem i wykonuje tylko ściśle rozkazy mistrza cechu złodziejskiego. Przywódca bandytów zamilkł na chwilę, a potem już tylko kłął, na czym świat stoi.

– Przepraszam – mruknął Kellan, kiedy chłopcy zwijali swoje legowiska. – Z tym kijem i nożykiem nic bym nie poradził, a oni szukali przecież właśnie mnie...

– Przywykłem, że uciekasz – odparł Evah bez złości czy śladu wyrzutu. – Najważniejsze, że potrafisz wrócić, kiedy trzeba. No i pomoc w najtrudniejszej chwili.

Grzywa pokiwał głową, ale widać było, że dręczą go wyrzuty sumienia. Evah uśmiechnął się leciutko pod nosem. To dobrze, nawet bardzo dobrze. W czasie gdy się poznali, złodziejasek nie czułby się winny z powodu ucieczki.

Rozdział 7

Chwila oddechu



Czeka was trudna droga – powiedział kat, kiedy wieczorem usiedli przy ognisku, żeby opiec kawałki mięsa. Tego dnia Evahowi udało się upolować stepowego królika, na dodatek całkiem sporego. Widać było, że zwierzę już się dobrze odkarmiło po zimie i mimo gorącej pory zaczyna gromadzić zapasy tłuszczu na zimę. Inna sprawa, że na rozległej równinie noce bywały o wiele chłodniejsze, niż w krainach, gdzie rosły gęste lasy, a krajobraz urozmaicały pagórki i doliny, więc i zwierzęta musiały sobie radzić z trudniejszymi warunkami. Tutaj nieustannie wiał wiatr, a kiedy ucichł w południe, zaczął z kolei dokuczać skwar.

– Że nie będzie łatwa, to wiemy – mruknął Kellan. – Ale jak ma być trudno, to będzie. Zdradzisz coś, mistrzu?

– Sami się przekonacie. Ja też nie wiem wszystkiego. – Małodobry wyjął swój kawałek mięsa z ognia, przyjrzał się mu, powąchał i umieścił wyżej nad płomieniami, żeby doszedł do miękkości, ale nie spiekł się już mocniej. – Do Malbarii prowadzi dobry trakt. Podąża przez Faralę. Może nie jest tak szeroki i zadbany, jak te w księstwach środkowego wschodu i zachodu imperium, ale da się nim w miarę wygodnie poruszać. Jednak dalej, tam, gdzie chcecie dojść, traficie na bezdroża, potem z kolei na pasmo niewysokich wprawdzie, lecz surowych gór.

– Byliście tam, mistrzu? – spytał Evah. Każda wskazówka była cenna, a jeśli jeszcze

uzyskana od człowieka, który chociaż raz odwiedził niegościnne strony...

– Nie byłem – rozczarował go kat. – Nie miałem powodu, aby tam wędrować. To okolice bezludne, do tego groźne. A ja w życiu dość się już nawłóczyłem po niebezpiecznych terenach.

Evah w duchu pokręcił głową. Małodobry mówił czasem tak, jakby miał lat nie czterdzieści najwyżej, choć wyglądał na jeszcze mniej, ale co najmniej osiemdziesiąt. A może i więcej...

– Szkoda – westchnął. – Moglibyście nam dopomóc wiedzą.

– Ach, właśnie – ożywił się kat. – Przecież kazałem, abyś mówił mi po imieniu, chłopcze. Ty tu przewodzisz, jesteś prawdziwym wojownikiem, nawet się nie godzi, żebyś się do mnie zwracał jak poddany do szlachetnie urodzonego.

– Zapomniałem – odparł Evah, nieco zawstydzony. – Ale też nie wyjawiliście... Nie wyjawileś mi swojego imienia. Przerwano nam.

– Rzeczywiście. – Kat spojrzął po twarzach towarzyszy. Tańczyły na nich cienie i odbłaski płomieni. – Mam dwa imiona. Jedno dla tych, którzy mnie chcą nająć jako mistrza małodobrego, a drugie dla przyjaciół. To pierwsze brzmi Serim.

– Serim? – podchwycił od razu Kellan. – Takie imiona nadają na dalekim południu. Poza imperium. Stamtąd przybywają do nas smagli kupcy z najdroższymi towarami.

– I tam mi je właśnie nadano – potwierdził kat.

– Na pewno coś oznacza – rzekł Mavaren. – Tam imiona zawsze coś znaczą.

– Tak samo, jak wszędzie. – Kat wzruszył lekko ramionami. – Twoje, książę, też pochodzi od określeń *maive* i *renne*, oznaczającego w jednym ze starożytnych języków dzielnego lwa.

– Hm... Nie wiedziałem – zamruczał książę, najwyraźniej bardzo rad, że nosi tak wspaniałe imię.

Ale Evah dostrzegł w oczach kata lekki błysk, jakby iskierki rozbawienia i domyślił się, że wymienione słowa znaczą jednak coś innego.

– No dobrze – odezwał się Kellan z pełnymi ustami. Był już tak głodny, że zaczął jeść, chociaż królik był jeszcze twardawy. – A jakie nosicie drugie imię, mistrzu? Pewnie to będzie wasze własne?

– Jakub – odpowiedział kat.

– Dziwaczne. – Skrzywił się Mavaren. – A niby co ono oznacza?

– W znanych mowach zupełnie nic – odparł małodobry. – Jest stare, starsze od tego świata.

– Powiedz jeszcze, że pochodzi z czasów Przedwiecznych! – zaśmiał się szyderczo del Berwen. A kiedy kat spojrzął na niego surowo, dodał z niechęcią: – Mistrzu.

– Nie przypuszczam – odpowiedział Serim-Jakub. – Ale być może z czasów Przodków.

– A kto nadaje dzieciom imiona należące do Przodków? – zdumiał się Mavaren. – Toż to przynosi nieszczęście.

– Niektórzy przyszli na ten świat już nazwani – odparł kat. Przez chwilę milczał z przymkniętymi oczami. Evah miał nieodparte wrażenie, że w takich chwilach mistrz z kimś rozmawia. Z kimś, kto jest bardzo blisko i daleko zarazem. Nie miał pojęcia, dlaczego taka myśl mu przyszła do głowy.

– O czym mówisz... mistrzu? – zirytował się Mavaren. – Przecież nikt nie rodzi się z imieniem. Dopiero ludzie mu je nadają. Rodzice swojemu dziecku, a sierocie opiekunowie. Tylko potomkowie Przedwiecznych rodzili się od razu nazwani, bo wiadomo było od samego poczęcia, jaki los został im wyznaczony i co mają do zrobienia w życiu. Tak uczyli mnie wiedzący kapłani. Nawet Przodkowie nie mogli przewidzieć, jaka będzie płeć ani droga ich dziecka, aby jeszcze przed narodzeniem nadać mu imię.

Evah i Kellan słuchali pilnie wymiany zdań dorosłych towarzyszy. Kellan może coś tam słyszał więcej o sprawach związanych z Przodkami i Przedwiecznymi, ale Evah wiedział tylko tyle, ile zdradzili mu wędrowni mnisi. A ci zapewne sami nie byli wprowadzeni w głębsze arkany wiary. Najważniejsi byli wszak bogowie, bo to oni mieli wpływ na ludzkie losy. Przedwieczni przyglądali się im tylko, z rzadka jedynie ponoć wtrącając się w sprawy świata, zaś Przodkowie... Przodków po prostu nie było. Odeszli albo zginęli. Tego nikt nie wiedział na pewno. Pozostało po nich bardzo niewiele. Jakieś dziwaczne ruiny i drobne, nieprzydatne, a czasem wręcz niebezpieczne przedmioty, których nie należało dotykać pod żadnym pozorem.

– Przecież nie twierdzą inaczej – powiedział Jakub. – I nie mówię, że nadano mi imię przed narodzinami. Mówię, że niektórzy przyszli na świat już nazwani, a nie że nadano im imiona przed narodzeniem.

– To nie na moją głowę – jęknął Kellan.

– Na moją też – zgodził się Evah.

– Bo to na niczyją głowę. – Kat wzruszył ramionami. – To tylko rozważania, jakie uczeni kapłani zwykli prowadzić i rozwlekać w nieskończoność. Przyjmijcie, że noszę dziwaczne dla waszych uszu imię i na tym poprzestańmy.

– Właśnie – ucieszył się Grzywa. – Lepiej jedzmy...

Spojrzał nieco żałośnie na swój rozwidlony patyk, na którym zostało niewiele mięsa.

– Weź sobie jeszcze – rzekł Evah. – Zwierzak był całkiem duży.

– Tylko nie spożywaj już na wpół surowego – przestrzegł kat – bo dostaniesz niestrawności.

– Właśnie – dodał syn myśliwego. – Jak mówi stare powiedzenie... – zamilkł na chwilę pod ostrzegawczym spojrzeniem przyjaciela, ale nie mógł się powstrzymać, aby nie dokończyć: – Kto zbyt śpieszy się z kolacją, ten nie zaśnie bardzo łatwo.

Kellan aż zgrzytnął zębami.

– Kiedyś cię ktoś zabije za te ludowe mądrości – warknął. – Ile tego masz w zanadru? Coś na każdą okazję?

Evah z trudem zachował powagę. Celowo drażnił się z Grzywą, cytując przysłowia, jakich nasłuchał się w dzieciństwie od matki.

– Na każdą może nie – odpowiedział. – Ale zawsze mogę coś wymyślić na poczekaniu.

– I właśnie wymyśliłeś, co? – wściekł się Kellan. – Bo to takie głupie, że nawet wsiowy wariat by nie dał rady tego skleić.

– Może i wymyśliłem, ale takie głupie to nie jest. Bo istnieje mądra zasada, która mówi: śniadanie zjedz sam, obiadem podziel się z przyjacielem, a kolację oddaj wrogowi. Wiesz, zbyt obfita kolacja to krzywda dla żołądka...

Evah zamilkł, widząc, że Kellan złapał się za głowę.

– On nigdy nie przestanie, prawda? – jęknął. – Jak ten jaszczur z baśni, co kiedy mu obciąć łeb, w jego miejsce wyrastają dwa nowe. A temu, jak się udowodni, że głupio gada, znajdzie zaraz następne porzekadła...

Przerwał mu głośny śmiech. Grzywa podniósł głowę i zobaczył, że to Mavaren wybuchł wesołością. Zresztą, nawet kat wydawał się rozbawiony.

– Przysłowia są mądrością ludów, w których się rodzą i mieszkają – dopełnił czary goryczy zgnębnionego złodziejaska Evah.

A potem sam zawtórował śmiechem del Berwenowi. Kellan poderwał się, jakby chciał odejść, ale spojrzał w mrok poza kręgiem światła ogniska i zrezygnował. Zamiast tego ze złością nadział drugą porcję mięsa na patyk i klapnął ciężko na zwiniętą derkę.

– Widzę, że jestem dla was zabawniejszy niż błazen cesarski – burknął. – Bardzo mi przyjemnie, że dostarczył panom tyle radości.

– Nie gniewaj się. – Evah klepnął go w ramię, a Grzywa odsunął się, urażony niewczesną poufałością. – Nie mogłem się powstrzymać. To znaczy mogłem, ale nie chciałem. Jedz na zdrowie. Nie wiadomo, czy jutro też uda się coś świeżego złowić, czy będziemy jeść tylko suszone mięso i suchary.

– Niech ci będzie – powiedział Kellan. – Ale pamiętaj, że ktoś kiedyś naprawdę może stracić cierpliwość i wepchnąć ci te wiejskie mądrości z powrotem do gardła.

– Będę pamiętał – odparł Evah z uroczystą powagą, ale zaraz nie wytrzymał i zaczął się śmiać. – Postaram się jednak oszczędzać twoje uszy – obiecał po chwili. – Tylko nie wiem, czy mi się uda.

Kellan otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale spojrzał na mięso, na ogień, machnął ręką i zaczął przypiekać porcję królika, tym razem bardziej starannie, bo rzeczywiście poczuł, że niedopieczone poprzednio mięso zaczyna trochę się buntować w żołądku.

– A co z tą naszą drogą? – zapytał Evah. – Powiesz coś... Jakubie... Serimie? Nie wiem, jak wolisz, żebym cię nazywał.

– Ty możesz Jakubem – odparł kat. – A do trudności, jakie was czekają, wrócimy kiedy indziej. Już w Sevli, stolicy Malbarii. Będzie czas, a szkoda psuć taki wieczór, kiedy

wszyscy zdołali się roz pogodzić.

– Nie wszyscy – burknął Kellan.

– No to prawie wszyscy – poprawił się Jakub. – Na pewno większość.

– Już. – Evah szturchnął przyjaciela pod żebro, aż ten jęknął. – Będziesz się tak boczył?

– Nie dość, że zanudza ludzi durnowatymi przysłowiami, to jeszcze bije! – zirytował się Kellan, ale zaraz się rozjaśnił. – Niech ci będzie, mądralo. – Oddał kuksańca Evahowi. – Nie lubię się gniewać, ale ty aż się o to prosisz.



Poranek przywitał ich deszczem. Padać zaczęło zresztą jeszcze w nocy. Evah skulił się pod opończą tak, żeby go osłaniała aż po czubek głowy. Właściwie nocą nie tyle padało, co mżyło, ale to wcale nie było lepsze od uczciwego deszczu. Stepowy wiatr unosił wilgoć i wciskał drobnutkie kropelki pod przykrycie.

Toteż przywitali świt z ulgą, że mogą ruszać dalej. Ognisko ledwie dymiło, ale Kellanowi udało się rozniecić maleńki ogień. Tyle że niewiele to dawało, poza złudnym poczuciem, że da się przy płomykach rozgrzać ręce.

Lecz, uczciwie rzecz ujmując, nie dało się. Byli zziębnięci, przemoczeni i skostniali. Evah skrzywił się na myśl, jak paskudnie musiało być w stepie, kiedy panowała późna jesień i zima. I jak straszliwy musiał się wydawać zimny wiatr, kiedy nadchodziły mrozy.

Jedynie kat zdawał się nie zwracać uwagi na niedogodności. Spojrzał na wysiłki Grzywy i pokręcił głową.

– To na nic. Bardziej się rozgrzejecie w marszu, niż kucając przy tym płomyku. I tak zresztą zaraz zaleje go woda, bo nadciąga chmura nabrzmiąca deszczem.

Rzeczywiście, od północy płynęła nieśpiesznie, ale też nieubłagane właśnie taka chmura. Była jeszcze na tyle daleko, że widzieli, jak ciemniejsza zasłona deszczu odcina się na tle horyzontu.

– A tobie nie jest zimno, mistrzu? – zapytał Kellan.

– Nie odczuwam ani nadmiernego zimna, ani gorąca – odparł Jakub. – Nie, nie jest tak, że nic nie czuję – dodał zaraz, widząc, że chłopiec chce zadać następne pytanie. – Po prostu nie marznę nawet w najgorsze mrozy i nie spływam potem podczas upałów.

– I zawsze chodzisz w tym głupim skórzonym przyodziewku? – zapytał ze złością Mavaren, po czym dorzucił: – Mistrzu.

– Zawsze. – Na Jakubie lekceważący ton książęcego brata zdawał się nie robić większego wrażenia. – Czasem tylko zdejmuję płaszcz.

– A jak się niby myjesz? – dopytywał Mavaren. Najwyraźniej chciał sprowokować kata. – Czy też może ubranie przyrosło ci już do ciała? Mistrzu...

– Chodźmy lepiej – powiedział małodobry. – Od takiej gadaniny lepiej się nikomu nie robi.

– Chodźmy – zgodził się Evah.

Zaczęli zbierać rzeczy. Wszystko było mokre. Jedynie zawinięte w tłusty pergamin suchary i mięso nie ucierpiały od wszechobecnej wilgoci, ale też nikomu nie chciało się w tej chwili jeść.

– Może zrobimy postój na posiłek, kiedy przestanie padać – zaproponował Evah.

– Jeśli przestanie – burknął Mavaren. – Chyba wolałbym już siedzieć z powrotem w lochu, niż łązić w taką pogodę. Tam przynajmniej było w miarę sucho i dawali jeść. Byłe jakie to było żarcie, ale dawali.

– Cieszcie się, że jest lato, wasza wysokość – odezwał się Kellan, rozdrażniony zarówno paskudną aurą, jak i gderaniem młodszego del Berwena. – Jesienią byście chyba na śmierć się zagadali, a w zimie gęba by wam zamarzyła od narzekania.

Mavaren, który właśnie zwijał niezdarnie swój nasiąknięty wilgocią koc, wyprostował się i spojrzął groźnie.

– Bacz, do kogo się zwracasz, szczeniaku – rzucił groźnie, kładąc dłoń na rękojeści broni.

– Do księcia krwi należy przemawiać z szacunkiem.

Kat Jakub już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedził go Evah. – Słuchajcie, wasza wysokość – rzekł dobitnie – jesteśmy teraz na szlaku i wszyscy są równi w naszej grupie. Pisany nam jeden los, przynajmniej na razie, więc pysznienie się urodzeniem nie jest chyba zbyt rozsądne. Ani mile widziane.

– Następny! – syknął Mavaren. – Nie byliście obaj tacy pewni siebie, kiedy was ratowałem przed zbójcami!

– I za to jesteśmy wdzięczni – odparł Evah. Zrzucił na plecy skórzany podróżny worek, w jakie wyposażył ich ochmistrz księcia Leonora. – Ale też dzięki nam mogliście wyjść z lochu.

– Brat by mnie i tak wypuścił – mruknął Mavaren.

– A zaraz potem znów zamknął, bobyś się pewnie z miejsca wybrał do szynku i upił do nieprzytomności, mości książę – wtrącił się do rozmowy Jakub. – Chodźmy już. Kellanie, pomóż jego wysokości zrolować porządnie tę derkę.

Mavaren z ponurą miną pozwolił sobie pomóc. Rzucił okiem raz i drugi na torbę Jakuba.

– Masz tam eliksiry sporządzane z użyciem okowity, co? – spytał, oblizując się łakomie. – Poczulem ten zapach, kiedy opatrywałeś bandytów... mistrzu.

– Znakomity węch masz, wasza wysokość, jeśli idzie o spirytualia. Tylko że gdybyś wypił choć parę kropel któregoś z tych preparatów, nie doczekałbyś południa. A niektóre zabiłyby cię w mgnieniu oka.

– Gdy odrobina trutki leczy od jadowej żmii, to zbyt duża ilość człowieka zabije – powiedział cicho Evah, a Grzywa złapał się za głowę tak samo, jak poprzedniego wieczoru.

– On to znowu robi – poskarżył się. – Miał przestać. A gdyby to miało iść do rymu, powinno być „człowieka zabiji”, a nie zabije. Albo chociaż byś powiedział po wiejsku „od jadowej żmije”, przynajmniej by pasowało!

– To tylko przysłowie, a nie dworskie wiersze. – Evah rozłożył ręce. – Ważne jest, o czym mówi porzekadło, a nie czy się rymy zgadzają.

– Ale ja nie mogę tego słuchać, przysięgam!

Mavaren wreszcie uporał się ze swoim bagażem, założył na ramiona rzemienie worka, mogli więc ruszać.

Szli parami, przodem Evah z katem, kilka kroków za nimi del Berwen z Kellanem. O ile jednak syn myśliwego i Jakub podążali ramię w ramię, to Mavaren zostawał nieco z tyłu za Grzywą, chcąc wyraźnie uniknąć bliskiego towarzystwa człowieka z gminu.

Evah obejrzał się i widząc to, lekko skrzywił.

– Nic nie poradzisz – powiedział kat, podążając za wzrokiem chłopca. – Jak widać, w tym rodzeństwie to Leonor dostał cały rozum i uprzejmość. Ale tego naszego towarzysza podróży też trzeba zrozumieć. Zachowuje się jak rozkapryszony dzieciak, jednak nie do końca jest temu winien. To znaczy, sam sobie zgotował ten los, ale nie umie zapanować nad skutkami.

Chłopiec spojrzał z ukosa na mistrza katowskiego. Czyżby słyszał w jego głosie nutki współczucia? Jakub nie wydawał się darzyć sympatią ksiązęcego brata, a jednak potrafił dostrzec w tym zadufku człowieka. Zdziwiający, jak na kata. Evah zawsze był przekonany, że ktoś zajmujący się taką profesją nie może być zbyt wrażliwy. W ogóle nie może być wrażliwy. Tymczasem miał obok siebie żywy przykład, że jest inaczej. Przynajmniej w tym jednym przypadku, bo nie przypuszczał, aby po świecie krążyło wielu katów podobnych do Jakuba. Zresztą, do niedawna nie miał pojęcia, że w ogóle istnieją wędrowni małodobrzy. Myślał, że siedzą po prostu po miastach, może czasem się przenoszą, gdzieś przyjeżdżają wykonać wyrok, lecz potem wracają na swoje śmieci. Ale też prawie nic nie wiedział o szerokim świecie, zatem nie powinien się zbytnio dziwić, że jego wyobrażenia mocno odstają od rzeczywistości.

– Masz na myśli jego nałóg? – spytał po chwili milczenia.

– Właśnie – powiedział kat. – Sam się w niego wpędził. Można powiedzieć, że jest sam sobie winien każdy, kto zaczyna nadmiernie pić czy też delektować się różnymi ziołami lub wywarami, które otumaniają umysł i niszczą duszę. Tyle że człowiek czyni pewne rzeczy z głupoty, z nieświadomości, a potem płaci za to wysoką cenę. Nieraz najwyższą.

– Życie? – zapytał Evah.

– Zdrowie. – Jakub pokręcił głową. – A przede wszystkim gubi duszę. Nie masz pojęcia, jak ułomna potrafi być dusza człowieka opętanego przez nałogi. Jak trudno ją pozyskać, jak podle czuje się człowiek, kiedy...

Urwał i potrząsnął głową. Wyglądało na to, że powiedział za dużo, pogrążony we

własnych myślach. Evah tym bardziej nadstawił uszu, ale kat nie wrócił do tematu, który wydawał się chłopcu niezmiernie ciekawy. O czym on mówił? O jakim pozyskiwaniu duszy? Przecież chyba nie o sprowadzaniu jej na dobrą drogę, nie zabrzmiało to w taki sposób, tylko cokolwiek niepokojąco.

– W każdym razie – mówił dalej Jakub – w pewnej chwili człowiek przestaje panować nad sobą i swoim życiem. Co gorsza, najczęściej wcale nie chce, żeby mu pomóc, wręcz odrzuca wyciągniętą rękę. Dzieje się tak, dopóki nie sięgnie dna i wtedy albo się od niego odbije, albo się na nim zatrzyma, bo tak mu wygodniej.

Evah zmarszczył brwi.

– Ktoś w ogóle chce przebywać na tym dnie?

– Zdziwiłbyś się, ilu jest takich ludzi. Wolą zmarnować całe życie, niż podjąć wysiłek, żeby coś zmienić. I powiem ci szczerze, że Mavaren wygląda mi na takiego, któremu by się nie chciało. Gdyby brat go nie pilnował i nie zamykał co jakiś czas na wytrzeźwienie, pewnie już by się stoczył na samo dno i gnił tam sobie w najlepsze. Ale jeśli nie zmieni swojego postępowania, nie zacznie działać inaczej niż do tej pory, wcześniej czy później spocznie w najgłębszych czeluściach pijaństwa.

Evah rozważał przez chwilę słowa Jakuba.

– To dlatego księżę tak łatwo zgodził się oszczędzić zbójów w zamian za to, żebyśmy zabrali jego brata na wyprawę, prawda? – Spojrzał na kata. – Ma nadzieję, że Mavaren się zmieni.

– Bez wątplenia – przytaknęła Jakub. – Nawet tak mądry człowiek jak Leonor Porządny jest bezradny w podobnych sprawach. Może mieć tylko nadzieję i modlić się do bogów, bo kocha brata, ale wie, że go traci. Nie umie nic na to poradzić, a ciągłe branie go pod klucz to żaden sposób.

Chłopiec zerknął na ostry profil Jakuba. Przeleciała mu przez głowę myśl, że ten surowy, groźny człowiek ma nieoczekiwanie bogate wnętrze. Zupełnie jakby skrywał w sobie jakąś tajemniczą naturę, która potrafiła złagodzić okrucieństwo, którego musiał się nauczyć, terminując u mistrzów małodobrych. Lecz zaraz potem przysłała myśl inna.

– Jakubie, czy to nie jest tak, że księżę Leonor wysłał cię z nami, żebyś pilnował jego brata, a nie pomagał mnie i Kellanowi?

Kat spojrział na chłopca, uniósł jedną brew. To znaczy tę część nad okiem, gdzie powinna znajdować się brew.

– Mówiono mi, żeś bystry, ale zaskoczyłeś mnie przenikliwością. Nie myślałem, że tak niewiele czasu zajmie ci dotarcie do prawdy. Tak, obiecałem księciu mieć oko na Mavarena, lecz jedno nie wyklucza drugiego. Tobie mam pomóc przede wszystkim.

Milczał przez dłuższą chwilę, a na jego twarzy odmalowało się najpierw rozdrażnienie, a potem rozbawienie. Evah znowu miał nieodparte wrażenie, że mistrz z kimś rozmawia. Z samym sobą? Nie, przecież to dorosły, poważny człowiek.

– Nie myśl, że księciu jest obojętny wasz los – powiedział Jakub. – Ale uważa, że i tak sobie nie poradzicie. Połamiecie karki, walcząc dzielnie do samego końca. A ty na pewno.

– Wiem – mruknął ponuro Evah. – Powiedział mi to na pożegnanie. Nie powiem, żebym czuł się pokrzepiony.

– Bo powinieneś czuć się ostrzeżony. Porywasz się na rzecz, która nie udała się dotąd nikomu. Nikt nie wrócił stamtąd, dokąd zmierzasz.

Syn myśliwego drgnął.

– To znaczy, że ktoś już próbował dobrać się do Żelaznego Kruka?

– Nic o tym nie wiesz?

Evah potrząsnął przecząco głową, zmarszczył brwi.

– Z tego, co usłyszałem od różnych ludzi, wynikało, że nie znalazł się śmiałek. A jeśli nawet, to nikt o tym nie pamięta.

– Bzdura – zaśmiał się krótko Jakub. – Evahu, doprawdy uwierzyłeś, że jesteś aż tak wyjątkowy?

– Podobno nikt przede mną i moją siostrą nie zdołał przeżyć najazdu bestii... – mruknął chłopiec. – Zatem nie miałyby się nawet kto mścić.

– Być może tak było w twojej części świata, chociaż wątpię. – Kat spojrział w zachmurzone niebo, poprawił płaszcz. Po jego zupełnie pozbawionej włosów głowie woda spływała, jakby skóra mężczyzny była nawoskowana. Evah odruchowo naciągnął nieco głębiej kaptur, ale zaraz go odchylił, żeby widzieć profil mistrza małodobrego. A on ciągnął: – Poza tym ludzie mają krewnych nie tylko we własnym osiedlu. Ich rodziny mieszkają po okolicznych wsiach, niektórzy przenoszą się do miast. Na pewno niewielu znajdzie się odważnych, czy raczej szalonych, żeby podejmować takie wyprawy. Jednak od czasu do czasu ktoś się porywa na Kruka. Jak nie w tej, to w innej dziedzinie imperium.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego książęta, hrabiowie i baronowie nie zjednoczą się, żeby zgładzić potwora. Owszem, słyszałem, że jest im na rękę, że Kruk sieje postrach, bo łatwiej utrzymywać w ryzach przestraszonych poddanych. Ale przecież kiedyś może on spaść wreszcie także na ich karki!

– Na tym świecie już tak jest, że jeśli nie wiesz, o co chodzi w podobnych sprawach, musisz wziąć pod uwagę dwie rzeczy, chłopcze. Żądzę władzy i chciwość. Najczęściej występują zresztą razem. A mówiąc chciwość, mam na myśli w ogóle pieniądze i bogactwa. Nawet jeśli panowie postanowiliby razem podjąć próbę zabicia Żelaznego Kruka, cesarz z pewnością zabroniłby im. Jednak oni sami i tak nie zechcą. Obecna sytuacja jest dla nich i wygodna, i zyskowna.

– Co masz na myśli? – zapytał Evah. – Dlaczego zyskowna?

Zamiast odpowiedzieć, kat znowu spojrział w niebo.

– Niebawem się przejaśni – oznajmił. – Będzie można spokojnie coś przekąsić.

– Dlaczego mówisz o zyskach? – naciskał Evah.

– To nie czas ani miejsce na takie opowieści – odparł Jakub. – Poza tym, jeśli zajdziesz dość daleko, zrozumiesz. Oczywiście jeśli chodzi o zyskowność, sprawa dotyczy tych najpotężniejszych panów, nie takich mało ważnych, jak księżę del Valdesse czy Leonor del Berwen, z całym szacunkiem dla tego ostatniego władcy.

– Są książęta potężniejsi od pana Valdesse? – zdumiał się Evah.

Kat spojrzął na chłopca z lekkim, jakby nieco kpiącym uśmiechem.

– Tak, del Valdesse ma o sobie bardzo wysokie mniemanie, jednak gdyby porównać go do władców takich jak par Sild ver Malvar na północy czy Lamnis ari Zalindi na południu, mógłby na ich dworach być co najwyżej szambelanem. To z takimi arystokratami musi się liczyć cesarz. Valdesse ze swoimi ambicjami i waśniami rodowymi bywa dla tych możnowładców co najwyżej niewygodny jak drobny kamyczek w butach. I jak kamyczek mogą go w każdej chwili wytrząsnąć, po czym pójść dalej.

Evah był zaskoczony. Potężniejsi? Jak to możliwe?

– Byłem w Salmarze, stolicy księstwa Valdesse – rzekł. – Jest wielka i wspaniała. Nigdy przedtem nie widziałem tylu ludzi, takich tłumów. Myślałem, że to największe miasto na świecie.

Jakub pokiwał głową, spojrzął na odległy horyzont.

– Nie przeczę, Salmara może się podobać. Jednak stolica Malbarii, Sevla, jest znacznie większa. Żyje w niej więcej ludzi, niż w prowincjach Valdesse, Lagen i Anzi razem wziętych. A może należałoby dołożyć też Lapurię.

Evah nie był sobie w stanie tego wyobrazić.

– Jak zatem wielka jest stolica imperium? – wykrzyknął. Z wrażenia zapomniał zupełnie o deszczu, odrzucił kaptur, żeby lepiej widzieć rozmówcę, nie zważał na strugi wody ściekające za kołnierz.

– A właśnie ona nie jest jakimś ogromnym miastem – odparł kat, po raz kolejny zadziwiając chłopca. – Cesarz ceni sobie spokój, więc nie pozwala się osiedlać w pobliżu pałacu zbyt wielu kupcom i rzemieślnikom. Garalia to zaledwie parę ulic, rezydencja imperatora, pałace ministrów i Cesarska Akademia Wojenna.

– Cesarska Akademia Wojenna – westchnął Evah. – Tato opowiadał mi o niej. To znaczy, nie o niej samej, bo tam nie był, ale o oficerach, których w niej kształcą. Podobno mało komu dane jest skończyć Akademię.

– Podobno – zgodził się Jakub. – Nie wiem. Ja ukończyłem Akademię Katowską gdzie indziej i kiedy indziej. Z niej też nie wszyscy wychodzili, nie każdy otrzymywał błogosławieństwo Mistrzów Sztuki.

– Ale ty je otrzymałeś... – rzekł chłopiec. – Sam jesteś mistrzem.

Na twarzy kata najpierw zagościł wyraz smutku, potem gniewu, a na koniec Jakub roześmiał się.

– A wyobraź sobie, że to właśnie ja tę Akademię spaliłem. Zniszczyłem ją aż po

fundamenty.

Evah chciał o coś jeszcze zapytać, ale spostrzegł, że oblicze małodobrego ściągnął grymas bólu, spojrzenie stało się nieobecne. Milczał więc. Dopiero po dłuższej chwili Jakub powrócił do chłopca myślą i uwagą.

– To dawne dzieje – rzekł. – Tak dawne, że nikt o nich nie pamięta.

Syn myśliwego znów spojrzał z niedowierzaniem. Jakub naprawdę wyglądał na góra trzydzieści kilka lat. Jeśli dokonał dzieła zniszczenia, unicestwił jakąś katowską uczelnię, na pewno mu to pamiętano.

– Wiele wiesz o świecie – zauważył Evah.

– Wiele – przytaknął kat. – Choć czasem wolałbym wiedzieć mniej. W nieświadomości łatwiej się żyje.

– Ale nieświadomemu łatwiej pobłądzić – odparł chłopiec.

Kat zaśmiał się krótko.

– Zaczynam rozumieć twojego przyjaciela. Naprawdę masz przysłowie na każdą okazję?

– Skąd – odpowiedział śmiechem Evah. – On ma rację, że niektóre wymyślam na poczekaniu. Ale mu tego nie mów.

– Nie powiem – zapewnił małodobry. – I masz rację. Nieświadomi błędzą częściej. Tylko że czasem błędzenie nie jest wcale takie złe.

– Może byśmy coś zjedli? – rozległ się z tyłu głos Mavarena. – Przestało w końcu padać.

Rzeczywiście, Evah, pogrążony w rozmowie z katem, nie zauważył, że woda przestała mu ściekać po włosach i kapać pod ubranie. Zlustrował wzrokiem okolicę i zobaczył niewielki wzgórek o dwieście kroków dalej.

– Tam staniemy – zarządził.

Spojrzał na kata, szukając u niego aprobaty dla swojej decyzji. Ale Jakub znów był pogrążony w swoich myślach, a Evah ponownie mógłby przysiąc, że mistrz w tej chwili z kimś rozmawia.

Rozdział 8

Lasy Kerenu



Droga przez stepy Anzi była nudna. Może niezbyt długa, bo trwała ledwie kilka dni, jednak zdawało się, że wśród bezkresnych traw czas ciągnie się niemiłosiernie. Dwa razy natknęli się na ludzkie osiedla i zostali ugoszczeni na tyle godnie, na ile było stać niezbyt bogatych ludzi. Obie osady były zresztą warowne, stały w nich załogi księcia.

– Zapuszczają się do nas dzicy z północnego wschodu – wyjaśnił podróżnym naczelnik w pierwszym gródku. – Najczęściej na wiosnę, jak ich głód przycisnie. Próbują wtedy porwać bydło pasące się w stepie albo rabować spichrze. Ale latem albo jesienią też nas odwiedzają nieproszeni. Dlatego musimy być czujni, a do tego utrzymywać zbrojnych Jego Wysokości.

Nie wydawał się z tego powodu szczęśliwy, ale też nie wyrzekał na konieczność karmienia darmozjadów, a to pewnie dlatego, że ci żołnierze jednak zupełnie darmo chleba nie jedli. Oprócz tego, że pomagali miejscowym odpierać najazdy dzikich hord, to oni właśnie dbali o palisady i umocnienia, kiedy panował spokój. A czasem nawet pomagali przy pracach gospodarskich. Evah doceniał teraz, że dorastał w spokojnej okolicy, gdzie największym problemem byli poborcy podatkowi. Oczywiście do chwili zjawienia się Żelaznego Kruka... Naczelnik powiedział im jeszcze, że dzicy nie zapuszczają się ani do Farali, ani do Malbarii, bo wystawiono tam system warowni, między którymi trudno się przemknąć.

– A ci barbarzyńcy nie są tacy głupi, żeby przechodzić przez Ponurą Krainę i atakować od północy – podsumował. – Dlatego cały ciężar obrony przed nimi spada na nas.

Evah współczuł miejscowym. Wyglądało na to, że księstwo księstwu nierówne i hrabstwo hrabstwu. Władca Anzi musiał radzić sobie sam, skoro możniejsi panowie odcięli się od niebezpieczeństwa. Tylko ciekawe, jak długo to potrwa? Evah żywił przekonanie, że wcześniej czy później dzikie plemiona zdołają się wdrzeć do tych bogatszych dzielnic.

– Jesteśmy już chyba w dziedzinie hrabiego Livona – powiedział Mavaren podczas kolejnego postoju. – Tak coś czuję.

Evah rozejrzał się, jednak nie był w stanie orzec, czy przekroczyli granicę. Step wyglądał tak samo, jak do tej pory.

– Też tak sędzę – odparł Jakub. – Zdaje się, że weszliśmy do Farali już rano.

– I nie napotkaliśmy żadnych patroli? Żadnej stancji? – zdziwił się Grzywa.

– Bo nie podążamy traktem handlowym – wyjaśnił Mavaren – a tutaj dzikusy już nie docierają. W dodatku kat wiedzie nas jakimiś stepowymi drózkami. Pewnie się czegoś obawia na głównej drodze – nie mógł sobie darować złośliwości.

– Owszem, obawiam się – potwierdził mistrz małodobry. – I ty też powinienes. Jeśli ludzie z cechu złodziejskiego gdzieś nas szukają, to właśnie tam.

– Jak to? – zdumiał się Evah. – Przecież ich ręce nie sięgają do Anzi.

– Na ogół nie – zgodził się Jakub. – Starają się przestrzegać podziałów terytoriów, jakie ustalili z innymi cechami i gildiami.

– Tylko tym razem bardzo chcą mnie dopaść, co? – wtrącił się Kellan.

– Właśnie. Na pewno nie wystąpią w zbrojnej grupie, jak wtedy, kiedy nas napadli, ale mogli wysłać skrytobójców. A oni nie będą się wahać i pilnować, żeby przebić nożem serce tylko tego, który się naraził Trupowi. Każdy, kto znajdzie się zbyt blisko, może zginąć.

– A od kiedy jesteś taki strachliwy... mistrzu? – zainteresował się kpiącym tonem del Berwen.

Kat potraktował go chłodnym, nad podziw obojętnym spojrzeniem. Przez chwilę wydawało się, że nie odpowie, bo zwyczajnie nie ma ochoty strzępić języka, a docinki księcia są dla niego nużące niczym brzęczenie roju much w upalne południe, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że obaj chłopcy powinni wiedzieć, co myśli.

– Strachu nie odczuwa głupiec, szaleniec lub zupełny desperat. Albo ktoś, komu zupełnie nie zależy na życiu.

– A ty go czujesz? – nie dawał spokoju Mavaren.

– Nie – odpowiedział Jakub. – Ja strachu nie czuję. Już od bardzo dawna.

– To jesteś głupi czy szalony? A może zdesperowany i nie zależy ci na życiu... mistrzu?

– A ze mną jest jeszcze inaczej – odparł kat – ale to nie twoja sprawa, książę. W każdym razie nie ma sensu ryzykować bez potrzeby. – Zwrócił się już tylko do chłopców. – Władca Anzi i hrabia Livon del Faralen pozostają w przyjaźni. To rodzinna tradycja, podobnie jak

waśnie między panem Valdesse i księciem Lapurii. Zresztą to zupełnie zrozumiałe. Oba kraje leżą w dużej części na tym stepie i oba są najeżdżane przez te same ludy z północy. Sojusz jest wyrazem zwyczajnego rozsądku. Livon woli też, żeby jego przyjaciel wzmacniał stacje, dlatego nie upomina się o pilnowanie granic między państewkami. Zobaczycie jeszcze, że del Faralen potrafi się dogadać nie tylko z władcą Anzi. Ale to wtedy, gdy dotrzemy do granicy z Malbarią

Evah pomyślał, że takie współzycie jest w ogóle rozsądniejsze niż prowadzenie wojen, ale nic nie powiedział. Kellan mógłby znowu pomyśleć, że syn myśliwego wyrzuca z siebie jakieś powiedzenie czy przysłowie, bo taki wniosek wydawał się oczywisty.

– Jeśli dobrze patrzę – mówił dalej Jakub – granicę z Valdesse mamy na południe, na północnym wschodzie są niewielkie księstwa i baronie pograniczne, a za nimi już wieczna zmarzlina, ojczyzna dzikich plemion.

– Tam chyba nie idziemy? – zaniepokoił się Mavaren. – Nie zamierzamy, mam nadzieję, obchodzić jeszcze jakiegoś kraju?

– Nie – odpowiedział kat. – Teraz możemy iść prosto na północny zachód. Niebawem powinniśmy dotrzeć do Farali, ukążą się pagórki i Lasy Kerenu, a za nimi będzie już Malbaria i dalej skały Ponurej Krainy.

Mavaren pokiwał głową, bardzo zadowolony.

– W Malbarii sycą doskonałe miody – rzekł z rozmarzeniem. – Musimy koniecznie...

Zamilkł, widząc, że wszyscy patrzą na niego z potępieniem. To znaczy tak patrzyli chłopcy, bo spojrzenie kata nieodmiennie było obojętne. I właśnie ta obojętność najbardziej złościła brata księcia Leonora. Jakub zdawał się traktować go nie jak towarzysza podróży, ale uciążliwy bagaż, który trzeba taszczyć, bo złożyło się obietnicę dostarczenia go na miejsce.

– To dużo jeszcze zostało nam tych traw? – spytał Kellan. – Bo już mam ich dość... Nigdy się chyba tak nie wynudziłem.

– Właśnie – przytaknął Evah. – To okropne.

– Grzywa, żebyś nie powiedział tego w złą godzinę – mruknął Mavaren. – Czasem lepiej się dobrze ponudzić, niż cierpieć na nadmiar zajęć. Szczególnie kiedy trzeba przy nich dobrze wyciągać nogi. Jeszcze zatęsknisz za tą nudą, nawet jeśli trzeba ją teraz łykać razem z obrzydliwym deszczem.

Kat pokiwał głową.

– To prawda. Człowiek często tęsknie wspomina czas, kiedy zdawało mu się, że z nudów zje własne buty. Ale wy jesteście jeszcze bardzo młodzi i niecierpliwi.

Zakończyli postój. Evah zapakował do worka podróznego resztę sucharów i mięsa. Z troską pomyślał, że trzeba zadbać o zapasy, bo niebawem nic im nie zostanie.

– Jeszcze jedno – rzekł kat. – Kiedy wejdziemy do Malbarii, nazywajcie mnie mistrzem. Lepiej, żeby żadne moje imię nie dotarło do uszu pewnych wpływowych ludzi.

– Na przykład księcia ver Malvara? – zaśmiał się drwiąco Mavaren. – Naraziłeś się wielkiemu panu? To nierozsądne... mistrzu.

– Księcia się nie obawiam – odparował kat. – Ale miałem zatarg z jego szambelanem, ochmistrzem i kilkoma innymi wysokimi urzędnikami. Niby nic wielkiego, ale tacy ludzie bywają bardzo pamiętliwi.

– Zatem pewnie lepiej nie stać obok ciebie, kiedy cię znajdą – domyślił się Mavaren i dopiero po wyjątkowo długiej chwili dodał z rytualnym szyderstwem: – ...mistrzu.

Jakub bez słowa przerzucił torbę przez ramię, spojrzał pytająco na Evaha.

– Ruszamy – rzekł chłopiec. – Chcę już dotrzeć do tego lasu.

– A mnie się tam nie śpieszy – burknął Mavaren. – Słyszałem, że żyją w nim bardzo nieprzyjemne zwierzęta. I podobno nie tylko zwierzęta...

Nikt nie zwracał już na niego uwagi, więc tylko machnął ręką i schował prowiant do worka.



Las powitał ich mrokiem i wilgocią. Oto jeszcze przed chwilą znajdowali się na otwartej przestrzeni, a już otaczały ich wielkie drzewa, już weszli na ścieżkę, po której obu stronach rosły olbrzymie paprocie.

– Takich jeszcze w życiu nie widziałem – powiedział Evah. – A przecież często bywałem w lesie.

– Nikt z nas takich na pewno nie widział – dorzucił Grzywa. – Chyba że mistrz Jakub albo jego wysokość byli już kiedyś tutaj.

Obaj chłopcy przystanęli i spojrzeli pytająco na starszych. Mavaren wzruszył ramionami, a kat pokiwał głową.

– Przechodziłem przez Lasy Kerenu kilka razy – przyznał. – Ale zawsze sam. Nawet jeśli żyją tutaj jakieś groźne stworzenia, nie spotkałem ich. Jestem raczej marnym kąskiem.

– Pewnie wszystko przed tobą pryska, kiedy tylko poczuje zapach... mistrzu – mruknął książęcy brat.

Jakub spojrzał na niego i znów skinął głową.

– To bardzo możliwe – rzekł. – Rzadko który drapieźnik będzie miał na mnie chrapkę.

– Nic dziwnego. Musisz być w środku tak samo niestrawny, jak na wierzchu. – Mavaren nie mógł sobie odpuścić szyderstwa. – Mistrzu.

– Niewykłuczone, że zwierzęta tak to czują – odparł spokojnie Jakub. – Ale teraz idziemy w grupie, wszystkich was mogą uznać za smakołyki. Bądźmy czujni, zamiast strzępić jęzory bez pożytku.

Evah ruszył przodem. Na wąskiej dróżce nie mogli iść parami, bo liście paproci chyliły się

nad nią, zostawiając jedynie wąskie przejście. Czuł się nieswojo. Miał wrażenie, że nie tyle weszli do lasu, ile zostali między drzewa wciągnięci, wręcz wessani. I jakby mieli się już nigdy spomiędzy nich nie wydostać.

Potrząsnął głową, żeby odgonić nieprzyjemne myśli i wrażenia. Obejrzał się na Kellana. Chłopak miał nieszczęśliwą minę, zapewne bardzo podobną do miny Evaha.

– Jakby w każdej chwili miało się zdarzyć coś złego – mruknął.

Cienistą przestrzeń wypełniały głosy ptaków, ale nie był to śpiew, do jakiego Evah przywykł, chodząc z ojcem na polowania. Tutaj ptaki zdawały się o wiele cichsze, zupełnie jakby obawiały się wydobyć z siebie pełny głos, całą radość życia. Jakby szeptały do siebie z obawą, a nie śpiewały. Syn myśliwego zmrużył oczy, wypatrując w gęstwinie niebezpieczeństwa, nic niepokojącego się jednak nie działo.

– Tu zawsze tak jest? – zapytał, oglądając się do tyłu.

– Zawsze – potwierdził Jakub. – A przynajmniej tak to wyglądało za każdym razem, kiedy tędy przechodziłem.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Kellan rozglądał się bojaźliwie na boki, ale Evah niebawem przywykł do dziwnego otoczenia. Przypomniawszy sobie uroczysko, na jakie zaprowadził go kiedyś ojciec. Tam również królowały wielkie drzewa o grubych pniach, a między nimi rosły jałowce i paprocie. Co prawda te ostatnie nie były tak wielkie, jak te tutaj, ale też gęsto ścieliły się nad ziemią. Chłopiec miał wrażenie, że gdyby wskoczył na zwarty dywan liści, poszedłby po nim niczym ubitym gościńcem.

A kawałek dalej za uroczyskiem znajdowało się stare cmentarzysko. Niewielkie kurhany wyrastały obok siebie co kilka kroków. Ojciec powiedział, że to bardzo stary cmentarz, na którym chowano zmarłych od zarania dziejów, a już na pewno od czasów, kiedy w tym miejscu osiedlili się pierwsi ludzie.

Evah najlepiej znał cmentarzyk położony opodal wsi. Tam grzebano ludzi w ziemi, w prostych trumnach, a biedniejszych nawet bez nich, bo nie każdego było stać na drewnianą skrzynię. Różnie powiadano o tym, co się dzieje na cmentarzu po nocach, szczególnie kiedy księżyc pozostawał w nowiu i panowały głębokie ciemności, ale też w czasie pełni, kiedy jego mocny blask podobno budził upiory. Chłopiec nigdy nie odważył się iść w to miejsce po zmroku, a nawet kiedy w biały dzień przechodził obok, czuł się trochę nieswojo. W końcu ziemia skrywała zmarłych, i chociaż kapłani powiadali, że nie ma się czego bać, wyobraźnia płatała figle. Kiedyś musiał tamtędy wracać po zmroku. Gdy natknął się na niski płotek otaczający cmentarz, popędził, jakby go ktoś gonił. I mógłby przysiąc, że czuł na karku lodowaty oddech istot nie z tego świata.

Gdy wszedł później do ciepłego, rozjaśnionego blaskiem paleniska domu, paskudne wrażenie znikło, ale przez długi czas odzywało się jeszcze wspomnieniem.

Jednak na cmentarzysku kurhanowym nie odczuwał nic podobnego. Tutaj prochy zmarłych spoczywały w glinianych popielnicach, a nad nimi rosły drzewa.

– Jak tu spokojnie – westchnął Evah.

– Prawda? – powiedział ojciec. – Jeśli wypada mi długa droga i muszę nocować gdzieś po drodze, gdy idę od tamtej strony z łowisk, zatrzymuję się właśnie tutaj. I uwierz mi, synu, czuję, że zawsze mogę spokojnie spędzić tu noc, bo strzegą mnie dobre duchy.

Evah uwierzył bez trudu, ale pomyślał od razu, że tak czy inaczej wolałby nie spać w pobliżu cmentarzyska. Żadnego.

Ale tutaj wszystko przywodziło na myśl uroczysko, a nie kurhanowy cmentarz. Otoczenie było groźne i nieodgadnione, każde drzewo, każda roślina zdawała się obserwować go nieprzychylnym spojrzeniem.

Im bardziej zagłębiali się w las, tym większy niepokój ogarniał chłopca.

W pewnej chwili Evah zatrzymał się i zmarszczył brwi. Coś się zmieniło. Z początku nie mógł odgadnąć, co dokładnie. Obrócił się powoli wokół własnej osi, żeby obrzucić wzrokiem okolicę.

– Co się dzieje? – zapytał wysiłonym szeptem Kellan. Bał się odezwać głośniej, bo miał wrażenie, że jeśli to zrobi, niebezpieczeństwo stanie się namacalne, a nie tylko prawdopodobne, wiszące gdzieś w powietrzu i niedopowiedziane.

– Coś jest nie tak – mruknął Evah. – Ale na razie nie bardzo wiem...

Zamilkł i zmarszczył brwi.

– Ptaki zamilkły – powiedział głośno i wyraźnie. – To bardzo niedobrze.

Popatrzył w stronę Jakuba, a kat ruszył szybkim krokiem ku niemu, roztrącając i depcząc wielkie paprocie. Rozległ się szum padających liści i chrzęst gniecionych łodyg.

– W krąg! – rozkazał mistrz.

Bez dyskusji ustawili się plecami do siebie, nawet Mavaren nie rzucił żadnej zjadliwej uwagi, a to znaczyło niewątpliwie, że czuje się niezbyt pewnie.

– Czego wypatrujemy? – zapytał cicho Grzywa.

– Czegokolwiek – odparł Jakub. – Nie wiem, co może się kryć...

Urwał, bo w tej chwili gałęzie o pięćdziesiąt kroków od nich poruszyły się, jakby pod wpływem silnego powiewu, chociaż korony drzew dookoła trwały w bezruchu.

– Widziałem coś! – wykrzyknął Mavaren.

– Nie tylko ty – warknął kat. – Milcz!

Przez liście i igły drzew przemknęło coś na wpół widocznego, przezroczystego, a jednocześnie wyraźnego. Zupełnie jakby stwór został ulepiony z gęstego powietrza.

– Łuk, Evahu – powiedział Jakub spokojnym tonem. – Napnij broń i przygotuj strzałę. Tylko powoli i bez gwałtownych ruchów. Ten stwór atakuje najchętniej, kiedy ofiara zaczyna się miotać.

– Wiesz, co to jest? – spytał Mavaren zduszonym głosem.

– Domyślam się – powiedział kat. – Tyle że nie spodziewałem się spotkać czegoś takiego z dala od morza albo przynajmniej wielkiego jeziora.

– Ale co to jest? – zapytał Evah. Sam dostrzegł istotę tylko kątem oka. – Syrena?

– Na pewno nie syrena – odparł Jakub. – One nie oddalają się od wody na więcej niż sto kroków. Ale to krewniak syren, tyle że znacznie od nich groźniejszy. Nazywają go nishonem. Ten może zapuścić się w głąb lądu o wiele dalej, choć i tak potrzebuje do życia dużych zbiorników wodnych. Zatem albo mamy gdzieś w pobliżu duże jezioro, albo...

– Albo to nie musi być nishon – wpadł mu w słowo Mavaren. – Tylko severain.

– Coś tam jednak wiesz, wasza wysokość – burknął Jakub. – Tylko jeśli to severain...

– To chyba już po nas – przerwał mu znów brat księcia.

Kat nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, rozglądał się na wszystkie strony, a potem kiwnął głową.

– W każdym razie będzie trudno – rzekł.

– Nie słyszałem, żeby ktoś się obronił przed severainem. – Tym razem odezwał się Grzywa. Głos mu drżał, czaiła się w nim panika.

Evah potrząsnął głową. Wychodziło na to, że znów nie miał pojęcia o czymś, co innym zdawało się oczywiste.

– Wszystko, co żywe, jest również śmiertelne – odparł Jakub. – I wszystko można pokonać. Nie wolno tylko dać się zjeść lękom i obawom.

Łuk był już napięty. Evah nałożył strzałę na cięciwę, ale nie naciągał broni. Zdąży to zrobić w każdej chwili, a trudno utrzymać gotowy do strzału łuk bez drżenia rąk. Tego nauczył się jeszcze jako dziecko, a ojciec przy każdym ćwiczeniu powtarzał, że broń w ogóle należy szanować i nie trzymać jej w pełnej gotowości dłużej, niż trwa wycelowanie. Inaczej albo prysnie łuczysko, albo zmarnuje się sposobność do dobrego strzału.

– Okrąża nas – szepnął Jakub. – Słyszycie?

Mavaren wzruszył lekko ramionami, a Grzywa zmarszczył brwi, wsłuchując się w odgłosy lasu. Jednak Evah już wiedział, o czym mówi mistrz małodobry. Rzeczywiście, poszum szedł w lewą stronę i od czasu do czasu rozlegał się odgłos przypominający drapanie pazurów o korę.

– To nie jest zjawą, prawda? – zapytał półgłosem chłopiec. – One poruszają się bezszelestnie.

– Nie jest – potwierdził kat. – Ale to paskudny stwór. Wolałbym już chyba spotkać upiora.

Korona drzewa dwadzieścia kroków od nich zaszeleściła, pośród gałęzi zgęstniało powietrze. Evah bez zastanowienia naciągnął łuk i posłał tam strzałę. Zaraz wydobył z kołczanu kolejny pocisk.

Wycie, jakie rozległo się chwilę potem, zmroziło mu krew w żyłach. Nigdy do tej pory nie słyszał tak potępieńczego głosu.

Jakub wydobył miecz, odskoczył od grupki i stanął do niej przodem.

– Na ziemię! – ryknął z taką mocą, że wszyscy padli w jednej chwili.

Coś przeleciało nad nimi. Evah poczuł podmuch powietrza i lekkie szarpnięcie, jakby

o jego kaftan zaczepiła niewielka gałąź. Spojrzał w stronę Jakuba. Kat stał na szeroko rozstawionych nogach i wyprowadzał właśnie cios znad głowy. Gniewne Uderzenie! Zadane z wielką mocą. Tylko że Jakub nie poprzestał na tym. Wykonał półobrót i ciął płasko techniką, którą z kolei zwano Uderzeniem Krzywym.

Znów rozległo się wycie, teraz pełne wściekłości i bólu. Evah poderwał się, naciągnął łuk. Widział przejrzysty kształt umykający między drzewa, posłał za nim strzałę.

I znów wycie, które mogło przyprowadzić człowieka o szaleństwo. Chłopiec bez chwili zwłoki położył na cięciwie kolejny pocisk. Obrócił się, słysząc, jak potwór zatacza łuk, tym razem w prawo. Jakub obracał się razem z nim.

Grzywa ukląkł, ściskając w dłoni sztylet, Mavaren zerwał się, wystawiając przed siebie wąską klingę.

– Nie wróci – oznajmił Jakub. – A w każdym razie nieprędko. Poszło łatwiej, niż myślałem. Dziękuję, Evahu.

– Skąd wiesz? – syknął brat księcia. – Przecież tego wściekłego bydlęcia nie sposób pokonać!

– Widać zależy, na kogo trafi – odparł spokojnie kat. – Dwie strzały Evaha i moje cięcia zrobiły swoje.

Poszedł kilka kroków przed siebie, podniósł coś z ziemi i przyniósł do towarzyszy.

Evah zadrżał, widząc pazurzastą łapę, pokrytą szarawą, chropowatą skórą.

– Będzie teraz leczyć rany – rzekł Jakub. – Wróci polować, to oczywiste, ale dopiero kiedy mu kończyzna odrośnie. A odrośnie na pewno. Hm... – Zamyślił się na chwilę. – A może to była samica? Samce severainów są mniejsze, ale za to jeszcze groźniejsze.

– Czyli to jednak był severain? – upewnił się Evah.

– Tak – odparł kat. – Nishon ma ciało pokryte łuską podobną do rybiej, a to jest gadzia skóra.

Rozdział 9

Zagubiona duszyczka



Przez dłuższy czas nic się nie działo, w dodatku skończyły się wielkie paprocie i chociaż ścieżka niewiele się poszerzyła, to mogli iść swobodniej. Wszyscy przyjęli to z ulgą. Gęsto rosnące zielone liście budziły niepokój. A grube łodygi kojarzyły się Evahowi z węzami z opowieści, jakie snuli przy ogniu starzy, żeby postraszyć dzieci, ale też siebie nawzajem.

Ojciec wprawdzie śmiał się z tych różnych strachów, lecz chłopiec wcale nie był taki pewny, że to, o czym mówią doświadczeni ludzie, jest zupełnym łgarstwem. Zresztą, nawet bywały w świecie myśliwy nie zaprzeczał, że różne stwory mogą istnieć, ale zapewniał, że w bliższej i dalszej okolicy nie znajdzie się ogromnych jaszczurów i węży zdolnych udusić nie tylko człowieka, lecz nawet dorosłego lisa.

Spojrzał do tyłu na idącego tuż za nim Grzywę.

– Miło, co?

Kellan coś mruknął i widać było, że nie otrząsnął się jeszcze po spotkaniu z niewidzialnym drapieżnikiem.

– Co tam mamrociesz?

– Diabli mnie podkusili leźć dalej z tobą – burknął Grzywa nieco głośniej.

– Nie miałeś wielkiego wyboru – zaśmiał się Evah.

– Ale tutaj mogę zginąć – poskarżył się Kellan. – Przepaść jako obiad w pysku jakiegoś

potwora.

– Możesz – zgodził się syn myśliwego. – Ale nie musisz. A gdybyś został, prędzej czy później dopadliby cię ludzie Trupa. I nie przypuszczam, żebyś wolał to, co by ci zrobili, od szybkiej śmierci.

– Śmierć to śmierć – odparł Grzywa. – Wszystko jedno...

– Nie opowiadaj bzdur – wtrącił się do rozmowy Jakub. – Nie jest wszystko jedno, jak człowiek umiera i dlaczego.

Kellan skrzywił się, ale pokiwał głową.

– Tak. Liczy się jeszcze także, w jakim towarzystwie. A nie wiem, czy wasze tak bardzo im odpowiada...

– Przestańcie rozprawiać o śmierci! – zirytował się Mavaren. – Takie gadanie może ściągnąć nieszczęście.

– Chłopcy zaczynają się nudzić – rzucił Jakub, zwalnając, żeby przepuścić przed sobą książęcego brata. Ten nie protestował, wolał mieć kogoś z przodu i z tyłu, tak na wszelki wypadek. – A przynajmniej Evah. Przynajmniej tak mi się zdaje.

– Zdaje ci się – zapewnił Evah przez ramię. – Bardzo chętnie bym się teraz nieźle wynudził.

– A widzisz? – podchwycił Mavaren. – Mówiłem w stepie...

Książę urwał, bo w tej samej chwili rozległ się krzyk. Stanęli, zaczęli nasłuchiwać.

– Co to było? – szepnął Grzywa, ale Evah uciszył go gniewnym gestem.

Krzyk znów rozbrzmiał, odległy, ale wyraźny.

– To jakieś zwierzę? – zaniepokoił się Mavaren.

– Raczej człowiek – mruknął Evah, a Jakub pokiwał głową. – Prawda, że czasem koty potrafią płakać jak niemowlęta, ale to jest krzyk. Wysoki, ludzki...

– Prawda. – Jakub przyłożył ręce do uszu, żeby ustalić kierunek, z którego dochodził głos.

– To nie zwierzę. Chyba. Tak czy inaczej, trzeba sprawdzić.

Evah również nasłuchiwał, wykonując podobny gest, jak małodobry.

– To będzie gdzieś tam – wskazał w prawo.

– Chyba nie chcecie tam iść? – zaniepokoił się Mavaren. – Skoro ktoś wlaźł do tego lasu, niech płaci za głupotę. Co nas to obchodzi?

Evah nie zwracał uwagi na księcia. Nie namyślając się dłużej, pobiegł w stronę dźwięku. Jakub bez zwłoki podążył za nim, a Kellan tylko potrząsnął głową i ruszył w ślady przyjaciela. Mavaren splunął, popatrzył za oddalającymi się kompanami, rozejrzał na wszystkie strony. Z początku miał ochotę zostać, odpocząć, poczekać, co spotka tamtych, ale na myśl, że miałby samotnie przebywać chociaż chwilę w tej paskudnej głuszy, zerwał się do biegu.

– Hej, poczekajcie! Nie mam już dwudziestu lat!

Oczywiście nikt go nie słuchał. Ale też brat księcia Leonora nie był wcale tak nieruchawy,

jak lubił o tym mówić. Szczególnie wtedy, kiedy przez długi czas nie oddawał się pijaństwu, wracały mu siły. Po prostu nie cierpiał biegać. Tyle że teraz nie miał wyboru.

Krzyk rozległ się znowu, już bliżej, co znaczyło, że syn myśliwego wybrał dobry kierunek. Ale kiedy przebiegli między ogromnymi pniami kolejne dwieście kroków, kat dogonił chłopca i chwycił go za ramię.

– Wolniej – przestrzegł. – Jesteśmy już blisko, trzeba uważać.

– Ale tam ktoś woła o pomoc! – zaprotestował Evah, zdyszany.

– Skąd wiesz, że to nie pułapka? – zapytał Jakub. Ku zdziwieniu chłopca, wyglądał, jakby nie przebiegł całkiem sporego dystansu, bo nie skrócił mu się nawet oddech. – Łatwo wpaść głową do studni, gdy się człowiek zbyt wychyli, ale trudniej się z niej wydostać.

– Nie pora na przysłowia! – syknął Evah.

Kellan spojrzał na niego i już miał rzucić uwagę, że nigdy by się nie spodziewał usłyszeć takich słów z ust towarzysza podróży, ale uznał, że odłoży kpiny na potem. To nie była pora na wygłaszanie złośliwości. Zresztą, nie było na to czasu.

Po chwili dobiegł do nich Mavaren. Kat spojrzał na niego, wzorem Grzywy nie skomentował udziału jego wysokości w tej niebezpiecznej awanturze. Zamiast tego wy dobył miecz. To samo zrobił Mavaren, Kellan też już ścisnął w dłoni nóż. Ale kiedy Evah sięgnął do rękojeści, małodobry powstrzymał go i wskazał łuk.

– To bardziej może się przydać.

Evah chwycił więc broń, nałożył strzałę i spojrzał na małodobrego. Cieszył się, że nie zdjął jeszcze cięciwy, więc oszczędził kilka chwil potrzebnych do napięcia łuku.

Kat skinął głową.

– A teraz powoli – powiedział. – Najpierw trzeba zobaczyć, z czym mamy do czynienia, a dopiero potem...

Jednak tym razem krzyk był tak rozpaczliwy, że Evah nie umiał się powstrzymać od gwałtownych działań. Zagrała w nim krew, rzucił się do przodu. Jakub tylko westchnął i pognął za nim, a pozostali oczywiście ruszyli ich śladem. Mavaren, rzecz jasna, na samym końcu.

Wśród drzew majaczyły jakieś postacie. Evah nie był w stanie na razie dostrzec, czy to ludzie, czy jakieś leśne potwory, przyśpieszył więc tym bardziej. Nagle wypadli na dużą polanę. Na jej środku tkwił wielki głąz o stromych, wyciosanych najwyraźniej ludzką ręką ścianach, a na jego szczycie niewielka postać opędzała się od obskakujących ją ni to wilków, ni dużych kotów. W każdym razie na pewno nie byli to ludzie, chociaż bestie stały na tylnych łapach i ewidentnie była to ich naturalna pozycja.

Evah natychmiast naciągnął łuk, aż opierzenie strzały dotknęło jego policzka. Widział przed sobą cztery stwory, ale po drugiej stronie głązu było ich pewnie jeszcze raz tyle.

Cięciwa jęknęła, strzała pomknęła do celu. Pierwszy wilkot – jak już je nazwał w myślach – dostał między łopatki. Gdyby był człowiekiem, sam impet uderzenia powaliłby go na

ziemię, nie mówiąc o tym, że pocisk okazałby się śmiertelny. Ale bestia tylko zachwiała się i odwróciła. Evah nałożył następną strzałę, jednak nie zdołał jej posłać w ranionego przeciwnika. Przed nim wyrosła ciemna postać, ostrze zalśniło, zawirowało i pozbawiło wilkota głowy.

Chłopiec wybrał więc inny cel – stwora po lewej, bo w prawo pomknął kat. Zaraz za nim pojawił się Grzywa. Długi, ostry nóż zataczał ciasne półkola. Kat ciął, rozległo się pełne bólu wycie, raniony wilkot padł na bok, przetoczył i już miał się zerwać, kiedy jego piersi dosięgła klinga Kellana.

– W gardło! – zawołał kat, widząc, że cios nie zdołał zabić bestii od razu. – Albo pod brodę!

Grzywa posłuchał, wyrwał nóż z piersi wilkota, ale pchnął go nie w gardło czy pod brodę, lecz prosto w otwartą, pełną zębów paszczę. Stwór zdechł, nie wydając nawet najmniejszego odgłosu.

– Można i tak! – krzyknął Jakub, atakując już następnego.

Evah tymczasem potraktował strzałą wilkota, który zwrócił się w jego stronę. Bestie dopiero po chwili zrozumiały, że są atakowane. Chłopiec skorzystał z okazji, że stwór znieruchomiał na chwilę i wypuścił strzałę prosto w paskudny pysk. Szczęście było dlań łaskawe, bo grot zsunął się po twardej kości jarzmowej i utkwiał w oczodole.

Evah nie miał jednak czasu napawać się triumfem, bo zza skały wyskoczyły zasłonięte dotąd wilkoty. Dwa pognały w jego stronę, dwa ku Grzywie i Jakubowi. Chłopiec zdążył pomyśleć, że to niesprawiedliwe, bo tamtych jest dwóch, a on został sam. Był przekonany, że kto jak kto, ale Mavaren nie przyjdzie mu z pomocą. Czai się pewnie gdzieś z tyłu...

Nie miał nawet czasu dobrze naciągnąć łuku. Wypuścił strzałę, ledwie uznał, że zdoła chociaż wyrządzić napastnikowi jakąś szkodę, ale się zawiódł. Pocisk wprawdzie trafił w bark szarżującego wilkota, lecz nawet nie wybił go z rytmu.

Evah błyskawicznie wydobył miecz. Odruchowo stanął w pozycji szermierczej, ale zaraz przypomniał sobie, że ma do czynienia z dzikimi bestiami, a nie uzbrojonymi ludźmi. Trwanie w miejscu mogło go tylko zgubić. Skoczył więc w bok i przykucnął. Wprawdzie wilkot wyczuł jego ruch i lekko skręcił, lecz przeleciał nad skulonym chłopcem, zaledwie dotykając końcami pazurów jego worka podróznego. Wprawdzie było to jedynie muśnięcie, mimo to impet spowodował, że Evah się przewrócił.

I to go uratowało, bo drugi wilkot również na niego skoczył, tyle że o wiele rozważniej niż kompan. Ponieważ jednak chłopiec przetoczył się dwa razy, napastnik zarył pazurami w skąpej trawie. Znowu przyleciała błyskawiczna myśl, że następnym razem przed walką trzeba zrzucić obciążenie. A potem kolejna, pełna zdziwienia, że takie rzeczy przychodzą do głowy podczas śmiertelnych zmaganiań.

W każdym razie wilkot zarył pazurami w ziemię, odbił się i wykonał w powietrzu widowiskowe salto.

Evah nie miał czasu podziwiać gracji ruchów drapieżnika. Zerwał się i dopadł tego, który zaatakował go jako pierwszy. Znów miał trochę szczęścia – wilkot podczas upadku wyrzucił łbem w całkiem spory kamień. Tych kamieni Evah widział zresztą więcej, miał wrażenie, że leżą kręgiem wokół głazu w centrum.

Dopadł stwora i pomny na to, co wykrzyknął Jakub, najpierw ciął go w kark, a kiedy tamten się odwrócił, wsadził mu ostrze pod brodę.

Wilkot padł martwy, ale został ten drugi. Evah ledwie zdążył się odwrócić i zasłonić mieczem przed ciosem pazurzastej łapy. Stał zadźwiczona, rozległo się chrupnięcie, kiedy któryś z pazurów złamał się na kłindze, a chłopiec poczuł, jak ramię mu drętwieje od mocy uderzenia. Ledwie utrzymał broń, lecz odrzuciło go w tył, drobił przez chwilę, żeby nie stracić równowagi, a wilkot podążał za nim, wymachując łapami i kłapiąc zębatą paszczą. Niezbyt długi ogon chlastał go po bokach, jakby stwór dodawał sobie animuszu.

Evah musiał coś natychmiast zrobić, bo w bezpośrednim starciu nie miał szans z potężną istotą. Zaparł się czubkiem stopy i gwałtownie ruszył do przodu. Jednak nie atakował głowy wilkota. Przypomniał sobie, w jaki sposób ranił rozbójnika z bandy, która napadła na karawanę kupca Harimiego. Tutaj ryzykował, że natknie się na paskudne pazury tylnych łap, ale jakie miał wyjście?

Teraz błogosławił się wręcz za to, że nie zrzucił podróznego worka, bo to właśnie bagaż przyjął na siebie cios przeciwnika. Bo wilkot nie dał się zaskoczyć, a przynajmniej nie do końca i kopnął lecącego ku jego nogom przeciwnika. Tyle że chłopiec rzucił się ku niemu plecami. Zamierzał ciąć do tyłu, kiedy wilkot albo się przewróci, albo do przodu, jeśli nad nim przeskoczy.

Chłopiec poczuł szarpnięcie, jednak poleciał dalej, bo przeciwnik w porę oderwał się od ziemi, żeby przepuścić śmiałka i tylko lekko go zawadził. Evah ciął błyskawicznie, sięgając jak najdalej za siebie.

Poczuł opór, zaraz potem rozległo się potępięcze wycie. Ale wilkot był o wiele twardszy od byle zbója. Natychmiast odwrócił się w stronę wstającego pośpiesznie chłopca. Nie zwracał uwagi na krew spływającą z głębokiej rany w prawej łapie. Ból zdawał się go tylko rozjuszać.

Evah zrozumiał, że jeśli nie zdarzy się jakiś cud, to będzie koniec. Zerknął w bok, ale Jakub z Grzywą byli zajęci walką z kilkoma wilkotami naraz. Kat nie miał możliwości przyjść w sukurs chłopcu, uwijał się jak w ukropie, jego miecz śmigał i pozbawiał napastników życia.

Wilkot przypadł do ziemi, wbił przednie łapy w trawę, żeby wykonać skok. Zraniona noga musiała ograniczać mu ruchy, zapewne czuł też, że jeśli będzie zwlekał zbyt długo, osłabnie.

Nagle stwór spiął się w sobie, wyprostował gwałtownie i w stronę Evaha poleciał kłęb mięśni, pazurów i zębów. Syn myśliwego machinalnie odskoczył, odbiegł dwa kroki. A wilkot wylądował dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się

chłopiec. Zwierz ryknął wściekle, wyprostował się i już miał ruszyć na Evaha znajdującego się prawie w zasięgu łap, kiedy naraz znieruchomiał.

Evah zobaczył ze zdziwieniem, że z kudłatej piersi wystaje coś cienkiego i połyskującego. Wilkot znów ryknął, a potem zaczął bić łapami, próbując sięgnąć do tyłu. Zaparł się, ale raniona noga załamała się pod nim, więc tylko obrócił się bezwładnie. Wtedy Evah ze zdumieniem zobaczył Mavarena. Księżę stał za potworem i oburącz trzymał rękojeść swojego dziwnego miecza. Z trudem unikał łap potwora, przysiadł, przesuwał się, lecz nie przestawał pchać z całej siły.

– Dalej! – wyrzęził, rzucając chłopcu nagłące spojrzenie. – Długo tak nie wytrzymam...

Evahowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wprawdzie nie bardzo mógł się zbliżyć do szalejącego wilkota, bo jego miecz był zbyt krótki, ale skoczył po łuk i podjął z ziemi jedną ze strzał, które wysypały się z kołczanu podczas walki.

Okrążył zmagających się w nierównym starciu człowieka i potwora, póki nie stanął naprzeciwko bestii. Na jego widok wilkot spróbował się uwolnić, szarpnął do przodu, ale Mavaren nie dał się zaskoczyć, postąpił za nim, ograniczając mu ruchy.

Wtedy Evah strzelił. Z pięciu kroków nie mógł chybić. I nie chybił. Strzała wbiła się w otwartą paszczę, grot wyszedł potworowi z tyłu łba. Wilkot upadł na bok, pociągając za sobą Mavarena.

Chłopiec spojrział w stronę Jakuba i Grzywy, ale tam było już po wszystkim. Kat wycierał miecz o cielsko jednego z wilkotów, Kellan wbił ostrze w ziemię, żeby je oczyścić, a potem starannie wytarł o spodnie.

Evah przeniósł wzrok na duży głaz. Siedząca na szczycie rudowłosa dziewczyna przyglądała się wędrowcom szeroko otwartymi oczami.



Było już późne popołudnie i stało się jasne, że przyjdzie im nocować w Lasach Kerenu. Mavaren skrzywił się na samą wzmiankę, narzekał, że stracili mnóstwo czasu, ratując jakąś pyskątą dziewczuchę, aż Evah wreszcie na niego fuknął:

– Przestań, wasza wysokość! I tak byśmy nie dali rady dotrzeć do krańca tej przeklętej puszczy! Trzeba znaleźć dobre miejsce na postój, a nie narzekać.

Ale w jednym przyznawał Mavarenowi rację – dziewczyna rzeczywiście okazała się nad wyraz pyskata. Na początek uparła się, że sama zejdzie z wysokiego kamienia.

– Skoro się wdrapałam, to i się zdrapię! – oznajmiła.

Lecz w drugą stronę droga nie była taka łatwa. Grzywa zaproponował, żeby skoczyła, a oni ją złapią.

– Sam skacz, jak z ciebie taki konik polny! – syknęła. – Złapiecie mnie albo nie, ale to nie

ciebie będzie bolało.

Wreszcie dała się przekonać, żeby zsunąć się po zaokrąglonej powierzchni na samej górze i oprzeć się stopami o ramiona Jakuba i Mavarena.

– Tylko mi się nie gacie w górę! – ostrzegła. – Nieładnie zaglądać dziewczętom pod spódnice!

Jakub tylko uniósł brew i lekko pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem, ale Mavaren nie potrafił darować sobie złośliwej uwagi o chuderlawych nogach podlotków. Zasłużył tym na gniew i dozgonną nienawiść dziewczyny. Czego nie omieszkała mu zresztą oznajmić.

Wreszcie znalazła się na dole, otrzepała i poprawiła ubranie. Spojrzała na głaz.

– Jak ja tam wlażłam? – zastanowiła się głośno.

– Strach dodaje skrzydeł – rzucił Mavaren i zasłużył na następną porcję niechęci.

– Ja się nie bałam! Uciekałam, ale się nie bałam!

– Mnie bardziej zastanawia, co tutaj robisz, dziecko – powiedział Jakub.

– Dziecko, dziecko?! – zaperzyła się dziewczyna i odwróciła do kata, ale zaraz zamilkła, kiedy spojrzała mu prosto w oczy. – Tak... więc...

Wydawała się zbita z tropu, a Evah z miejsca pomyślał, że to chyba niezbyt częste zjawisko, jeśli chodzi o tę pannę. Tymczasem dziewczyna coś dukwała o tym, że zgubiła się swoim opiekunom w drodze.

– Jechaliśmy w takiej mgle, że kiedy zsiadłam z wozu i odeszłam na chwilę w bok, nie mogłam ich już odnaleźć. To poszłam prosto przed siebie. Ale musiałam zmylić drogę i znalazłam się w tym lesie. A potem zaczęły mnie gonić te stwory...

– Skończ – uciął Jakub. – Jak będziesz gotowa powiedzieć prawdę, wtedy chętnie posłuchamy. Na razie trzeba...

– Mówisz, że kłamie?! – zaperzyła się dziewczyna. Tym razem surowe spojrzenie kata nie mogło jej powstrzymać. – Jakim prawem zarzucasz mi łgarstwo?!

– Takim, że twoja opowieść nie trzyma się kupy – odezwał się z boku Mavaren. – Znalazłaś się w Lasach Kerenu w zupełnie innych okolicznościach. Nie wiem jakich, ale na pewno zupełnie różnych od tego, co nam próbujesz wmówić.

– A ty się nie odzywaj! – zażądała dziewczyna. – Straszny z ciebie arogant! Wielki pan się znalazł, wszechwiedzący...

– Na razie trzeba ruszać i szukać jakiegoś w miarę bezpiecznego miejsca na nocleg – dokończył poprzednie zdanie Jakub.

– A można tu w ogóle znaleźć coś bezpiecznego? – wyraził wątpliwość Evah.

– Dlatego powiedziałem „w miarę” – odparł mistrz katowski. – Tutaj zostać nie możemy.

Evah rozejrzał się. Dopiero teraz mógł zobaczyć, gdzie się znaleźli. Polana była rozległa, prawie okrągła. Pośrodku leżał wielki głaz, a otaczały go kręgi mniejszych kamieni. Dokładnie trzy kręgi. Wyglądało to co najmniej zastanawiająco.

– Kiedyś to było święte miejsce – wyjaśnił Jakub.

– Święte? – zapytał z niedowierzaniem Kellan. – Święte miejsca są w miastach, w wioskach, ale nie w środku lasu, na dodatek przeklętego.

– Ten las nie zawsze był przeklęty, a bywały czasy, kiedy ludzie czcili bogów właśnie w takich miejscach. Głaz pośrodku to świat, a kręgi oznaczają ziemię, czyli nasze życie, sferę dobra i otchłań zła.

Evah zastanowił się, patrząc na koncentryczne kręgi. Jak to możliwe, żeby miały takie znaczenie? Spojrzał pytająco na Jakuba, a ten domyślił się wątpliwości chłopca.

– Są tacy, którzy twierdzą, że te światy nie istnieją każdy osobno, ale się przenikają. Można żyć jednocześnie na ziemi i odwiedzać krainy dobra oraz zła. Można przebywać w każdej z nich jednocześnie. Zaczynasz rozumieć?

Chłopiec zmarszczył czoło. Cóż za dziwne wierzenia! Jakże można żyć na ziemi i gdzie indziej w tym samym czasie?

– Rozumiem tyle, że to musiała być zupełnie inna wiara niż nasza – rzekł z namysłem.

– To prawda – potwierdził Jakub. – Ludzie nie zawsze czcili bogów, Przodków, Przedwiecznych i Stworzyciela w taki sposób, jak czynią to teraz. Jednak...

– Jednak powinniśmy ruszać – napomniał go Mavaren. – Sam przed chwilą się o to piekliłeś... mistrzu.

Dziewczyna spojrzała bystro.

– Mistrzu? – powtórzyła. – Kim jesteś? W czym osiągnąłeś mistrzostwo? Walczysz wprawnie i widać po tobie doświadczenie. Jesteś mistrzem miecza?

– Nie czas na wyjaśnienia – odparł Jakub. – Księżę ma rację. Trzeba iść.

– Księżę?! – Zdumienie dziewczyny sięgnęło szczytu. – Ten tutaj jest księciem? I taki źle wychowany? Nie potrafi uszanować damy?

– Damy potrafię – burknął rozdrażniony nie na żarty Mavaren. – Ale tobie daleko do kobiet godnych czci, dziewucho! Maniery masz jak córka karczmarza albo raczej zwykłego nosiwody...

Mówiłby jeszcze dalej, ale Evah położył mu rękę na ramieniu.

– Ruszamy.

Popatrzył na leżące dookoła ciała zabitych wilkotów. Pewnie stworzenia miały jakąś swoją inną nazwę. Może Jakub będzie wiedział jaką? Ale na rozmowy przyjdzie czas później.

Mavaren pokiwał głową, demonstracyjnie odwrócił się do dziewczyny plecami. A potem wrócili na ścieżkę, żeby podjąć wędrówkę przez straszny las. Teraz prowadził Jakub. Rozglądał się bacznie, jakby czegoś szukał. Chłopcy wymieniali co jakiś czas zaniepokojone spojrzenia. Wszystko dookoła zdawało się groźne, w każdej chwili z gęstwiny mógł wyskoczyć jakiś stwór. A kat wydawał się czegoś wypatrywać, zupełnie jakby wiedział, że to znajdzie.

Zatrzymał się wreszcie i wskazał w prawo.

– Jest – powiedział. – Tutaj się zatrzymamy.

Evah z początku nie wiedział, o co mężczyźni chodzi. Dopiero po chwili dostrzegł pośród drzew coś dziwnego. Też drzewo, ale zupełnie inne niż otaczające je strzeliste pnie. To płożyło się nisko, jego gałęzie lawirowały między wysokimi braćmi, niektórych otaczały ciasnymi pętlami, jakby chciał się ich przytrzymać. Może tak zresztą było, bo pień dziwnego drzewa wcale nie był taki okazały, niewiele grubszy od innych, a przecież mając tyle konarów, musiało być cięższe od zwyczajnych drzew.

– Co to jest? – spytał Evah.

– Gdzie niby mamy się zatrzymać? – zapytał w tej samej chwili Mavaren.

– To jest sosna bluszczowa – Jakub odpowiedział najpierw chłopcu. – Występuje rzadko i tylko w Lasach Kerenu oraz daleko na północy. Inne drzewa starają się ją zadusić, zanim wyrośnie, tworząc nad nią kopułę cienia, otaczając własnym potomstwem, ale czasem pasożytowi udaje się rozwinąć. Tak jak temu tutaj. Na nasze szczęście.

– Mamy pod tym nocować? – znów zapytał Mavaren.

– Nie pod tym. Na tym – odparł Jakub.

– A jeśli trafimy na jakichś lokatorów? – zatroskał się Evah. – Takie wilkoty na pewno sprawnie się wdrapują.

– Wil... co? – Jakub spojrzał na chłopca, zaskoczony.

– Wilkoty. Tak nazwałem stworzenia, z którymi walczyliśmy na polanie.

Kat się uśmiechnął.

– Trafna nazwa.

– A jak się naprawdę nazywają?

– Kostrzygi. Boją się ich nie tylko ludzie, ale też inne zwierzęta. Polują w stadach. Dobrze, że trafiliśmy na dość niedużą watahę. Mają pazury i zęby przywodzące na myśl potwory zwane strzygami, ale ponieważ mają również kocie ciało, tak to zlepieno w jedną nazwę. Ale wilkoty bardziej mi się podobają.

– Będziemy gadać czy coś zrobimy? – zniecierpliwiła się dziewczyna.

– Trzeba nazbierać gałęzi. Najlepiej jak najbardziej nasączonych żywicą. To nie będzie przyjemna noc.

– Chcesz palić na tym czymś ognisko? – zdziwił się Kellan.

– Skądże znowu. – Jakub potrząsnął głową. – Sosna bluszczowa posiada zdolność poruszania się. Zazwyczaj jest bardzo powolna, ale jeśli poczuje żywy ogień na korze, strząśnie nas w jednej chwili.

– To po co zbieramy opał?

– Zobaczysz. Na razie bierz się do szukania odpowiednich gałęzi.

Rozdział 10

Spadek po Przodkach



Siedzieli na płaskiej platformie, którą tworzyły rozchodzące się w tym miejscu konary sosny bluszczowej. Każdy trzymał w dłoni zapaloną gałąź niczym pochodnię. Jakub zapewnił, że nic groźnego w pobliżu nie mieszka i żaden drapieżnik nie będzie się do nich próbował dostać.

– Ta roślina jest trująca. Gdyby kostrzyg wbił w nią pazury, wypłynie żywica i potwór się dotkliwie poparzy. Możemy natknąć się tu jedynie na węże, ale w to również wątpię. Sosna bluszczowa to paskudna roślina. Zresztą, sami się przekonacie.

Wzniósł wyżej pochodnię, a wtedy Evah dostrzegł ruch. Nie miał pojęcia, że nad ich głowami zawisły liczne macki, które teraz niechętnie się cofnęły. Zadrżał na ten widok.

Mavaren skrzywił się z niesmakiem.

– Tak, słyszałem, że są drapieżne rośliny, ale nigdy bym nie przypuszczał, że będę na takiej siedział. Co to za macki?

– Wypustki sosny – wyjaśnił kat. – To dlatego nic nie mieszka na stałe na konarach. Nocą zaczynają polowanie, a boją się tylko ognia. Gdybyśmy weszli tu bez niego, już by na nas spłynęły i próbowały oplatać.

– I dusić? – spytała nieco drżącym głosem dziewczyna. Wiedzieli już, że ma na imię Rovilla.

– Gorzej – mruknął Mavaren. – Kiedyś o tym słyszałem. To obrzydlistwo potrafi uwięzić

człowieka i trawić go bardzo powoli. Straszna śmierć.

– Zgadza się – rzekł Jakub. – Agonia trwa całymi tygodniami. Macki wciągają ofiarę do wnętrza sosny. Wyżej w jej konarach zieją duże pęknięcia, w których zmieści się nawet cały człowiek. W jakiś sposób roślina bardzo długo utrzymuje ofiarę przy życiu, żeby mieć świeże pożywienie.

Evaha przeszedł dreszcz.

– I to ma być bezpieczne miejsce? – spytał z drwiną Kellan. Głos drżał mu lekko, ale zauważalnie.

– Bezpieczniejsze niż noc na dole. – Mistrz wzruszył ramionami. – Wprawdzie się nie wyśpicie, bo co najmniej troje musi czuwać, żeby dwoje się zdrzemnęło, ale przeżyjemy.

– Chyba – dodał zjadliwie Mavaren.

– Chyba – zgodził się kat.

Evah starał się nie myśleć o wiszących nad nimi upiornych pędach.

– Dzięki bogom i Przedwiecznym, że jesteś z nami – powiedział do Jakuba. – Bez ciebie byśmy sobie nie poradzi. Ani teraz, ani na polanie. Ile zabiłeś tych bestii? Sześć? Siedem?

– Osiem – uściślił Grzywa. – Ale ja pomogłem – dodał z dumą, a potem westchnął ciężko.

– Tyle że beze mnie mistrz też by sobie poradził.

– Lecz na pewno nie wyszedłbym z tego bez szwanku – odparł z powagą Jakub. – Dzielnie się spisałeś. A co byście zrobili beze mnie... – Spojrzał na Evaha. – Beze mnie nie weszlibyście po prostu do tego lasu.

Kellan zaśmiał się gorzko, wszyscy spojrzeli na niego.

– Co też opowiadasz, mistrzu... Weszlibyśmy. A on to już obowiązkowo. – Wskazał ruchem głowy przyjaciela. – I na pewno znalazłby na tę okazję jakieś głupio-mądre przysłowie. Taki już jest. Jeśli można się wpakować w kłopoty, Evah syn Krunnaha na pewno się w nie wpakuje. Los mnie pokarał jego kompanią...

– To dlaczego z nim chodzisz? – spytała dziewczyna. – Przecież nie musisz.

– Też się czasem nad tym zastanawiam – odparł Kellan. – I nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Chyba po prostu nie mam wyjścia. Muszę go pilnować, bo inaczej wtykałby nos w cudze sprawy częściej, niż to robi, kiedy się ma na niego oko.

Evah otworzył usta, żeby odpowiedzieć kpina na kpinę, ale poczuł na ramieniu dłoń. Spojrzał w bok. Mavaren pokręcił lekko głową i mrugnął porozumiewawczo.

– Pozwól mu się puszyć – szepnął ledwie dosłyszalnie. – Widać dziewczyna mu się spodobała.

To mogła być prawda. Więcej – to była prawda. Wprawdzie siedząca na kamieniu Rovilla wyglądała dość żałośnie, ale kiedy zeszła, okazało się, że jest całkiem urodziwa, mimo pobrudzonej twarzy i zadrapań. No i była dość wysoka, prawie taka jak Kellan, czyli pół głowy wyższa od Evaha. Właściwie tylko Jakub wyraźnie górował nad nią wzrostem, ale on przecież zaliczał się do postawnych mężczyzn.

Evah zastanawiał się przez cały czas, skąd dziewczyna wzięła się w środku lasu, w dodatku zupełnie sama. Co tu w ogóle robiła? Zgadzał się z dorosłymi mężczyznami, że opowieść o podróży wozem i mgłę była zupełnie niewiarygodna. Ale, z drugiej strony, może właśnie tak idiotyczna historia naprawdę mogła się przydarzyć? Prawda czasem bywa zaskakująca.

– Nie wygląda na szalonego wojownika – powiedziała dziewczyna, przyglądając się krytycznie Evahowi. Przeniosła wzrok na Jakuba. – Ale on też raczej nie wygląda na tego, kim jest.

Evah już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz ubiegł go mistrz katowski.

– Jesteś bystra, młoda panno, jednak nie zwabisz starego wilka w tak nieporadnie zbudowaną pułapkę. Nie twoja rzecz, kim jestem. Ale za to mnie się zdaje, że skądś cię znam. Kogoś mi przypominasz.

Evah już wcześniej zauważył, że kat uważnie przyglądał się dziewczynie. Jeszcze pod głazem. Potem zupełnie wyleciało mu to z głowy, a teraz przypomniał sobie tamtą scenę.

– Na pewno mnie nie znasz – prychnęła Rovilla. – Nie mam znajomków w kręgach obieżyświatów i włóczęgów.

– I mówi coś podobnego panienka, którą zdjęliśmy ze skały pośrodku dzikiego lasu – wszedł jej gładko w słowo Mavaren. Uniósł pochodnię, żeby spłoszyć jakąś nazbyt natrętną odrośl sosny bluszczowej.

Evah spodziewał się, że dziewczyna znów się odszczeknie, ale milczała. Kellan, chcąc przerwać nieco krępującą ciszę i pomóc dziewczynie, powiedział:

– Ciekawe, skąd wzięły się te przeklęte lasy i bestie. Podróżowałem całkiem sporo, choć nigdy tak daleko na północny zachód, i nigdy nic podobnego nie widziałem.

– Po prostu są. – Mavaren wzruszył ramionami. – Powiadają, że tych terenów dotknęła jakaś zła magia, dlatego tak się porobiło z roślinami i zwierzętami. Podobno nawet ludzie pozmieniali się tutaj w potwory.

Znów zapadła cisza. Grzywa ponownie chciał coś powiedzieć, ale wtedy rozległ się głęboki, spokojny głos Jakuba.

– Powiadają też inaczej. Że to dzieło Przodków. Dziedzictwo ich braku rozsądku.

– Uważaj! – syknął książę. – Niebezpiecznie o tym mówić.

Był tak wzburzony, że nie dorzucił swojego pogardliwego „mistrzu”.

– Niebezpiecznie – zgodził się kat. – Poczytuje się to wręcz za herezję, a w niektórych krajach za przestępstwo. Naszego przyjaciela Szatriego wyrzucono z zakonu również za głoszenie takich rzeczy. A jednak twój brat go przygarnął.

– Leonor to dziwak – burknął Mavaren. – Nie takich wyrzutków jak pustelnik potrafi gościć w zamku, byle tylko mógł z nimi porozmawiać o tym, co go ciekawi.

– Leonor to mądry człowiek – powiedział stanowczo Jakub. – I wie, że aby dojść do prawdy, trzeba korzystać z wielu źródeł. I nader często dowiedzieć się wówczas o sprawach,

które wcale nie muszą się podobać.

– Opowiesz nam tę herezję? – zapytał Evah.

– Opowiem. Nie krzyw się, wasza wysokość. Lepiej, żeby jak najwięcej wiedzieli już teraz, skoro podążają w miejsce jeszcze bardziej niebezpieczne niż Lasy Kerenu. – Zamilkł na chwilę, żeby zebrać myśli, a potem ciągnął: – Wszyscy zgodni są co do tego, że Przodkowie osiągnęli wielką potęgę. Niesłychaną, której żyjący teraz na tym świecie nie są sobie w stanie wyobrazić. Tak wielką, że musiała się wreszcie zawalić pod własnym ciężarem. Niektórzy utrzymują, że narazili się na gniew Przedwiecznych, bo pragnęli osiągnąć ich moc i czynić sobie poddanymi nie tylko otaczający ich świat, ale też sięgnąć ku gwiazdom, a także okiełznać czas.

– I tu już wkraczamy na grunt herezji – stwierdził Mavaren. – Wszyscy powinniście zatkać uszy, bo za samo słuchanie tego można zostać postawionym przed trybunał.

– To zatkaż i nie słuchaj, wasza wysokość! – warknął Grzywa. – Ja tam jestem ciekaw. A przed trybunał kiedyś i tak trafię...

Zamilkł i rzucił zaniepokojone spojrzenie na Rovillę. Przecież dziewczyna jeszcze nie wiedziała, że ma do czynienia ze złodziejem. Wprawdzie byłym – a przynajmniej byłym w tej chwili – ale zawsze. Lecz ona nie zwracała uwagi na Kellana. Pochyliła się naprzód z pochodnią, żeby lepiej widzieć mistrza małodobrego.

– Sąd grozi za przekazywanie, nie za samo słuchanie – sprostował Jakub. – Cesarskie prawa są surowe i czasem wręcz okrutne, ale zazwyczaj bardzo jasne. A zatem przestępstwo popełniam tylko ja jeden.

Spojrzał na pochodnię. Nasycona żywicą gałąź płonęła równo, lecz niebawem powinna zostać zastąpiona nową.

– Przysuńcie się bliżej – rozkazał. – Wtedy wystarczą tylko trzy.

Posłusznie spełnili polecenie. Miejsca było sporo, więc każdy odruchowo zajął jak najwygodniejsze. Ale czekała ich cała noc, musieli oszczędzać gałęzie, których nie znaleźli przecież zbyt wiele. Najlepsze były te, które przynieśli Evah i sam Jakub. Widać było od razu, że tylko oni dwaj mają pojęcie o życiu w głębi puszczy.

– Opowiadaj, mistrzu – poprosił Kellan. – Jak jest z tym lasem?

Jakub zaczął opowieść. Nie była długa, za to bardzo niepokojąca. A chwilami nawet straszna.



Druga warta z pochodnią wypadła Evahowi dobrze po północy. Pełnił straż razem z Mavarenem i katem. Pozostała dwójka spała.

Siedzieli i nie odzywali się do siebie. Chłopiec dosłownie czuł zwisające nad głową

macki. Dobrze, że tylko tak potrafiły atakować ofiary – z góry. Ich możliwości innego ruchu były bardzo ograniczone. Poza tym wyrastały jedynie z górnych partii rośliny, pewnie prosto z tych szczelin, do których wciągały ofiary. Oczywiście opuszczały się dookoła nich aż nad samą ziemię, ale krąg światła skutecznie je odstraszał. Widocznie nie cierpiały ani blasku ognia, ani światła dnia.

Evah rozpalił nową pochodnię, spojrzął z troską na znacznie uszczuplony zapas drewna. Dobrze, że do rana nie zostało zbyt wiele czasu, bo znaleźliby się w tarapatkach. Usiadł wygodniej, zadbał, żeby płomień oświetlał głowę Kellana. On i dziewczyna spali pośrodku, blisko siebie, prawie przytuleni. W pewnej chwili Rovilla otworzyła oczy, spojrzała na Grzywę i westchnęła, a potem odsunęła się od niego, ale niewiele. To nie był czas na dworskie konwenanse i światowe uprzejmości. Uciekali przed niebezpieczeństwem czyhającym na ziemi, ale przecież otaczało ich teraz inne, wiszące w powietrzu.

Od czasu do czasu słyhać było przebiegające zwierzęta czy raczej tutejsze stwory. Ich kroki były raz lekkie i ciche, innym razem ciężkie i donośne. Kilka razy rozległo się wycie, mrozące krew w żyłach, doleciał też rozpaczliwy ryk, kiedy jakiś drapieznik dopadł ofiary. Ale pod nimi było cicho. Mieszkańcy Lasów Kerenu wiedzieli doskonale, że niebezpiecznie jest zapuszczać się nocą pod sosnę bluszczową. Chciwe macki rośliny zwisały tak gęsto, że nawet tak nieruchawe mogły uwięzić nieostrożne stworzenie. Jak to możliwe, że powstała taka groźna roślina? Czy naprawdę to sprawka Przodków? Nieświadoma wprawdzie, niechciana, ale właśnie ich?

Do tej pory myślał o Przodkach trochę podobnie jak o Przedwiecznych – że jeśli nawet kiedyś żyli, to było to tak dawno, by można ich istnienie przyjąć wręcz za baśń. Tymczasem mistrz małodobry mówił o rzeczach, które podobno wydarzyły się naprawdę.

– Kiedyś Lasy Kerenu były zwyczajną puszcza, porośniętą najpospolitszymi drzewami, pod którymi rosły najpospolitsze krzewy, paprocie, a leśne ścieżki wydeptywały zwykłe zwierzęta. Przodkowie zaś rośli w potęgę, podbijali świat i wznosili miasta na podobieństwo tych, które tworzyli Przedwieczni. A przynajmniej Przodkom wydawało się, że tak właśnie wyglądały tamte budowle, bo znali je tylko z nielicznych pozostałości, zupełnych ruin i podniszczonych rysunków.

– A jaka jest prawda? – spytał Evah.

– To nieistotne i tego nikt nie wie. Najważniejsze, że Przodkowie uważali, że zaczynają osiągać potęgę, jaką mieli podobno Przedwieczni. W swojej pysze zapominali jednak, że ich poprzednicy postępowali zupełnie inaczej niż oni. I dążyli do zupełnie czegoś innego. Ich potęga wiedzy miała prowadzić do duchowej doskonałości. A dla Przodków sama wiedza stanowiła doskonałość. To wielka różnica.

– I co, Przedwieczni postanowili ich ukarać? Zesłali na nich nieszczęścia?

Jakub spojrzął na Kellana, który wpatrywał się w niego wielkimi oczami.

– Tak właśnie postąpiliby ludzie – rzekł kat. – Ale nie można sądzić Przedwiecznych

wedle ludzkich wad. Jeśli coś uczynili, to po prostu siedzieli beczynnie. O ile oczywiście w ogóle patrzyli na poczynania Przodków.

– No to powiedziałaś teraz... mistrzu – prychnął Mavaren. – Uczynili coś, bo nic nie zrobili. Chyba sam rozumiesz, jakie to głupie?

Jakub zapatrzył się na niego przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Gdyby w tej chwili spadły na ciebie pędy sosny i zaczęły się wić wokół twojego ciała, a ja bym siedział bez ruchu i patrzył, to miałyby to jakiś skutek czy nie? Milczysz? Dociera do ciebie, że nie wszystko, co wydaje ci się głupie od razu, takie jest? Nic nie robiąc, przyczyniłbym się do twojej śmierci.

Mavaren zrobił kwaśną minę.

– Sam początek tej historii to już jest okropna herezja – zauważył. – Wiadomo przecież, że to Przedwieczni stworzyli i urządzili ten świat takim, jakim jest. Zanim odeszli i zesłali bogów, aby strzegli ich dzieła, musieli mieć pewność, że świat przetrwa taki, jakiego zapragnęli.

– Jesteś tego pewien? – Jakub pokręcił głową. – Zatem po co by powołano do działania bogów, gdyby Przedwieczni wykonali dzieło doskonałe? Najwyraźniej coś im się nie udało i porzucili je, odeszli i nie wracali więcej. A przynajmniej nic o tym nie wiadomo. Ale to są rozważania dobre dla filozofów i teologów. Ja opowiadam, jak doszło do tego, że powstały takie miejsca, jak Lasy Kerenu.

Evah chłonał każde słowo, jakie padało z ust zarówno kata, jak i Mavarena. Dla niego do tej pory podobna wiedza była niedostępna. Widział zresztą, że Kellan również jest wstrząśnięty, nawet Rovilla słuchała bez ruchu, choć starała się robić znudzoną minę.

– Jak już powiedziałem, Przodkowie naprawdę osiągnęli wielką potęgę – mówił dalej kat. – Tak wielką, że wbili się w pychę, zdawało im się, jakoby mieli możliwość stać się równymi nawet Ojcu Przedwiecznych. Jednak nie było wśród nich zgody, nie umieli się ze sobą porozumieć i skorzystać wspólnie z owoców swojej pracy. I tym się różnili od Przedwiecznych, którzy działali zgodnie, a przynajmniej to o nich wiemy. Tym się różnili także od bogów, którzy nawet jeśli się nie lubią, to nie czynią sobie nawzajem większych wstrętów. Tak przynajmniej wygląda to w opowieściach, bo o bogach wiem niewiele i wcale nie potrzebuję więcej.

– A może w ogóle nie wierzysz, że istnieją? – spytał podejrzliwie ksiązę. – Są tacy, którzy zaprzeczają ich obecności.

Jakub znów obdarzył rozmówcę długim spojrzeniem.

– Moja opinia jest nieistotna. Ale skoro ludzie ich potrzebują, muszą istnieć, bo inaczej nikt by się do nich nie modlił, nie składał im ofiar, nie prosił o wstawiennictwo. Inna rzecz, gdzie przebywają i w jaki sposób wpływają na ludzkie życie. Tylko że to znowu rozważania nie dla nas, a dla mędrców.

– Już wiem, dlaczego mój brat cię ceni – mruknął Mavaren. – Jesteś takim samym

niedowiarkiem, jak on.

– To dla mnie komplement. – Kat uśmiechnął się lekko. – Ale wróćmy do właściwej opowieści. Musiała wreszcie wybuchnąć wojna. Przodkowie osiągnęli wielką wiedzę, ale nie potrafili nad nią w pełni panować. Dlatego kiedy zaczęli walczyć, miało to straszne skutki. Posłużyli się bronią, która niszczyła nie tylko wroga, ale też tego, kto jej używał.

Zamilkł na chwilę, odpalił następną pochodnię i czekał, aż płomień nabierze mocy, zanim rzucił na dół zużytą.

– To są tylko legendy – rzekł Mavaren. – Złe legendy. Wiadomo przecież, że Przodkowie odeszli tak samo, jak przedtem Przedwieczni. I nie pozostał po nich ślad!

– A tamta polana pośrodku lasu? – spytał Kellan. – Czy to nie jest ślad?

– Głaz i parę kręgów – zaśmiał się Mavaren. – Chłopcze, Przodkowie zbudowaliby świątynię, a nie kładli kamienie w trawę.

– Nieważne, kto to zrobił – rzekł Jakub. – Ale skoro zrobił, na pewno później przychodził w takie miejsce, prawda? To znaczy, że kiedyś ten las był zwyczajny. Tylko tyle. A stał się taki, jaki jest, właśnie po wojnach Przodków. To, czego użyli przeciwko sobie, sprawiło, że na niektóre miejsca spłynęło coś, co można rzeczywiście nazwać przekleństwem. Straszliwa broń miała straszliwe działanie. Nie tylko niszczyła, ale też zmieniała naturę w miejscach, w których cokolwiek przeżyło. I Lasy Kerenu zostały dotknięte tym przekleństwem. Zwyczajne drzewa zastąpiły te olbrzymy, które nas otaczają, a o zwierzynie nie trzeba opowiadać. Sami widzieliście. Tyle tylko dobrego, że bestie nie opuszczają lasów. Poza nimi giną, szybko słabną, zupełnie jakby źródło ich mocy zostało zaklęte tutaj.

– Zaklęte? – podchwycił Kellan. – To jednak sprawa czarów?

– Czarów? – zamyślił się Jakub. – Chodzi o to, co wsączyło się w tutejszą ziemię, co żyje w wielkich pniach, co sprawia, że ta czy tamta zwykła sosna zbratała się z bluszczem i stworzyła potwora, na którym spędzamy noc, wilki pokrzyżowały się ze żbikami i rysiami, powstały takie stwory, jak kalaczungi, kiedy niedźwiedzie wzięły niezwykłą zajadłość od rosomaków, albo może rosomaki siłę od niedźwiedzi, bo trudno orzec, co się z czego wylęгло. Czy tę moc można porównać z czarami? Chyba tak, bo jest równie niezrozumiała. Tyle że w opowieściach czary można odczynić, a nikt nie potrafi zdjąć zaklęcia z Lasów Kerenu.

Zapanowało milczenie. Słyszeć było tylko, jak skwierczą płonące gałęzie, jak wiatr przelatuje gdzieś po czubkach koron niebotycznych drzew. Wokół panował bezruch.

– No to naopowiadałeś herezji – mruknął wreszcie Mavaren. – Zatrueś umysły naszych młodych towarzyszy kłamstwami wymyślanymi przez różnych buntowników i wariatów. Wiesz, że nigdy nie powinni się o takich rzeczach dowiadywać?

– Jeśli to zupełna nieprawda, dlaczego zakazuje się przekazywania tych opowieści zwykłym ludziom? – zapytał Jakub. – Czemu pozostają w kręgach naukowców, rozmaitych filozofów i mędrców, którzy poświęcają życie zgłębianiu związanych z Przodkami tajemnic?

A jeśli jakieś odpryski tej historii przenikną do ludu, są wypieniane z całą zajadłością? Albo zamienia się je w zwykłe bajki, żeby zatrzeć ich prawdziwą istotę? Kłamstwo powinno umrzeć samo.

Mavaren wzruszył ramionami.

– Po co komu taka wiedza? Kto potrzebuje takich opowieści? Przecież w większości nawet hrabiowie i książęta nie mają o nich pojęcia.

– Ty jakieś jednak masz, wasza wysokość – zauważył Evah.

– Bo mój brat jest zwariowany na punkcie wiedzy! Nieraz zapraszał na wieczerzę pustelnika i rozprawiali o takich rzeczach, że włosy mi stawały dęba na głowie. To, co opowiedział nasz mistrz, też słyszałem, chociaż brzmiało odrobinę inaczej.

Evah drgnął, kiedy ktoś go trącił w ramię.

– Moja kolej – mruknął Kellan. – Kładź się, jeszcze nieco pośpisz przed świtem.

Syn myśliwego ze zdumieniem spostrzegł, że czas jego warty upłynął niesłychanie szybko. Spojrzał na Rovillę, która przejęła pochodnię od Mavarena, a potem na Jakuba. Kat nie zamierzał odpoczywać. Siedział całą noc, zupełnie jakby sen się go nie miał. Może zresztą tak było?

Chłopiec umościł się jak mógł najwygodniej obok szczupłego Mavarena i zamknął oczy. Nie mógł jednak zasnąć, bo pod powiekami pojawiały się to obrazy ostatniego dnia, to coś nieokreślonego, ale groźnego, zupełnie jakby ogarniała go jakaś mgła – lecz nie opar, jaki unosi się nad łąkami czy wodą, tylko bura, z ciemnymi pasmami, w dodatku mógłby przysiąc, że czuje woń spalenizny i czegoś jeszcze – cuchnącego, nieokreślonego. Ten zapach kojarzył się ze starym cmentarzyskiem, na którym sroga wichura zwała drzewa i wyrwała z ziemi kości zmarłych. Evah nic takiego nigdy nie widział, lecz nie potrafił się opędzić od nieprzyjemnych myśli.

Otworzył oczy, spojrzał na Jakuba. Kat siedział bez ruchu, pochodnię trzymał nad głową, a szkliste w jej blasku oczy wpatrywały się gdzieś w dal. Evah widział, że wargi mistrza poruszają się ledwie zauważalnie, zupełnie jakby mówił do kogoś bardzo cicho. Kim był ten człowiek? Naprawdę katem? Wydawał się raczej doświadczonego mędrca, choć brakowało mu siwych włosów i zmarszczek. Wyglądał na rówieśnika Mavarena, a może nawet nieco młodszego. Chłopiec zupełnie nie wiedział, dlaczego tak mu się wydaje, ale gdyby ktoś powiedział, że Jakub jest o wiele starszy, wcale by się bardzo nie zdziwił.

Przeniósł wzrok na Kellana. Ten wpatrywał się z natężeniem w twarz Rovilli, a ona z kolei również obserwowała małodobrego ze zmrużonymi oczami i zmarszczonym czołem. Czyżby dostrzegała w mężczyźnie coś więcej, podobnie jak Evah?

Najwyraźniej poczuła jego spojrzenie, bo szybko odwróciła głowę, a chłopiec zamknął oczy.

Rozdział 11

Granica Malbarii



Zbudziło go mocne szturchnięcie. Otworzył oczy, od razu całkowicie przytomny. Kiedyś budził się długo i niechętnie, matka musiała kilka razy przypominać mu, że trzeba wstać. Chyba że miał iść z ojcem na polowanie, wtedy zbierał się szybciej, choć resztki snu lepiły się do niego jeszcze dość długo.

Ale podczas wędrówki nauczył się budzić na zawołanie. Zbyt wiele niebezpieczeństw mogło czyhać dookoła, żeby można było pozwolić sobie na choćby chwilę rozkojarzenia.

Zobaczył Jakuba, który sięgał gdzieś w dół i siłował się z czymś. Trwało to krótką chwilę, w ręku kata zobaczył coś jakby gruby pęd fasoli.

– Nogę miałeś w cieniu – wyjaśnił Jakub. – Nie zauważyłem, bo wierciłeś się przez sen, a ja na chwilę przestałem cię obserwować. To wystarczyło. Macka sosny opuściła się i już zawinęła wokół kostki.

Evah spojrział w dół. Tam, gdzie wypustka sosny bluszczowej dotykała skóry, ciemna skóra cholewki jaśniała, jakby została owinięta kremowo białym sznurkiem.

– Dobrze, że masz solidne buty – powiedział Jakub. – Gdyby to dotknęło gołej skóry, już by napuściło trochę jadu. Przeżyć byś przeżył oczywiście, ale w głowie by ci się kręciło przynajmniej dwa dni.

Evah podkulił nogi. Grzywa i Rovilla patrzyli na niego wielkimi oczami. Było jeszcze ciemno, chociaż zaczynały się nieśmiało odzywać jakieś ptaki. To znaczyło, że ponad

gęstwiną koron drzew nastaje nowy dzień.

– Swoją drogą, kiedyś macki sosny bluszczowej tak nie robiły – odezwał się po chwili mistrz katowski. – Nie wstrzykiwały od razu trucizny. Roślina staje się coraz bardziej niebezpieczna. Tylko patrzeć, a zaczną polować również za dnia.

– To też przekleństwo Przodków? – spytał Kellan.

– Nie. – Jakub pokręcił głową. – To nie sprawka Przodków. Wszystko, co żyje, musi się rozwijać, uczyć nowych rzeczy. Inaczej nie poradzi sobie w otoczeniu, które się ciągle zmienia.

Evah zupełnie się rozbudził, wziął od Rovilli pochodnię i pokazał jej gestem, żeby się położyła. Dziewczyna kiwnęła głową i legła obok pogrążonego w głębokim śnie Mavarena.

– W rzece niedaleko mojej wioski – powiedział chłopiec – mieszkał wielki szczupak kolczasty. To okropnie głupia ryba i gdyby nie miała jadowitych igieł oraz wielkich zębisk w paszczy, obrobiłby ją chyba byle okoń. I nawet ten szczupak nauczył się po jakimś czasie nie nabierać na tłuste dżdżownice i smakowite kawałki mięsa. Urywał się parę razy, przegryzał linki, w żołądku miał pewnie ze dwa tuziny haczyków. Aż pewnego dnia zupełnie przestał brać. Ojciec go w końcu zabił, i owszem, ale innym sposobem. Przegroził wiklinową plecionką odnogę rzeki, w której rybsko zwykło odpoczywać, a potem nagnał je w wolną przestrzeń z wielkim wiewiórkiem... Tam wziął na hak, a potem zakłuł ościeniem. Nawet z wody nie wyciągał, bo kolczasty szczupak mięso ma gorzkie i niezdrowe.

– A po co go zabijał? – odezwała się niespodziewanie Rovilla, która najwyraźniej przysłuchiwała się rozmowie, zamiast spać. – Każdy chce żyć, nawet głupia ryba.

– Nie masz pojęcia, jaki to szkodnik – odparł Evah. – Najbardziej smakują mu młode rybki, potrafi spustoszyć kawał rzeki. No i tam, gdzie grasuje, niechętnie pojawiają się inne ryby. A poza tym porywał też małe kaczkę i gąski, które matki prowadziły nad wodę. Ojciec był myśliwym, ale nadano mu też obowiązki gajowego, musiał dbać o takie rzeczy.

Przez chwilę panowała cisza. Evah przyglądał się wytrawionemu przez roślinę paskowi na bucie.

– Obawiam się, że to doskonałe porównanie – rzekł w końcu Jakub. – Nawet taka roślina czegoś się uczy, musi zdobywać nowe umiejętności, żeby przetrwać.

– Patrzeć jeno, jak pędy zaczną się poruszać nie tylko w górę i w dół, ale też pełzać niczym węże... – Dziewczyna aż się wzdrygnęła z obrzydzenia i strachu na tę myśl.

– Bardzo możliwe – zgodził się kat. – Może nie dziś czy jutro, lecz z czasem i to może się zdarzyć.

Mavaren usiadł, rozejrzył się nie do końca jeszcze przytomnym, choć już gniewnym spojrzeniem.

– Gadacie, że spać nie można – poskarżył się mrukliwie.

– I tak zaraz będzie pora wstawać – odparł Jakub. – Jak tylko trochę się rozjaśni, trzeba się zbierać. Dobrze by było dotrzeć już dzisiaj do końca tego lasu.

– Dobrze by było – mruknął Kellan. – Bo kto wie, czy następna taka sosna już się nie okaże groźniejsza od naszej.

Jakub zerknął na chłopca.

– Masz rację. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać w takim miejscu.

Rovilla poprawiła spódnicę. Udawała, że nie widzi zachwyconego wzroku Grzywy. Evah musiał przyznać, że dziewczyna poruszała się z niezwykle gracją, każdy jej gest przypominał figurę taneczną, a kasztanowe włosy, spływające krętymi kaskadami na plecy, mogły przyprawić o zawrót głowy, szczególnie kiedy nimi zarzucała i poprawiała je bezwiednie.

– Właściwie dokąd się wybieracie? – spytała.

– Do Malbarii – odparł Evah. – Do samej Sevli.

Dziewczyna drgnęła i skrzywiła się z wyraźną niechęcią.

– Do stolicy? Szkoda – mruknęła.

– Nie po drodze ci z nami? – zdziwił się chłopiec. – Myślałem, że chcesz wrócić do swoich.

– Ale Sevla nie była moim celem.

– To zostawimy cię po drodze u jakichś dobrych ludzi i tam zaczekasz na krewnych – zniecierpliwiał się Mavaren. – Tak by było nawet lepiej.

– Koniecznie musicie iść do Sevli? – spytała gderliwym tonem Rovilla. – Naprawdę nie da się inaczej?

Evah pomyślał, że dziewczyna mogłaby być córką Mavarena. Okazała się tak samo złośliwa i marudna. Ale Grzywa, zapatrzony w nią jak w obrazek, odpowiedział miękkim głosem:

– Właśnie tam zamierzamy rozpytać o dalszą drogę – rzekł. – Szukamy pewnego mnicha...

Syknął i umilkł, kiedy Evah bez ceregieli dał mu kuksańca pod zębra.

– O, widzę, że mamy tu jakieś tajemnice! – zauważyła dziewczyna z krzywym uśmiechem.

– My? A jaśnie panienka to co, słowo prawdy nam powiedziała? – odgryzł się Evah. – Nie twoja rzecz, dokąd zmierzamy i po co.

– A może moja? – Spojrzała na niego ciemnozielonymi oczami i chłopiec poczuł, że robi mu się gorąco. – Kto wie, co komu pisane?

Może i z Rovilli była młoda jędza, ale za to jędza niesamowicie urodziwa. Evah wcale się nie dziwił, że Kellan wodził za nią maślanymi oczami. Nawet Mavaren, wbrew temu, co mówił o jej chuderlawych nogach i jej niestosownie młodym wieku, popatrywał na dziewczynę z zainteresowaniem, choć nie takim, jak Grzywa. Raczej jak ktoś, kto podziwia ładną rzeźbę czy obraz, tylko z daleka i bez cielecego zachwyty. Dziewczyna miała w sobie coś, co przyciągało wzrok. Tylko Jakub zdawał się obojętny na jej urodę. Ale on był tak inny

od ludzi, których Evah poznał do tej pory, że chłopiec nie powinien się dziwić. Kat jako jedyny traktował Rovillę nie jak młodą, zmierzającą ku dojrzałości kobietę, którą już wszak była, ale jak dziecko.

– Na razie jest ci pisane opuścić z nami ten las – odezwał się Jakub. – Potem zobaczymy. Pochodzisz ze stolicy, prawda?

Rovilla kiwnęła tylko głową.

– A ponieważ nie chcesz tam wracać, znaczy to, że coś przeszkrobałaś – dodał Mavaren.

– Albo została skrzywdzona! – wtrącił się natychmiast Kellan. – Zważaj na słowa, wasza wysokość!

W jego głosie brzmiały gniew i groźba. Evah spojrzał zaskoczony na przyjaciela. Nigdy dotąd nie słyszał u niego takich tonów.

– Może – zgodził się gładko Mavaren. – Ale przedtem opowiadała nam bajeczkę o podróży wozem, pamiętasz jeszcze? I nie mówiła nic o krzywdzie. Myśl, chłopcze, myśl chociaż trochę. Wiem, że damska spódniczka może przesłonić świat, nieraz sam się o tym przekonałem, ale nie musisz powtarzać cudzych błędów.

– Łatwo zarzucasz komuś kłamstwo! – zawołała Rovilla. – Mam powody, żeby nie wracać do Sevli, ale nie zrobiłam nikomu krzywdy! To Kellan ma rację, mnie ją uczyniono!

– Chcesz łatwo wykręcić się sianem – odparł książę, naśladując rozgniewany głos dziewczyny. – Lecz mamy na to tylko twoje słowo.

– Zamilcz, bo nie wytrzymam! – warknął Grzywa.

Evah na wszelki wypadek przesunął się tak, żeby być między nimi. Zdawało się, że Kellan w każdej chwili może się rzucić na Mavarena.

– Dość tego! – rzekł ostro Jakub. – Pędy sosny skryły się już, możemy schodzić. Co dalej, zdecydujemy po wyjściu z Lasów Kerenu. Na razie schowajcie urazy w cholewy butów.

– Ja nie mam cholewek! – poskarżyła się Rovilla i podciągnęła lekko spódnicę, ukazując doskonałej roboty trzewiki, sięgające do kostki.

Kellan uczynił ruch, jakby chciał zasłonić przed wzrokiem pozostałych pasek jasnej skóry, widoczny między bucikiem a materiałem. Mavaren uśmiechnął się krzywo, Evah z ciekawością patrzył na poczynania dziewczyny, natomiast Jakub nie zamierzał wdawać się w dyskusje.

– To je schowaj, gdzie chcesz – rzucił. – I przestań wreszcie pajacować.

– Właśnie – zawtórował mu niespodziewanie Mavaren. – Na nikim nie robi to wrażenia. – Zerknął na Kellana i dorzucił: – No, prawie na nikim.

Grzywa rzucił mu złe spojrzenie, ale nic nie powiedział, tylko się zarumienił.



W lesie na szczęście nie wydarzyło się już nic godnego uwagi. Okazało się zresztą, że nadspodziewanie szybko wyszli na trakt wiodący ku granicy i dalej do stolicy Malbarii.

Posterunek graniczny postawiono przy moście, pod którym przepływała wartkim nurtem niezbyt szeroka rzeka. Evah przypuszczał, że w takim miejscu odprawa będzie się odbywała osobno na obu brzegach, jak to miało miejsce gdzie indziej. Jednak hrabia Livon i książę ver Malvar żyli w przyjaźni, więc przejścia graniczne ustanowili wspólne. To miało skracać formalności i ułatwiać kupcom oraz innym wędrowcom przechodzenie z kraju do kraju, ale okazało się, że raczej ułatwia żołnierzom i celnikom sprawniejsze oskubywanie podróżnych. A na pewno było im raźniej, no i w większej grupie robili na ofiarach swojej chciwości większe wrażenie.

Kiedy Evah z towarzyszami nadeszli, jakiś przewodnik karawany właśnie zanosił okrzyki do wszystkich bogów, zaklinając ich, aby zesłali karę na chciwych pograniczników. Obaj dowódcy posterunku słuchali tego z lekko znudzonymi minami. Nalane twarze i wielkie brzuchy sprawiały, że wyglądali jak bliźniacy, różniły ich tylko mundury – ten z Farali nosił barwy błękitne, ten z Malbarii amarantowe. Siedzieli przy zbitym z tarcic stole, a przed każdym stał kubek z napitkiem. Evah nie przypuszczał, żeby to była woda.

– I po co się tak wydziera? – mruknął Mavaren. Spoglądał na kubki celników i przełykał ślinę. Widać było, że próbuje odgadnąć, jaki też trunek zawierają. – I tak w końcu da, ile chcą, bo inaczej nie przejedzie.

Evah przywykł już do tego, że oprócz przepisanej prawem opłaty, najczęściej trzeba dać żołnierzom coś jeszcze, żeby nie czynili wstrętów.

– Płać albo sobie wracaj – powiedział spokojnie Malbarczyk, kiedy kupiec na chwilę zamilkł, nieco zdyszany przydługą tyradą. – Ale uprzedzam, jeśli jeszcze raz rozdziawisz paszczę i zaczniesz tak krzyczeć, cena wzrośnie o połowę. Szanuj uszy bliźnich.

Kupiec z lekkim kłapnięciem zamknął usta, jako że już szykował się do dalszej przemowy.

– Nic nie podarujecie? – spytał.

– Możemy podarować – odparł drugi dowódca. – Ale wtedy mój przyjaciel nie wystawi ci glejtu i będziesz musiał rozłożyć się z towarem pod Sevlą, bo nie wpuszczą cię do miasta. A jeśli nawet wpuszczą, zapłacisz trzy albo cztery razy tyle, co u nas.

– Zgadza się – potwierdził z szerokim uśmiechem Malbarczyk. – A może być i tak, że przy bramie pieniądze wezmą, ale na duży targ już nie dadzą wjechać, każą się rozkładać na małym. I znów płąć, żeby się zmiłowali.

– To jest rozbój w biały dzień... – wymamrotał kupiec.

– Co mówiłeś? – Obaj pogranicznicy nadstawili ucha.

– Nic, nic – odparł pośpiesznie nieszczęsny kupiec. – Skoro tak się sprawy mają, będę bardzo wdzięczny waszym miłościom, jeśli przyjmiecie należny wam datek i pozwolicie mi jechać dalej.

Odpowiedziały mu łaskawe skinięcia głowami, a potem dowódca z Malbarii zaczął skrobać tępym piórem glejt kupiecki. To znaczy, samo pismo miał już przygotowane, musiał wpisać tam tylko imię kupca i liczbę wozów. Mimo to szło mu niesporo, wysuwał język i sapał, jakby podejmował wielki wysiłek.

– O takich, co ucinają ludziom sakiewki czy włamią się do domu, powiadają, że złodzieje – powiedział Grzywa. – To co mówić o tych tutaj?

– Ciszej – syknął Mavaren. – Bo jak usłyszą, przetrzepią nas na wszystkie strony. Masz ochotę leżeć do następnego przejścia wzdłuż rzeki? To może być cały dzień albo więcej. I trafisz na takich samych.

Znów zapatrzył się na kubki i aż jęknął cicho, kiedy amarantowy sierżant pociągnął ze swojego.

– Podłe piwsko dzisiaj przynieśli – rzekł celnik, krzywiąc się. – Kwaśne i słabe. Trzeba będzie karczmarzowi natrzeć uszu.

Jego towarzysz powąchał zawartość swojego kubka, spróbował, pokiwał głową i westchnął.

– Porozmawiamy z nim sobie dzisiaj po służbie.

Mavaren znów jęknął i przełknął ślinę.

– A może przeszlibyśmy gdzieś przez tę wodę, zamiast nabijać kabzy tym grubasom – zaproponował cicho Evah, również po to, żeby odwrócić uwagę księcia od pijących.

– Tak się nie da. – Jakub pokręcił głową. – Musimy dostać glejt, który potwierdzi, że przeszliśmy granicę jak trzeba. Inaczej musielibyśmy wykupić go już w Sevli. Opłata przy bramie jest o wiele wyższa, niż jeśli się ją wnosi tutaj. To by pochłonęło lwią część pieniędzy, jakie dostaliśmy od księcia Leonora. A własnego grosza wiele nie macie, prawda?

Evah pokiwał głową, a Jakub mówił dalej:

– Księżę Malbarii to jeden z najbogatszych władców w imperium, a swoje bogactwo zawdzięcza również tym wszystkim opłatom.

– Tylko że ci dwaj biorą więcej, niż powinni. – Evah wiedział, że podobnie się dzieje wszędzie, że świat nie jest wcale takim miłym miejscem, jak mu się wydawało w rodzinnej wiosce, ale wciąż nie mógł się pogodzić z jawną niesprawiedliwością.

– Biorą. – Teraz zabrał głos Mavaren. – Biorą, bo mogą. Bo nikt ich nie pilnuje. Ale biorą też dlatego, że i hrabia, i księżę dość marnie płacą pogranicznikom, więc ci muszą sobie jakoś radzić. A że z czasem tacy urzędnicy stają się nienasytzeni i chcą coraz więcej? Taka już jest ludzka natura.

Zamilkł, bo osiem wozów karawany już wtaczało się na most i nadeszła ich kolej.

Na widok niebogato odzianych podróżnych dowódcom nieco zrzędkły miny. Za to żołnierze obu stron z ciekawością przyglądali się wyposażeniu grupki. Szczególne zainteresowanie budziły długi miecz kata i wąska klinga Mavarena.

– Tym się da walczyć? – Jeden z żołnierzy podszedł i pokazał palcem broń księcia. – To

dobrze chyba tylko, żeby kuropatwę nabić i powiesić nad ogniskiem.

Rozległ się rechot pozostałych.

– Chcesz spróbować? – spytał zaczepnie Mavaren. – Mogę z ciebie zrobić kuropatwę.

Urażony żołnierz położył dłoń na rękojeści miecza, ale odstąpił, kiedy malbarski dowódca posterunku fuknął na niego.

– Wy dokąd? – spytał Faralczyk. – Opuszczacie ziemie hrabiego. Jesteście jego poddanymi?

– Nie, panie sierżancie – odparł Jakub. – Zmierzamy do stolicy, a jesteśmy poddanymi Jego Wysokości księcia Leonora, władcy Berwen.

– Ach tak – mruknął celnik. – W takim razie musicie zapłacić dwa srebrne dukaty za przejście i prawo wejścia do Sevli.

– A gdybyśmy byli poddanymi hrabiego Livona? – spytał Kellan. – Wyniosłoby to mniej? Urzędnik nawet nie zaszczycił chłopca spojrzeniem.

– Dwa srebrne dukaty za przejście – powtórzył.

– Zapytałem o coś! – upierał się Grzywa, nie bacząc na to, że Mavaren go ucisza. Evah też był zresztą ciekaw odpowiedzi.

– Trzy dukaty za przejście – oznajmił dowódca w błękitach.

– A to znowu czemu? – oburzył się Evah. – Przecież na tej tablicy narysowano, że opłata za przepuszczenie pięciu ludzi to jeden dukat.

– Narysowano – zgodził się Malbarczyk, który w odróżnieniu od towarzysza przyglądał się grupce uważniej. – Ale w naszych regulaminach stoi, że opłata wzrasta, jeśli wśród przechodzących znajduje się niezamężna niewiasta. A ta dziewczucha nie wygląda mi na żonę któregoś z was. Zresztą, stateczna kobieta jechałaby wozem, a nie dreptała na piechotę.

– Przecież to bzdura! – zawołał Evah. – Na pewno nie ma takich przepisów! To by było zbyt głupie.

– Właśnie – poparł przyjaciela Kellan.

– Cztery dukaty – orzekł Faralczyk. – Za marnowanie naszego czasu.

Na znak Jakuba, Mavaren chwycił obu chłopców za ramiona i pociągnął do tyłu.

– Poszaleliście? – warknął. – Nie drażnijcie tych złodziei, bo się nie wypłacimy.

– A zatem dwa srebrne dukaty – powiedział Jakub, kładąc należność na stole, przy którym siedzieli dowódca posterunku.

– Cztery – poprawił go błękitny grubas.

– Dwa – powtórzył Jakub. – I oczywiście otrzymamy glejt.

– Cztery! I zastanowimy się nad glejtem.

– Dwa dukaty i dwa srebrne grosze – zaproponował kat. – Więcej nie damy. A wiesz dlaczego, sierżancie?

Celnik wzruszył ramionami.

– A dlatego, że zaraz sobie stąd pójdziemy i znajdziemy inny posterunek. Zresztą, za trzy

dukaty wpuszczą nas do miasta strażnicy przy bramie. A za cztery zanosą nas do gospody na rękach. Co więcej, nawet z glejtem i tak będziemy musieli im coś dać, więc sam powiedz, czy opłaca nam się zostawiać wam tutaj taki majątek?

Sierżant spojrzął na kolegę, jakby go prosił o pomoc, ale tamten przyglądał się uważnie Rovilli.

– Ja ciebie chyba skądś znam, dziewczyno – stwierdził. – Gdzieś cię już widziałem.

– A ja ciebie nie – odparła, patrząc mu śmiało w oczy. – Ciekawe, co by powiedziała twoja żona, gdyby się dowiedziała, jak wlepiasz oczyska w niewinne panienki!

– Kiedy ja... – Malbarski celnik spieszył się niespodziewanie, ale zaraz odzyskał rezon. – Nie pyskuj mi tutaj, dziewucho, bo faktycznie pójdziecie szukać innego przejścia. A będzie to daleka droga!

Tymczasem Jakub dorzucił na stół obiecane grosze.

– Trzy dukaty – spuścił nieco z tonu faralski celnik.

– Bierz, ile daję, bo za chwilę nic nie zarobisz – powiedział Jakub bardzo spokojnie. – Zobaczmy, może przy innym przejściu aż tak nie zdzierają? Może wystarczy dukat i parę miedziaków na piwo dla sierżantów?

Trafił w słaby punkt obu dowódców. Miała im przejść koło nosa cała dodatkowa sztuka srebra i te dwa grosze, za które mogli sobie kupić obfitą wieczerzę i wielki garniec miodu.

– Niech będzie – skapitulował błękitny sierżant, kiedy już porozumiał się wzrokiem z kolegą. – Przechodźcie.

– Glejt – przypomniał Mavaren, który stanął między chłopcami, Rovillą, a stolikiem celników, żeby młodzi znów się z czymś nie wyrwali.

Błękitny już otworzył usta, żeby powiedzieć coś o dodatkowej opłacie, ale zamilkł, bo Jakub pokręcił głową i położył dłoń w czarnej rękawiczce na pieniądzach, jakby chciał je zgarnąć z powrotem ze stołu.

– Wypiszę – mruknął Malbarczyk. – Niech już sobie idą, szkoda czasu na takich golców.

Spojrzał za plecy wędrowców i uśmiechnął się, widząc nadciągającą traktem następną karawanę. Evah wręcz wyczytał z tej zadowolonej twarzy myśl, że oto zaraz pogranicznicy sobie odbiją z nawiązką to, czego nie zdołali wyciągnąć od bezczelnych uparciuchów. Dowódca zapomniał nawet o dziewczynie.

Czym prędzej zaczął skrobać piórem, podał dokument Jakubowi i machnął ręką, żeby szli na most.

Ale zanim tam dotarli, podszedł do nich żołnierz, którego przedtem odpędził dowódca.

– To jak będzie, spróbujemy się? – Stanął twarzą w twarz z Mavarenem. – Chyba że z ciebie puste portki, a nie prawdziwy chłop!

Mavaren wyszczerzył zęby w wyzywającym uśmiechu i położył dłoń na rękojeści broni.

Lecz wtedy między nich wszedł Jakub.

– Posłuchaj, wojaku – tchnął prosto w twarz żołnierza. Musiał się nieco pochylić, bo

górował nad tamtym wzrostem. – Na własne oczy widziałem, jak ten człowiek nadział na swój rozeń trzech takich jak ty, choć mieli tęgie miecze. Widziałem też, jak zakłuł nim kostrzygę.

Przynajmniej to drugie było prawdą, pomyślał Evah. Rozumiał, dlaczego kat mówi to, co mówi i ubarwia umiejętności księcia. Chciał uniknąć zbędnego pojedynku.

Zresztą chłopiec był dziwnie pewien, że Mavaren bez większego problemu poradziłby sobie z tym żołnierzem, rozleniwionym łatwą służbą na spokojnej granicy.

– Tak ci śpieszno rozliczyć się z życia przed bogami? – mówił dalej małodobry. – Bo gdybyś nawet pokonał mojego towarzysza, potem staniesz przede mną. Ostrzegam!

W głosie Jakuba było coś takiego, że wojak zbladł i przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Jeszcze będzie okazja się zmierzyć – szcęknał, żeby zachować twarz, po czym wrócił do swoich.

Evah zastanawiał się, czy kompani pogranicznika nie wyśmieją go za tchórzostwo, ale tak się nie stało. Patrzyli na nich z niechęcią i jakby obawą, choć podróżnych było tylko pięcioro, a żołnierzy trzy razy tyle.

W tej chwili chłopiec zdał sobie sprawę, że cała ich grupa musi wyglądać dość dziwnie i groźnie – kat z długim mieczem, w czarnym skórzanym odzieniu, z zupełnie łysą głową i surowym spojrzeniem, Mavaren z dziwacznym rożnem, szczupły, ale sprawny już na pierwszy rzut oka i Evah z łukiem, kołczanem, krótkim mieczem oraz sztyletem za pasem. Nawet Grzywa ze swoim ostrzem mógł budzić respekt. Szczególnie teraz, kiedy toczył groźnym spojrzeniem, stojąc pół kroku przed Rovillą, jakby ją osłaniał przed niebezpieczeństwem.

– Idziemy? – spytał Jakub, patrząc na Evaha.

– Tak, w drogę – powiedział szybko chłopiec, przypominając sobie, że właśnie on tutaj dowodzi. A przynajmniej tak powinno to wyglądać.

Po raz kolejny pomyślał, że bez pomocy Jakuba droga byłaby o wiele trudniejsza. O ile w tej chwili ich kości nie ogryzałyby właśnie bestie z Lasów Kerenu.

Kroki zadudniły na deskach przeprawy, a za plecami słyszeli już narzekania kolejnego kupca i radosne pohukiwanie celników.

Rozdział 12

Zielony dom



Przy bramie rzeczywiście musieli się jeszcze okupić strażnikom. Wprawdzie nie dukatem, bo wystarczyły dwa grosze, ale zawsze uszczupliło to i bez tego mało zasobny skarbczyk.

Sevla była ogromna, znacznie większa od Salmary. Evah spodziewał się tego, przecież i kat, i Mavaren uprzedzali, że to wielkie miasto, więc widok potężnych, rozległych murów majających za rozległymi osiedlami na podgrodziach nie zrobił na nim takiego wrażenia, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy zobaczył stolicę księstwa Valdesse.

– I co? – Grzywa trącił go w ramię. – Niesamowite miasto.

Evah pokiwał głową, ale w duchu wzruszył ramionami. Niesamowite? Tak by nie powiedział. Po prostu wielkie i tyle, lecz ścisk i gwar panował podobny do tego w Salmarze. Uliczki były tak samo wąskie i również z rynsztokami. Tyle że tutaj o wiele mniej śmierdziało. Czy to dlatego, że było nieco chłodniej, więc odpadki i nieczystości nie rozkładały się tak szybko? Ale przecież w tej chwili słońce stało już wysoko i zrobił się skwar.

Evah porzucił myśli o tajemnicach systemu kanalizacyjnego stolicy Malbarii. Nie miał tutaj zamieszkać na stałe, więc nie bardzo go to dotyczyło. Zauważył za to, że odkąd podeszli pod Sevlę, Rovilla robiła się coraz bardziej nieswoja. Odwracała twarz, jakby chciała ją schować, a wreszcie narzuciła na głowę chustę, którą dotąd raczej się

przepasywała albo przykrywała ramiona.

Nikt jednak jej o nic nie pytał. Podobnie jak ona nie wypytywała Jakuba, dlaczego za parę miedziaków kupił na straganie kapelusz z szerokim rondem i wcisnął go na głowę tak, żeby twarz znajdowała się w cieniu. Wyglądał nieco śmiesznie, ale nie zwracał na siebie uwagi miejscowych. Tutaj prawie wszyscy mężczyźni nosili podobne.

– Może my też powinniśmy się tak wystroić? – zaproponował Grzywa. – Widać takie tu obyczaje.

– Chcesz, to kup sobie podobną michę – odparł Evah. – Ale ja na pewno tego nie założę.

– Ani ja – dodał Mavaren. – Toż to byłby widok, jakby wielkie grzyby wyszły z lasu i chciały szturmować mury.

Mijali niskie domki, niektóre okolone płotem, inne wolno stojące. W tych drugich najczęściej znajdowały się sklepy i pokoje gościnne.

– Może tutaj znajdziemy nocleg? – zapytał Kellan. – Będzie na pewno taniej niż w mieście.

– Mnich, którego mamy odnaleźć mieszka w samej Sevli – przypomniał Evah. – Nie wiadomo, czy znajdziemy go od razu, a jak zaczniemy chodzić w tę i z powrotem, stracimy tylko czas.

– Poza tym mamy glejt tylko na jednorazowe przekroczenie bramy – dodał Jakub. – Za każdym wejściem musielibyśmy się opłacać, a wtedy trudno mówić o jakiegokolwiek oszczędności.

– Raczej musielibyśmy sporo dołożyć – zgodził się Mavaren.

Kellan pokiwał głową. Właściwie zaproponował to nie tyle z oszczędności, bo do tego nigdy nie miał głowy, co ze względu na Rovillę. Im bliżej byli murów, tym stawała się bardziej milcząca i tym mocniej naciągała chustę na czoło. W tym zachowaniu bardzo przypominała teraz Jakuba.

Za bramą przeszli kilkaset kroków, a potem idący na czele kat skręcił w wąską uliczkę. Szedł szybkim krokiem, a skórzany płaszcz unosił się za nim, bo przez zaułek przelatywał chłodny podmuch powietrza. Evah zastanawiał się, dokąd idą, a przede wszystkim nie dawała mu spokoju myśl, że zarówno mistrz małodobry, jak i dziewczyna nie są w tym mieście mile widziani. Kat nawet się do tego otwarcie przyznał, ale dlaczego Rovilla chciała pozostać nierozpoznana, Evah nie mógł się nawet domyślać. Nie wyglądała na kogoś, kto popełnił zbrodnię. A może też naraziła się jakiemuś wielkiemu panu?

Po kilku minutach dotarli na niewielki plac, otoczony ze wszystkich stron wysokimi domami. Syn myśliwego miał wrażenie, że znalazł się w studni.

– Tutaj się zatrzymamy – oznajmił kat. – Wprawdzie nie jest to wspianiała dzielnica, za to bezpieczna i na uboczu.

– Tutaj to znaczy gdzie? – spytał Mavaren niewinnym tonem. – Na tym podwórzu? To trzeba było przynieść chociaż trochę gałęzi, bo prosto na kamieniach albo ziemi marnie się

sypia.

Jakub nie odpowiedział, nie obdarzył księcia nawet spojrzeniem. Podeszedł do odrapanych drzwi pomalowanego na zielono budynku i zastukał w jakimś dziwnym rytmie. To znaczy, budynek zielony był kiedyś, bo teraz po starej farbie zostały tylko wspomnienia – plamy wokół okien i ościeżnicy niewielkiej bramy. Reszta malowania mocno oblaźła, złuszczyła się i w większej części widać było jedynie pokryty ciemną pleśnią tynk.

– Rzeczywiście piękne miejsce – dołączył się do narzekania Kellan. – Jeśli w środku jest tak samo paskudnie, chyba lepiej by było nocować na pierwszej lepszej łące. Widziałem pod murami błonia.

Evah zmarszczył brwi i pokręcił głową, patrząc na przyjaciela, jakby chciał mu powiedzieć, żeby zamilkł. Ale Grzywa znów nie tyle martwił się o siebie, co o dziewczynę.

Niepotrzebnie.

– Przestań gadać bzdury! – prychnęła. – Byle dach był nad głową, bo w Sevli lubi padać. A jeśli mocniej poleje, ulice zamieniają się w rwące potoki. Nie chciałbyś wtedy przebywać na zewnątrz. A osobiwie właśnie na błoniach też, bo potrafi tam wymyć cały brud. Jak myślisz, dlaczego tam nikt nie mieszka, w takim dobrym miejscu dla handlarzy? Bo brudy spływają właśnie tamtędy i dopiero dalej wędrują do rzeki dużym kanałem.

Evah teraz zrozumiał, dlaczego tamtejsza trawa wydawała mu się jakaś przybrudzona, wręcz bura, a miejscami nawet wypalona do gołej ziemi. Jeśli wszystko, co zanieczyszczało ulice i rynsztoki, spływało właśnie na nią, trudno się dziwić. I pewnie właśnie częstym deszczom i odpływom, a nie chłodniejszemu powietrzu, należało zawdzięczać, że na ulicach stolicy Malbarii nie śmierdziało tak, jak w Salmarze.

Jakub zapukał ponownie, odczekał chwilę i zastukał po raz trzeci, tym razem w innym rytmie. Drzwi otworzyły się natychmiast, ale nikt w nich nie stanął, z zewnątrz widzieli tylko czarny przestwór.

Kat bez wahania przekroczył próg, a Mavaren przepuścił przodem dziewczynę. Jednak przed nią wepchnął się Kellan. Gdyby czyhało na nich coś złego, był gotów przyjąć na siebie pierwsze uderzenie. Księżę pokręcił głową, pozwolił przejść Rovilli i spojrzał pytająco na Evaha. Ale chłopiec uczynił zapraszający gest ręką.

– Dowódca wchodzi na końcu? – zaśmiał się mężczyzna.

– Można tak powiedzieć – odpowiedział uśmiechem Evah. – Ale bardziej chodzi mi o to, żeby nie nadziać się na pięć Grzywy, jeśli uzna, że ktoś lub coś zagraża jego wybrance i nadciąga z zewnątrz. Zauważyłeś, wasza wysokość, że ostatnio bywa jakiś dziwny?

– Trudno nie zauważyć – mruknął Mavaren i zanurkował w ciemność. Już stamtąd dokończył: – Miłość nie wybiera.

– Można wiedzieć, o czym bredzisz? – rozległ się głos Rovilli. Najwyraźniej słyszała rozmowę chłopca z księciem.

– O niczym szczególnym – odparł z mroku mężczyzna. – O meandrach życia

i podniosłych uczuciach...

Evah przekroczył próg, a zaraz potem drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. Same, bo nikt przy nich nie stał.

Ciasna sień pograżona była w półmroku. Stali blisko siebie, bo następne drzwi okazały się zamknięte. Jakub zdjął kapelusz i czekał spokojnie. Evah uznał, że nic im nie grozi, skoro małodobry nie podejmuje żadnych działań.

Po chwili zapłonęło światło nad drzwiami prowadzącymi w głąb budynku. Samo zapłonęło, nikt go nie rozpałał. Evah wstrzymał na chwilę oddech. Kolejna tajemnica...

– Witaj, nasz bracie – powiedział niski, chrapliwy głos. Zdawał się płynąć gdzieś z góry, spod wysoko sklepionego sufitu. – I witajcie jego przyjaciele. Możecie przejść dalej, jeśli macie uczciwe zamiary. Jeśli zaś nie, strzeżcie się! – Głos zabrzmiał groźnie, lodowato, aż Evahowi przeszły po plecach lodowate mrówki.

– Na Przedwiecznych, a co to za przedstawienie? – zdumiał się Mavaren.

– Milcz – syknął Jakub. – Nie należy obrażać gospodarzy, szczególnie jeśli się ich jeszcze nie poznało. Mamy uczciwe zamiary! – oznajmił głośno. – Jeśli uznacie, że jesteśmy godni wkroczyć w wasze progi, prosimy o gościnę!

Nie padła już żadna odpowiedź, za to drzwi uchyliły się i przybyli mogli zobaczyć gospodarzy tego miejsca. Właśnie – gospodarzy – bo przyszli ich powitać chyba wszyscy.



Evah odsunął pusty talerz i odetchnął głęboko. Kiedy ostatnio tak się najadł? Na pewno w gościnie u księcia Leonora, a potem była suta wieczerza w chacie pustelnika. Później jadali raczej skąpo, a na pewno monotennie, chyba że chłopcu udało się upolować jakiegoś królika czy kuropatwę. A w drodze przez Lasy Kerenu nie jedli wcale. Nikomu się zresztą nie chciało, wszyscy myśleli o niebezpieczeństwach, a nie napełnieniu żołądków.

– Pyszne – westchnął Kellan. – Nigdy nie jadłem tak przyprawionego kapłona.

Rovilla jeszcze nie skończyła swojej porcji, ale widać było, że przed łapczywym jedzeniem powstrzymuje ją tylko to, że inni patrzą. Panience nie wypada rzucać się na mięsiwo i pieczoną rzepę na równi z mężczyznami.

Mavaren z kolei nie zważał na książęce pochodzenie, tylko rwał zębami mięso i z zadowoleniem kruszył chrząstki.

Tylko Jakub skubał udo ptaka, zupełnie jakby nie odczuwał głodu i pożywiał się tylko przez rozsądek. Spojrzał na siwą głowę, ledwie wystającą znad wysokiego stołu.

– Musimy porozmawiać – rzekł, a gospodarz skinął głową.

– Domyślam się, że nie przybyłeś do Sevli bez ważnej przyczyny – odparł. Miał wprawdzie dość wysoki głos, ale nie piskliwy, całkiem miły dla ucha. – Gdyby dowiedzieli

się o tobie szambelan albo ochmistrz pana Silda ver Malvara, miałbyś spore kłopoty.

Evah zauważył, że przy tych słowach Rovilla przerwała jedzenie i spojrzała na mistrza małodobrego ze zmarszczonymi brwiami. Zaraz jednak opanowała się i wróciła do posiłku.

– Dlatego chcę gościć tutaj najkrócej, jak się tylko da. – Jakub wziął pieczoną rzepę, ugryzł mały kęs. – I nie tyle chodzi o moje bezpieczeństwo, co mych towarzyszy. Nie powinni odpowiadać za moje sprawki. Swoją drogą – spojrzał na warzywo – zapomniałem już trochę, jak doskonale tutaj gotujecie, Galingu. Zwykła rzepa zdaje się wyszukany smakołykiem.

– Popatrz – zaśmiał się karzeł. – A kucharz wstydził się wam pokazać, bo uznał, że zepsuł potrawy, a nie miał czasu gotować drugi raz.

– Co za bzdura! – odezwał się Mavaren z pełnymi ustami. – Wszystko jest znakomite.

– Jak na wysoko urodzonego – powiedziała Rovilla, z pewnym obrzydzeniem patrząc na księcia – masz okropne maniery. Na dworze twojego brata panuje obyczaj gadania z jedzeniem w gębie?

– Raczej rzadko przebywałem w zamczysku Leonora – odparł Mavaren, który wyraźnie nie spieszył się złościwością. – Więcej czasu spędzałem zawsze w karczmach i szynkach, piłem z prostymi ludźmi, którym niewiele rzeczy przeszkadza. Tak... w karczmach i szynkach... – rozmarzył się, zapatrzył gdzieś w ścianę, a potem spojrzał na gospodarza. – Macie może w piwnicy jakieś wina albo miody? Piwem też bym nie pogardził. Widzisz...

Evah, Kellan i Jakub wbili w niego karcące spojrzenia i księżę przerwał w pół słowa.

Galing popatrzył na Mavarena i jego towarzyszy, a potem uśmiechnął się.

– Nie pijamy wprawdzie takich napojów, ale każę zaraz przynieść coś, co powinno wam smakować lepiej niż trunki.

Księżę skrzywił się z niedowierzaniem, lecz gospodarz nie zwracał na niego uwagi. Skinął na młodszego karła, stojącego pod ścianą i coś do niego powiedział w nieznanym Evahowi języku. Tamten odpowiedział i chłopca uderzył jego głęboki bas. To pewnie właśnie on mówił do nich, kiedy czekali w sieni. Otworzył jakiś świetlik pod sufitem i przemawiał. Może też on zapalił sprytnie lampę oliwną? Albo wsunął już rozpaloną w uchwyt, korzystając z niewidocznego od dołu okienka? Evah nie wytrzymał i zapytał o to gospodarza.

– Bystry z ciebie młodzieniec – zaśmiał się Galing. – Ale nie każ mi zdradzać naszych tajemnic. Powiem ci tylko, że jesteś zarówno bliski prawdy, jak i od niej odległy. – Widząc, że młody człowiek zmarszczył brwi, dodał: – Bliski, bo rzeczywiście w tym wszystkim nie ma nic nadprzyrodzonego, lecz odległy, bo odbyło się to inaczej.

Syn myśliwego starał się zanadto nie przyglądać mieszkańcom tego domu, chociaż przychodziło mu to z wielkim trudem. Kiedy usłyszał tubalny głos w sieni, był przekonany, że właścicielem tego domu jest jakiś ponury osiłek, zdolny powalić byka i nawet się nie zasapać.

Z tym większym zaskoczeniem ujrzał czekające na wędrowców, stłoczone w szerokim holu małe postacie. W pierwszej chwili uznał, że mają do czynienia z dziećmi gospodarzy, dopiero kiedy przyjrzał się twarzom, dostrzegł, że należą do dorosłych. Nie tyle chodziło o rysy, bo te wydawały się akurat dziecięce, co wyraz oczu. Tak nie patrzą naiwne maluchy.

– Zanim jednak zasiądziemy do poważnej rozmowy – rzekł Jakub – pozwól, że opowiem to i owo moim przyjaciółom o waszym bractwie. Chyba że ty wolisz to zrobić.

– Wolę – potwierdził Galing. – Ale panienska chyba to i owo wie. Przecież pochodzi z tych stron. Z samej stolicy.

– Skąd wiesz? – spytała zaczepnie Rovilla. – Poznałeś po wymowie?

– To też – wyjaśnił spokojnie karzeł. – Ale widziałem cię kilka razy, panienko. Takich, jak my, ludzie nader często nie dostrzegają, dlatego możemy robić to, co robimy. Jednak to, że nas nie widać, nie znaczy wcale, że my też nie widzimy. A szczególnie jeśli chodzi o córkę...

– Milcz! – przerwała mu gwałtownie dziewczyna. – Nie jestem córką nikogo ważnego! Coś ci się pomyliło!

Galing zmrużył oczy i uśmiechnął się lekko.

– Możliwe, że się mylę. Ale teraz nieważne, kim jesteś, skoro znalazłaś schronienie pod naszym dachem. Rozumiem, że chcesz to i owo zachować w tajemnicy, muszę więc twoją wolę uszanować.

Kellan, Mavaren i Evah wpatrywali się z napięciem to w Rovillę, to w karła. Ale kiedy zrozumieli, że Galing nic więcej nie powie, na ich twarzach odmalował się zawód.

– A już myślałem, że dowiem się, kim jest ta bezczelna panna – mruknął Mavaren.

– Ja też o was nie wiem wszystkiego! – odparowała. – Nie mam pojęcia, dokąd zmierzacie, nie wiem, co połączyło tak różnych ludzi, domyślam się tylko, że to za jego sprawą! – Wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Evaha. – Nawet ten wasz mistrz od nie wiem czego postępuje tak, jakby to właśnie chłopak tutaj dowodził! A, i nie wiem nawet, jak ten człowiek się zwie, bo unikacie jak ognia wymawiania jego imienia! To ja też mam prawo do tajemnic, prawda?

Poczerwieniała ze złości, a Grzywa zapatrzył się na nią, oniemiały. Evah nie dziwił się przyjacielowi. Dziewczyna w gniewie również była niesłychanie urodziwa. A Rovilla zerknęła na Kellana i nieco się uspokoiła.

– Nawet od niego nie mogę nic wydobyć – poskarżyła się. – Żeby choć bąknął słowem, dokąd się wybieracie. Chociaż tyle. To naprawdę taki sekret?

Zapanowała cisza. Galing z zaciekawieniem i wyraźnym rozbawieniem przyglądał się wędrowcom. Milczenie przerwał nagle Evah.

– Idziemy zgładzić Żelaznego Kruka – oznajmił. – A przynajmniej ja zamierzam to zrobić.

Teraz już cisza była tak głęboka, że zdawała się dzwonić w uszach. Galing przestał się

uśmiechać, wszyscy zapatrzyli się na syna myśliwego. Wszyscy, poza Jakubem. Ten z kolei uśmiechnął się lekko kącikiem ust i znów nadgryzł rzepę. Ciche chrupnięcie przywróciło wreszcie obecnych do życia.

– Słucham? – wydukała Rovilla.

– Zwariowałeś? – rozległ się w tej samej chwili głos Mavarena. – Opowiadasz byle komu... – Nagle książę się zmytygował, zerknął na karła. – Wybacz, czcigodny, nie myślałem o tobie.

– Właśnie – ocknął się Kellan. – Przecież gadanie o tym może być niebezpieczne.

– Że... Żelaznego Kruka? – dziewczyna nie mogła się otrząsnąć z zaskoczenia. – Przecież... Na bogów, Przodków i Przedwiecznych! Przecież samo wymawianie jego imienia może przynieść nieszczęście!

– A za takie śmiałe słowa można odpowiedzieć przed trybunałem para Malbarii. I trafić na katorgę – dodał Galing.

Jakub odłożył rzepę, potoczył wzrokiem po twarzach siedzących przy stole. W tej chwili przyszedł młody karzeł, przyniósł wielki, parujący dzban, a za nim kroczyła znacznie mniejsza od niego postać z tacą zastawioną glinianymi kubkami. Evah od razu uznał, że to musi być dziecko. I nie mylił się. Spod fantazyjnej czapeczki strzelało spojrzenie chabrowych, ciekawych świata oczu.

Karzeł z dzbanem powiedział coś, a Galing się zaśmiał.

– Wybaczcie, ale nasz mały wychowanek był was niesłychanie ciekaw. Nie było go w korytarzu, kiedy wchodziliście do naszego domu.

A potem rzucił coś krótko i obaj przybyli zniknęli. Galing ujął dzban i zaczął nalewać do kubków parującej cieczy barwy bursztynu.

– Musimy chwilę poczekać, napar jest najlepszy, kiedy nieco ostygnie. Ty nic nie powiesz o lekkomyślnej gadatliwości tego chłopca? – zwrócił się gospodarz do Jakuba.

Kat wzruszył ramionami, w zamyśleniu postukał palcami po stole.

– Może i dobrze się stało. Nie przypuszczam, żeby Evah zrobił to przypadkowo. Mylę się? – Spojrzał na chłopca.

– Nie – odpowiedział syn myśliwego po chwili wahania. – Dość mam tajemnic. Wystarczy, że musimy się kryć z zamiarami przed wszystkimi. Dlatego opowiem Rovilli i czcigodnemu Galingowi wszystko. Książę też dowie się przy okazji paru rzeczy. Ale pod warunkiem, że ona również zdradzi nam swoją tajemnicę.

– Zgoda – powiedziała dziewczyna od razu i wskazała Jakuba. – Ale on też opowie o sobie.

– Opowiadanie moich dziejów trwałoby tygodniami – zaśmiał się kat. – Nie mamy na to czasu. I nie wszystko nadawałoby się dla młodych uszu.

– Opowiesz, dlaczego o... – zacięła się na chwilę. – Dlaczego szambelan i ochmistrz tak się na ciebie uwzięli.

– Nie wiesz? – Kat zmrużył oczy i przyjrzał się dziewczynie.

– Coś tam może wiem – przyznała. – Ale chcę to usłyszeć od ciebie.

Evah potrząsnęła głową. Robiło się coraz bardziej interesująco. Co mogła wiedzieć o mistrzu katowskim ta dziewczyna? Dlaczego tak naprawdę znaleźli ją w Lasach Kerenu?

– Dobrze – wtrącił się Galing. – Ale najpierw pragnę się dowiedzieć, czego chcecie od nas, wędrowcy.

– Musimy znaleźć pewnego człowieka – wyjaśnił Evah. – Mnicha służącego bogu przestworzy. Zwań go Droinem. Droinem Mądrym.

Gospodarz uniósł siwe brwi w wyrazie zdumienia.

– Droin Mądry ze świątyni Alsama – mruknął. – Niełatwo się do niego dostać. Wielu jest chętnych, aby zasięgnąć rady mędrca. A on przyjmuje tylko raz na kilka, a nawet kilkanaście dni.

– Ale nie możemy iść do niego tak sobie – odparł Jakub. – I nie chodzi nawet o czas. Nikt nie powinien wiedzieć, że z nim rozmawialiśmy i podsłuchać o czym.

– A w klauzurze klasztornej, gdzie zazwyczaj udziela rad, ściany z całą pewnością mają uszy. – Galing pokiwał głową.

– Na pewno – zgodził się kat. – Sild ver Malvar na pewno już zadbał o to, żeby poznawać tajemnice poddanych. Szczególnie co bardziej wpływowych.

– I uważasz, że jesteśmy w stanie ułatwić wam dotarcie do niego? – zapytał Galing ze zmarszczonym czołem.

– Jeśli nie najlepsi ludzie z cechu żebraczego, to kto? – Jakub uniósł brew.

– Uważasz, że mamy aż takie wpływy? – burknął gospodarz. – Powinieneś udać się do lepszych od nas. My zajmujemy się tylko żebraniną.

Evah zaczął się obawiać, że Jakub pomylił się w doborze pomocników. Cech żebraczy? Rzeczywiście, cóż mogli tacy ludzie, jeśli rzecz szła o widzenie się z człowiekiem, którego tu najwyraźniej uważano prawie za świętego? Ale kat nie wydawał się zbity z tropu.

– Przestań się tak krygować, Galingu – powiedział pogodnie. – Całkiem niezłe na tej żebraninie wychodzicie, jak widać po wyposażeniu tego domu. W siedzibie złotników nie spotka się tylu dzieł sztuki, takiej zastawy, a o kuchni nawet nie wspomnę. Doskonale wiesz, gdzie uderzyć, żeby nam pomóc. Chociaż udajesz drobnego robaczka, wielu potężnych ludzi liczy się z tobą, nawet jeśli nigdy nie widzieli cię na oczy.

– Niech ci będzie. – Galing rozjaśnił się, a Evah odgadł, że protestował tylko w ramach przyjacielskich przekomarzanek. – Zobaczę, co da się zrobić. A dzisiaj zapowiada nam się wieczór zajmujących opowieści. Każę przygotować na tę okazję coś dobrego. A teraz poczęstujcie się naszym specjałem.

Mavaren jako pierwszy wziął kubek, powąchał go i zmarszczył brwi z zastanowieniem, a potem umoczył usta. Po chwili na jego twarzy zagościł wyraz wielkiej błogości.

Evah poszedł w ślady księcia. Napój pachniał słodko, zarazem z nutą goryczy, na pewno

zaś bardzo kusząco. A kiedy chłopiec upił łyk, zakłęciło mu się w głowie od bogactwa smaku. Miał wrażenie, że świat dookoła pojaśniał. A może zmienił się w inny świat, o wiele lepszy od tego, który znał?

Galing z uśmiechem patrzył na zachwycone twarze gości. Również Jakub, który jako jedyny z nich doskonale znał właściwości carrelonu pozwolił się ogarnąć bez reszty rozkosznym doznaniom.

Rozdział 13

Droin Mądry



Evah długo nie mógł zasnąć. Tego wieczoru opowiedział Rovilli i wszystkim, którzy chcieli posłuchać, dlaczego podjął niebezpieczną wędrówkę. A to sprawiło, że wróciły wspomnienia i ogromny smutek. Znow miał przed oczami ciało ojca, skłute i pocięte przez sługi Żelaznego Kruka. Znow składał nad jego grobem straszną przysięgę. Zatęsknił za małą siostrzyczką tak mocno, że musiał zamilknąć i siłą powstrzymać łzy. Na myśl, że matka i inni mieszkańcy wioski zostali porwani i pożarci albo zamienieni w szlachetne kamienie przez przekłętą Kruka, zęby same mu się zaciskały i mówił z trudem. O Verilli napomknął tylko, bo serce chciało mu wyskoczyć z piersi, kiedy wspomniiał dziewczynę. Nikogo z nich już nie zobaczy. Jeśli przeżyje, wróci jedynie po siostrę i odbierze ją od młynarzy. Ale nikomu życia nie przywróci.

Jednak opowieść sprawiła, że poczuł ulgę. Wszyscy słuchali go w zupełnej ciszy i z uwagą, nawet ci, którzy już wiedzieli, co go pchnęło do poszukiwań potwora. Rovilla nie kryła łez i zaczęła spoglądać na Evaha nieco inaczej niż do tej pory. Powiedziała to zresztą swoim zwyczajem bez ogródek.

– A ja cię miałam za szczeniaka, w dodatku zarozumiałego. Muszę sobie to wszystko na nowo poukładać.

Grzywa coś jej usiłował szeptać do ucha, ale potrząsnęła niecierpliwie głową i machnęła na niego ręką, jakby oganiała się od natrętnej muchy. Kellan siedział później z obrażoną

miną, rozpogodził się dopiero, kiedy przysłała jego kolej.

Evah wpatrywał się w ciemność. Otulała pokój aksamitem, zdawała się łączyć w jedno z miękką pościelą. Członkowie cechu żebraczego naprawdę okazali się nieoczekiwanie zamożni, to, co powiedział o tym Jakub, nie było żartem. Chłopiec nie spał w takich zbytkach chyba jeszcze nigdy w życiu. A może tak mu się zdawało po trudach podróży, noclegach pod gołym niebem, a przedtem spaniu na pryczy czy wiązce siana w lochu? Szczególnie dała mu się we znaki noc na sośnie bluszczowej, dlatego myślał, że zapadnie w sen, ledwie przyłożył głowę do poduszki.

Lecz za dużo się zdarzyło i zbyt wiele myśli krążyło mu po głowie. Przypuszczał, że Grzywa też nie śpi, bo nie słyszał jego równego oddechu. Dostali ten pokój we dwóch, kat nocował z Mavarenem, a dziewczyna oczywiście osobno.

Evah poczuł łzę spływającą z kącika oka. Potem następną... Pocięły łaskoczącym strumykiem aż na ucho. Po chwili dołączyło się drugie oko. Nie chciał płakać, ale też nic nie mógł na to poradzić. Dobrze, że panowały takie głębokie ciemności, bo nawet jeśli Kellan czuł, nie mógł zobaczyć twarzy przyjaciela.

– Wierzysz w opowieść Rovilli? – odezwał się nagle Grzywa. Odgadł, że Evah też nie śpi. Chłopiec zastanowił się przez chwilę.

– Dlaczego miałyby zmyślać? To, co powiedziała, tłumaczyłoby, jak znalazła się w lesie. Przedtem kłamała, z tymi krewnymi na wozie i mgłą. Ale to już wiedzieliśmy wcześniej.

– Właśnie, dlaczego miałyby zmyślać? – rzekł z zastanowieniem Kellan. – Kto wie, kim jest naprawdę?

Evah wzruszył ramionami. Cieszył się, że Grzywa oderwał go od smutnych myśli.

– Czy to takie ważne? Nie wiemy też przecież, kim rzeczywiście jest mistrz małodobry.

– Ale on nic nie ukrywa. To znaczy ukrywa, ale nie ukrywa tego, że ukrywa, bo nie musi ukrywać... – Kellan zaplątał się w logice wyводу i dokończył ze złością: – Wiesz, o co mi chodzi!

– Wiem. Jest szczery. Albo mówi prawdę, albo nie mówi nic. O to ci chodzi?

– Mniej więcej, chociaż nie do końca – mruknął były złodziejasek. – Na pewno zdarza mu się skłamać, jak każdemu, i na pewno umie to robić, ale widać, że tego nie lubi. Słuchaj, ile on może mieć lat? Bo wygląda na młodszego od Mavarena, ale jest w nim coś takiego, jakby chodził po tym świecie od bardzo dawna.

– Nie mam pojęcia – odparł Evah. – Dlaczego go nie zapytasz?

– Pytałem, pytałem. Jak pehniliśmy razem wartę jednej nocy w stepie. Nie posłał mnie wprawdzie do biesów, ale też nie odpowiedział. Tak po prostu. A ja nie miałem śmiałości naciskać.

Milczeli przez chwilę.

– Coś mi się wydaje, że Rovilla nie powiedziała nam jednak wszystkiego – odezwał się wreszcie Grzywa. – Przecież nawet na imię ma inaczej! I wciąż nie wiemy jak.

– Też mi się tak zdaje – zgodził się Evah. – Ale to nie znaczy, że nie mówiła prawdy. Ty też niechętnie chwaliłeś się swoimi wyczynami w cechu złodziejskim.

– Coś tam może pominąłem – burknął Kellan. – Ale to nie były ważne rzeczy. A ona nie chce nawet powiedzieć, kto jest jej ojcem.

Rzeczywiście, Rovilla wyznała, że pochodzi z dobrego domu, a nawet jest dobrze urodzona, ale nie zamierzała wyjawiać imienia ani stanowiska swojego ojca. Wiedzieli tylko, że jest ważnym urzędnikiem w służbie para Malbarii, nic więcej. Może Jakub jako jedyny czegoś się domyślał, a Galing na pewno wiedział, kim jest dziewczyna, ale żaden nie puścił pary z ust, skoro sobie tego stanowczo nie życzyła.

– Mama zmarła trzy lata temu – opowiadała Rovilla. – Ojciec bardzo po niej rozpaczał... Wszyscy rozpaczali, bo to była wspiana kobieta, w dodatku piękna.

– To widać po tobie – nie wytrzymał Grzywa, ale zaraz zamilkł, skarcony surowym spojrzeniem panny.

– Nie czas na płaskie komplementy – ucięła i mówiła dalej. – Tęskniłam za nią straszliwie, więc wiem, jak to jest stracić kogoś bliskiego. – Popatrzyła na Evaha. – Chociaż trudno mój los porównywać z twoim albo Grzywy. Mnie pozostał ojciec i wystawne życie, nie musiałam się martwić o to, co zjem albo gdzie będę spać. Nikt mnie nie prześladował, nie próbował zabić... Do czasu. Bo ojciec kogoś poznał.

Zamilkła i zbierała myśli. A potem opowiedziała o ślicznej wdowie, którą przedstawiono jej rodzicowi podczas jakiegoś przyjęcia. Początkowo Rovilla nie przywiązywała wagi do zauroczenia ojca. Od śmierci matki minęły wtedy już prawie dwa lata, dziewczyna podrosła, nawet cieszyła się, że ojciec, wciąż w sile wieku, znalazł szczęście. Po jakimś czasie zaczął przebąkiwać o ślubie. Córka nie miała nic przeciwko temu. Nie wiedziała tylko, że wdowa ma całkiem liczne stadko własnych dzieci.

– Zaroili się w domu jak szarańcza. – Rovilla skrzywiła się na samo wspomnienie. – Przedtem miałam trzy własne pokoje, do tego przebieralnię, bawialnię i nieduży salon, a teraz już tylko jedną komnatę, i to najmniejszą. Bo macocha zaczęła się szarogęsić i przekonała ojca, że nadmierne zbytki zepsują mi charakter. Tak naprawdę chodziło o to, żeby jej trzy córeczki i dwóch synków dostało jak najlepsze kwatery. No i żeby mi dopiec.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Evah. – Przecież to ona przyszła mieszkać do was, ty powinnaś mieć coś do powiedzenia.

– Powinieneś porozmawiać z moim ojcem i mu to powiedzieć – zaśmiała się Rovilla. – Zrobił się zupełnie ślepy na moją krzywdę i głuchy na skargi. Zbывał mnie za każdym razem i mówił, że przesadzam, bo Cerinna wcale nie jest złą macochą, troszczy się o mnie tak samo, jak o swoje dzieci. Czasem miałam wrażenie, że tatko zapadł w jakiś głęboki sen, w którym chodzi po tym samym świecie co ja, ale wydarzenia tam nie są takie same, jak u mnie.

– Coś w tym jest – wtrącił się Galing. – Ludzie zaślepieni uczuciem widzą rzeczywistość

inaczej. I dotyczy to zarówno miłości, jak i nienawiści.

– To bardzo mądre, co mówisz – powiedziała Rovilla. – Też powinieneś porozmawiać z moim ojcem. O tak, na pewno chętnie by przychylił ucha takiej parze. Żebrakowi i złodziejaskowi.

– Musisz być taka uszczypliwa? – spytał zboląłym głosem Kellan.

– Muszę. A raczej musiałam się tego nauczyć przy tej czeredzie złośliwców, z jaką mieszkałam. Gdybym nie umiała się odgryźć, zakrakaliby mnie na śmierć. A ponieważ nie mogli zakrakać i nie dawałam się złamać, wymyślili coś innego. To znaczy macocha wymyśliła, bo to całe towarzystwo byłoby na to za głupie. Za pierwszym razem miałam sporo szczęścia. Zobaczyłam na suficie konika polnego, kiedy kładłam się spać. Nazywamy tutaj takie nockarzami. Wiedziałam, że jak tylko zdmuchnę świecę, zaczną skakać po wszystkich meblach i ścianach, na pewno też wyląduje na mojej głowie. Chciałam go jakoś strącić z sufitu, bo wiecie, przy świetle to zwierzątko głupieje, zapada w bezruch i można je brać do ręki. Zamierzałam go wyrzucić do ogrodu, niech tam by sobie dokuczał jeżom i żabom. Ale sufity u nas są wysokie, musiałam czymś rzucić. Wzięłam więc poduszkę, a pod nią... – Wzdrygnęła się na wspomnienie. – Pod nią leżała zwinięta żmija śniada. Wiecie, jak wygląda? Jest ciemnobrązowa, gdyby nie zaczęła od razu syczeć, mogłabym jej nawet nie zauważyć na pościeli podobnej barwy. A zygzaki zlewały się z haftami... Coś okropnego!

– To najbardziej jadowity wąż w naszych okolicach – zauważył Galing.

– Właśnie. Dlatego później sprawdzałam już nie tylko pościel, ale i buty, bo mogliby mi podrzucić jakiegoś lodowego lejkowca. Te pająki uwielbiają przebywać w butach właśnie. I chyba nie będziecie zdziwieni, kiedy powiem, że jeszcze parę razy znajdowałam różne paskudztwa.

– A co na to ojciec? – spytał Evah. – Powinien się rozgniewać na macochę.

– Ojciec twierdził, że takie rzeczy się zdarzają. Żmije śniade ciągną do ludzkich siedzib, pająki także, a ja po prostu powinnam uważać. To znaczy, na początku wziął nawet Cerinnę na rozmowę, ale znowu tak go omotała, że później nawet nie chciał mnie słuchać. A ja już miałam tego dość. Jeszcze się czepiałam nadziei, że ojcu w końcu przejdzie zauroczenie, tylko nie mogłam się tego doczekać. I trzymałam się do chwili, kiedy podsłuchałam rozmowę macochy z najstarszym synem. Wtedy do mnie dotarło, że to nie jest tak, że oni mnie nienawidzą. Chcieli się mnie pozbyć zupełnie na chłodno, z wyrachowaniem. Cerinna obawiała się, że ojciec zapisze cały majątek tylko mnie, swojej naturalnej córce, a jej dzieci pozostaną z jakimiś rentami.

– A nie lepiej, żeby przekonała twojego ojca swoim zwyczajem do innego rozporządzenia majątkiem? – zapytał Mavaren.

Rovilla potrząsnęła głową. Okazało się, że dygnitarz wprawdzie jest szaleńczo zakochany, ale jeśli rzeczy dotyczą spraw finansowych, pozostaje niezłomny. Nie miał zamiaru

pozbawiać córki i przyszłego zięcia posagu oraz źródła utrzymania. Wprawdzie Rovilla nie była jeszcze zaręczona, ale rodzic rozglądał się za odpowiednią partią. Obiecał drugiej żonie, że po jego śmierci jej potomstwo nie zazna krzywdy, będą im wydzielane pieniądze z części majątku, ale tylko tyle. Lecz Cerinna chciała dla nich wszystkiego.

– Ta przekłeta baba mówiła do synalka, że pozbędzie się mnie choćby nie wiem co. Zamierzała próbować mnie otruć, a jeśli się nie udało, nasłać na mnie zbirów, kiedy będę gdzieś wychodzić. Zrozumiałam, że wcześniej czy później uda jej się dopiąć swego i wreszcie podjęłam decyzję.

– I uciekłaś z domu – domyślił się Evah. – Ale jak zawędrowałaś w Lasy Kerenu?

– Bo za długo zwlekałam i ta obrzydliwa baba zdążyła już wynająć bandziorów! Zabrałam mojego ukochanego konia, wzięłam trochę ubrań, nieco jedzenia i w drogę. Zamierzałam dotrzeć do ciotki w Tandirze.

Galing zagwizdał cicho.

– To kawał drogi na południe – rzekł. – Ale po co jechałaś w stronę Kerenu? Przecież nawet nie leży po drodze.

– Kiedy wyjechałam za miasto, spostrzegłam, że ktoś za mną jedzie. Sześciu ludzi. Oczywiście zaraz puściłam konia w galop, ale nie mogłam się ich pozbyć. To byli chyba doświadczeni zbóje, bo tak mnie zaganiali, żebym nie jechała głównym traktem. No i musiałam gdzieś skręcić nie tak, bo okazało się, że muszę pokonać rzekę. Tę, która rozdziela Malbarię i Faralę. Udało mi się, ale oni też się przeprawili. Pędziłam więc dalej i jakoś zupełnie nagle znalazłam się wśród drzew. A tamci za mną. Chyba nie byli stąd, boby nie pojechali w głąb tego straszego lasu. Starłam się podążać cicho, żeby czegoś nie zbudzić, ale oni hałasowali jak stado dzików. Cieszyli się pewnie, że tutaj mnie dopadną zupełnie bez świadków. I może by zdążyli, gdyby nie napatoczyło się to stado kostrzygów. Widziałam między pniami, jak bestie na nich spadły. Dwóch zabiły od razu, a pozostali zaczęli najpierw walczyć, a potem uciekać.

Zamilkła, napiła się wonnego naparu ze skrzypu miętowego.

– Koń poczuł potwory, spłoszył się i mnie zrzucił. Pozbierałam się i popędziłam dalej na własnych nogach. Na szczęście znalazłam tę polanę, wdrapałam się na kamień, a resztę już wiecie.

– To dlatego nic przy sobie nie miałaś – powiedział Kellan. – Wszystko zostało w jukach.

Pokiwała głową, znów zamoczyła usta w napoju. Potem Jakub opowiedział, dlaczego jest ścigany przez wysokich urzędników para Malbarii i udali się do pokojów.

Evahowi obeschły już oczy, poczuł senność. Ale ostatnie zdanie przyjaciela wciąż dzwoniło mu w uszach.

– Jej ojcem musi być któryś z naprawdę ważnych urzędników samego para – rzekł. – Może dlatego nie chce zdradzić swojego pochodzenia. Boi się, że zaprowadzimy ją do ojca, aby uzyskać nagrodę, a jak wróci już do domu, macocha się nią zajmie o wiele skuteczniej.

– No wiesz? – oburzył się Kellan. – Przecież byśmy tego nie zrobili!

– Ja to wiem i ty to wiesz. Ale ona przez ostatni rok nauczyła się nie ufać nikomu. Dziwisz się?

Grzywa zastanawiał się krótką chwilę.

– Chyba się nie dziwię. Ja też kiedyś nauczyłem się nikomu nie ufać. I nie ufam do dzisiaj.

– To dlaczego ze mną idziesz? – roześmiał się Evah. – Skoro nikomu nie ufasz, to mnie też.

– Z początku nie miałem po prostu wyjścia, sam wiesz – odpowiedział Grzywa. – Ale potem zrozumiałem, że naprawdę nie jesteś taki, jak ci, których znałem do tej pory. Dlatego pójdę z tobą do samego końca. Choćby miał to być również mój koniec.

– Dziękuję – szepnął Evah, wzruszony. – Bardzo ci dziękuję, przyjacielu.

– Przyjacielu – mruknął Grzywa. – Chyba nikt do tej pory tak mnie nie nazywał. To znaczy całkiem szczerze, a nie żeby coś wyciągnąć i skorzystać.

Zapanowała cisza. Po chwili rozległy się w niej spokojne, równe oddechy chłopców.



Evah przecierał oczy, idąc do tej samej sali, w której wczoraj jedli obiad. Wiedział już, że jest przeznaczona w zasadzie tylko dla gości normalnego wzrostu, podobnie jak kilka innych pomieszczeń. Pozostała część domu była przystosowana do rozmiarów mieszkających tutaj karłów. Z początku bawiło chłopców patrzeć na miniaturowe umeblowanie, a Kellan pozwolił sobie nawet na jakiś mało wyszukany żart, ale szybko przywykli. Pewnie dlatego, że rozmawiając z niepozornymi, małymi ludźmi, przekonywali się, że są tacy sami, jak oni, podobnie myślą i czują, są wśród nich i mądrzejsi, i mniej mądrzy, a pewnie dobrzy i źli, jak wszędzie.

Chłopca ściągnął z łóżka przed chwilą Jakub. Jak zwykle był kompletnie ubrany w skórzany strój, nie miał tylko miecza i płaszcza. Ale rękawiczki już tak.

– Chodź prędko, mamy ważnego gościa i ważną rozmowę.

Evah spojrzał na Grzywę, ale ten spał twardo.

– Nie ma czasu na budzenie Kellana – powiedział kat. – Poza tym sprawa dotyczy przede wszystkim ciebie.

Kiedy weszli do komnaty, chłopiec zobaczył siedzącego przy stole starca o długich, siwych włosach. Obok niego nad blat wystawała głowa Galinga. Evah zatrzymał się w progu.

– Czy to jest... – szepnął do Jakuba.

– Tak, to Droin Mądry – powiedział mistrz głośno. Skłonił się starcowi, po czym

przedstawił towarzysza. – A to jest Evah syn Krunnaha.

Sługa boga Alsama zmarszczył brwi na widok chłopca.

– Na Przedwiecznych, przecież to jeszcze dziecko! – zawołał. – Czyście postradali rozum? Wszyscy?! Nawet ty, Galingu? Miałem cię za rozsądniejszego!

Evah prawie się obraził za określanie go mianem dziecka, miał ochotę odpowiedzieć ostro, ale przypomniał sobie, że potrzebuje wskazówek od tego mnicha. Spojrzał prosto w ciemne, błyszczące oczy Droina.

– Miecz już dźwignie, łuk naciągnie, wydobędzie rybę z wody – wypowiedział słowa piosenki, której nauczyła go dawno temu matka. – Możesz zdziwić się niezmiernie, że już nie jest taki młody.

Mnich uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– Znam, znam – mruknął. – Coś mi się zdaje, że pochodzimy z tych samych stron. Urodziłeś się w Rellen czy gdzieś na wschodzie Lagen? A może na południu Valdesse?

– W Rellen – odparł Evah. – W dziedzinie barona di Rukkona.

– Ja też w Rellen, ale bardziej na zachód. W wiosce pod Lekanną.

– Lekanna... To całkiem niedaleko Rukki, prawda?

– Całkiem niedaleko – zgodził się mędrzec.

– Tylko imię nosicie dziwne, święty ojciec – zauważył chłopiec. – Jesteście wysoko urodzeni?

Mnich roześmiał się głośno.

– Wysoko urodzony? Przecież powiedziałem, że pochodzę z wioski. Nie zawsze miałem na imię Droin, ale zmieniłem je, kiedy wysłano mnie do szkoły przy świątyni bogini Kelli w Salmarze. Zauważyłeś pewnie, że w Valdesse mają za głupka każdego, kto nosi miano z naszych stron. Wolałem się tym nie chwalić. A potem, kiedy już bym mógł wrócić do starego imienia, przywykłem do tego Droina. No i zacząłem się stawać znany właśnie pod tym zawołaniem, więc powrót do własnego niósłby ze sobą pewne problemy.

– Uczyłeś się w świątyni Kelli, święty mężu? – Evah spojrział z zastanowieniem na rozmówcę. – Poznałem pewnego kapłana służącego tej bogini. Tyle że było to w świątyni Hemgara. Ma na imię Verdig.

Droin pokiwał głową, uczynił nieokreślony ruch ręką, jakby chciał coś pokazać, a może ogarnąć jakiś kawałek przestrzeni.

– Verdig. Tak, to jeden z moich uczniów. Bardzo zdolny był z niego młodzieniec.

– Uczniów? – zdumiał się Evah. – Przecież nie jest od ciebie wiele młodszy.

– Niewiele? – Mnich zamyślił się. – Jednak na tyle, żebym to ja nauczał jego, a nie on mnie. Chłopcze, jestem bardzo stary, naprawdę. Czasem tego nie czuję, szczególnie gdy rozmyślam nad jakimś ważnym zagadnieniem, ale noce i poranki bywają już dla mnie bardzo przykre, kiedy bolą wszystkie kości, a przecież trzeba wstać. Cóż, wybrałem życie mnicha, choć mogłem zostać świątynnym kapłanem. Oni nie zrywają się w najgłębszych

ciemnościach na modlitwy.

Westchnął, a potem znów spojrzał bystro na chłopca.

– Lecz ani wspólne pochodzenie, ani piosenka, której już prawie zapomniałem, ani twoja znajomość z Verdigiem czy nawet tym wyrzutkiem Szatrim nie mogą przesłonić faktu, że jesteś jeszcze bardzo młody. Zbyt młody jak na to, co zamierzasz uczynić.

– To bardzo dzielny młodzieniec – odezwał się Jakub. – I słusznie wypowiedział słowa piosenki. Nie jest już dzieckiem. Jak sądzę, przestał nim być nie nad grobem ojca, nie wtedy, gdy zostawił siostrę pod opieką obcych ludzi, ale w chwili, gdy zrozumiał, że ma bardzo małe szanse, aby dopiąć swego, a jednak uparcie dąży do celu.

– Upór nie jest dorosłością – odparł z niechęcią Droin. – A ja nie jestem pewien, czy rozmawiając z tobą, kacie, nie popełniam jakiegoś grzechu.

– A jednak rozmawiasz – powiedział spokojnie mistrz małodobry. – Dlaczego?

– Wyczuwam w tobie coś, czego się lękam, a jednocześnie mnie to pociąga. Jestem ciekaw, co w tobie siedzi. A może kto?

Kat roześmiał się gorzko.

– Nikogo we mnie nie ma poza mną samym i wspomnieniami tej, którą niegdyś kochałem uczuciem nieznanym innym ludziom.

– Co nie przeszkadza ci z nią czasem rozmawiać?

Evah po raz pierwszy zobaczył na twarzy kata wyraz prawdziwej przykrości, może nawet zmieszanej z gniewem.

– Rozmawiam ze wspomnieniem, mnichu. Ze śladem po najbliższej istocie. Nie wiem, czy jesteś w stanie to zrozumieć.

– Zrozumieć umysłem pewnie tak. – Droin przyglądał się rozmówcy bardzo uważnie. – Ale nie umiałbym tego poczuć... Nieważne! – Znów zwrócił się do Evaha. – Zdajesz sobie sprawę, chłopcze, że twoja wyprawa do gniazda Żelaznego Kruka nie przysporzy ci przyjaciół wśród możliwych tego świata? A są tacy, którzy chcieliby ci za wszelką cenę przeszkodzić, gdyby dotarła do nich wieść o twoich zamiarach.

– Wiem. – Evah skinął głową. – Ale nie szukam możliwych przyjaciół. Chcę... chcę...

Miał już powiedzieć po staremu „dokonać zemsty”, ale po raz kolejny w ostatnim czasie zdał sobie sprawę, że poprzednia zapiekła nienawiść jakby w nim osłabła. Wciąż pragnął oczywiście pomścić bliskich, ale nie czuł już dzikiej wściekłości na myśl o potworze. Przysiągł na grobie ojca, że zgładzi Kruka i zamierzał tego dokonać, ale przecież nie tylko o to chodziło.

– Chcę, żeby już nikt nie musiał się bać – powiedział w końcu. – Żeby ludzie nie zadzierali z lękiem głów i nie patrzyli ze strachem w niebo tam, gdzie Żelazny Kruk właśnie grasuje. Żeby matki nie tuliły płaczących dzieci w ramionach, wiedząc, że za chwilę przyjdą siepacze bestii i zabiorą wszystkich w nieznaną dal. I żeby, idąc ku zagładzie, nie musiały patrzeć na porąbane ciała swoich mężów i synów, którzy odważyli się stanąć w ich obronie.

Tego pragnę. A dopóki potwór żyje, ktoś gdzieś zawsze będzie cierpiał. Zapewne mądrzej by było zaniechać sprawy, nie porywać się na potężnego przeciwnika. Tylko... – zawiesił na chwilę głos, zastanawiając się, jak ująć myśli w proste słowa. – Tylko gdybym się cofnął, chyba nigdy nie zaznałbym spokoju. Budziłbym się nocami i myślał o tym, czego nie zrobiłem, gdy mogłem chociaż spróbować.

Droin spojrział na siedzącego obok Galinga.

– Dobrze uczyniłeś, że ściągnąłeś mnie tutaj – powiedział. – Wybacz, że cię z początku ofukałem niby wściekły jeź. Miałeś słuszość, że tej sprawy nie da się omówić w klasztorze. Sild ver Malvar nie ma prawa wiedzieć, że Evah jest tutaj i co zamierza. Kto jak kto, ale on by go nie zlekceważył, nie miałby też względów na jego młody wiek.

Dopiero w tej chwili Evah zdał sobie sprawę, że przecież spotkanie z mnichem miało się odbyć dopiero za jakiś czas. Spojrział pytająco na przywódcę karłów. Galing oczywiście zauważył to spojrzenie.

– Widzisz, mój drogi – wyjaśnił – kiedy usłyszałem wczoraj twoją historię, uznałem, że koniecznie trzeba ci pomóc. Że to nie jest jakaś fanaberia młokosa czy szalony pomysł mistrza katowskiego. Dlatego skorzystaliśmy z pewnego przejścia, które znamy tylko my i najbardziej zaufani słudzy klasztoru, aby poprosić naszego drogiego gościa o rozmowę.

– A ja na początku posłałem ich do stworów Otchłani – dodał mnich – jednak potem pomyślałem, że kto jak kto, ale Galing na pewno ma ważne powody, aby narażać tajemnicę tego podziemnego korytarza. Dlatego jestem. Tylko że muszę tu zostać aż do zmroku, bo przyszedłem pod osłoną ciemności i nikt nie powinien widzieć, jak stąd wychodzę. Zapowiedziałem już furtianowi, żeby mnie dzisiaj nie wołać ani do spraw, ani do odwiedzających, ponieważ postanowiłem pościć i rozmyślać.

– Bardzo chętnie cię ugościmy choćby i cały rok – powiedział Galing.

Mnich skinął mu w podziękowaniu ręką i rzekł do Evaha:

– To, co przed chwilą powiedziałaś o pobudkach, dla których szukasz bestii, świadczy o prawdziwości słów piosenki. Można zdziwić się niezmiernie, że nie jesteś taki młody. Mam nadzieję, że się co do ciebie nie mylę.

Porozumiał się wzrokiem z Jakubem. Evah miał wrażenie, że ci dwaj znają się lepiej, niż to wygląda na pierwszy rzut oka.

– Dobrze więc. – Droin odchylił się na oparcie, przymknął oczy. – Skoro Szatri cię do mnie przysłał i skoro poznałeś Verdiga, a on nie zniechęcił cię do tej sprawy, chociaż trzeba być niespełna rozumu, aby wdawać się w taką awanturę, chyba muszę ci zaoferować pomoc.

– Dziękuję – szepnął Evah. Do tej chwili nie był pewien, czy mędrzec zechce mu udzielić wskazówek. – Doceniam to.

– Mam nadzieję. – Droin otworzył oczy i uśmiechnął się. – Ale na razie może zjemy śniadanie. Dawno nie miałem okazji spróbować kuchni moich małych przyjaciół, a klasztorne posiłki to prawdziwe wyzwanie zarówno dla podniebienia, jak i mocy zębów.

– Zaraz wydam dyspozycje. – Galing zeskoczył ze zbyt wysokiego dlań krzesła i udał się do kuchni.

– I niech przyniosą nam carrelonu! – zawołał za nim mnich.

– Oczywiście – odpowiedział gospodarz.

W tej chwili do komnaty wszedł Mavaren. Na widok gościa skłonił się lekko, spojrzał zdziwiony na Evaha i Jakuba. Ziewnął, zakrywając dłonią usta.

– Ktoś mówił o carrelonie? – spytał, wyraźnie podekscytowany. – To i ja się przyłączę. Ech, gdybym poznał wcześniej ten napój, z pewnością nie dostałbym się w szpony nałogu.

Droin zerknął na księcia i skrzywił się lekko.

– Nadmiar tego napitku również nie jest zbyt zdrowy – powiedział pouczająco. – Wszystko w nadmiarze szkodzi.

– Powiedz to tym dwóm. – Mavaren wskazał ruchem brody najpierw Evaha, a potem kata.

– Obaj cierpią na nadmiar odwagi i szlachetności. To bardzo niebezpieczne. Śmiertelnie nawet.

– A ty nie cierpisz na takie przypadłości? – spytał Droin.

– A ja, wyobraź sobie, że nie, święty mężu, bo chyba jesteś mnichem? – Kiedy mędrzec potwierdził, mówił dalej. – Ja nie. Gdybym nie przysiągł bratu, że nie porzucę tego chłopaczka bez naprawdę ważnego powodu, już by mnie nie widzieli. Siedziałbym sobie w jakiejś miłej karczmie i popijał miody w zacnym towarzystwie. Albo i mniej zacnym – dodał po chwili. – Wszystko jedno.

Droin zlustrował go przenikliwymi oczami, aż Mavaren zaczął się kręcić niespokojnie. Wprawdzie próbował odpowiedzieć mnichowi zuchwałym spojrzeniem, jednak natknął się na prawdziwą stal.

– Wytrwasz? – zapytał surowo mędrzec.

– Staram się – wymamrotał Mavaren. – Ale nie jest łatwo. – Popatrzył w oczy mnichowi i dokończył z całkowitą szczerością: – Pał licho, kiedy idziemy przez pustkę, bo tam i tak nie ma czego się napić. Ale w mieście... O niczym innym nie umiem myśleć, tylko o zajazdach, oberżach i tawernach, od których się dookoła roi. Gdyby nie carrelon, pewnie byłoby mi jeszcze gorzej.

Droin nadal przyglądał się księciu, ale teraz z większą sympatią.

– Każdy z nas musi wcześniej czy później zapłacić za błędy i grzechy – rzekł. – Każdy niesie na barkach ciężar złych uczynków. Wytrwaj, jeśli potrafisz.

– Postaram się... – Mavaren wyglądał teraz jak mały chłopiec, który słucha dobrych rad mądrego dziadka. Ale zaraz wyprostował ramiona, na jego obliczu zagościł zwyczajny wyraz lekkiej arogancji. – Nie mówmy teraz o tym. Napijmy się carrelonu!

Właśnie wszedł ubrany na biało karzeł, niosąc parujący dzban, a za nim kroczył podkuchenny z kubkami.

– Wiesz, dlaczego najsmaczniejsza jest kuchnia u żebraków? – Droin spojrzał na Evaha.

Chłopiec rozłożył bezradnie ręce. – Bo kiedy są naprawdę biedni, muszą gotować z tego, co mają, a ponieważ człowiek lubi zjeść smacznie niezależnie od okoliczności, starają się bardziej niż inni, żeby byle co zamienić w dobrą potrawę. Tym bardziej jeśli już nie muszą trząść się nad każdym składnikiem, wyczarowują prawdziwe cuda.

– Wiele w tym prawdy – zaśmiał się Galing, który wszedł właśnie do sali.

– Może to dlatego powiadają, że głód jest najlepszym kucharzem? – spytał Evah.

– W tym powiedzeniu chodzi chyba o coś trochę innego – odparł Galing i zdziwiony spojrzał na Mavarena, który roześmiał się głośno. – Powiedziałem coś śmiesznego?

– Ty nie, czcigodny. Ale wyobraziłem sobie jęczenie Kellana, gdyby usłyszał, jak jego kompan znów wyciąga z rękawa mądrość ludową.

Droin i Galing przyglądali się księciu bez zrozumienia, aż wreszcie Jakub wszystko im wyjaśnił.

– Cóż, przysłowia są przydatne – rzekł mnich. – Oczywiście jeśli człowiek ma świadomość, czego naprawdę dotyczą.

Evah zaczerwienił się lekko. Wiedział, że ostatnia mądrość nie bardzo pasowała do sytuacji, ale nie potrafił się powstrzymać przed jej wygłoszeniem. Przeleciało mu przez myśl, że Kellan może mieć trochę racji, utrzymując, że jest nieznośny z tymi powiedzeniami.

– No dobrze – rzekł mnich. – Zjemy teraz, a potem chcę porozmawiać w cztery oczy z naszym młodym mścicielem.

Rozdział 14

Rovilla czy Cellara?



Przemykali się uliczkami w ciemnościach, rozjaśnianych jedynie przez ślepą latarnkę, którą niósł ich przewodnik. Evah bardziej wyczuwał, niż widział przed sobą Grzywę, który podążał tuż za karłem o przezwisku Grzmot.

Tej nocy, na godzinę przed świtem, do drzwi załomotali zbrojni. Galing przybiegł do pokoju chłopców i kazał im iść za sobą. Powiedział, że to ludzie szambelana da Revina. Wielki pan na pewno dowiedział się w jakiś sposób, że Jakub gości w mieście i chce go zabrać.

Wszyscy podróżnicy zebrali się w doskonale znanej sobie sali. Jakub był najzupełniej spokojny, chociaż o jego głowę tutaj szło. Chłopcy już wiedzieli, dlaczego szambelan i ochmistrz pana ver Malvara tak bardzo pragnęli go dopaść. Odmówił wykonania wyroku śmierci na jakimś nieboraku, którego oskarżono o oszustwo, ale kat był przekonany, że ten człowiek jest niewinny. Co więcej, nie tylko nie ściął mu głowy, ale pomógł w ucieczce prosto z szafotu. Poturbował przy tym kilkunastu pachołków miejskich i strażników, którzy chcieli zastąpić mu drogę.

– Dziwny z ciebie kat, mistrzu – zauważył Kellan.

– Karę powinni ponosić jedynie ci, którzy na nią zasługują – odrzekł Jakub. – Jeśli są jakiegokolwiek wątpliwości co do winy, należy człowieka uwolnić. Lepiej darować wolność i życie winnemu, niż skrzywdzić niewinnego.

– Istotnie dziwak z ciebie, mistrzu – powiedział Mavaren. – Ale tych zbójów u mojego brata byś oprawił?

Jakub wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Musiałbym się najpierw dogłębnie zapoznać ze sprawą. Jak przypuszczam, zasłużyli na karę, skoro Leonor ich uwięził. Nie wiem tylko, czy aby na pewno chciał ich zgładzić, czy raczej poradził władcy, aby głupców dobrze nastraszyć, tak jak to w końcu książę miał zrobić.

Mavaren przyszedł do komnaty jako ostatni. Rozejrzał się po obecnych.

– Tośmy się naodpoczywali – zauważył sarkastycznie. – Ktoś musiał nas zdradzić.

– Nie ma czasu na rozmowy – burknął Galing. – Znajdę tego, co ma za długi jęzor i porozmawiam z nim po swojemu. A wy umykajcie!

Zebrali się w mgnieniu oka i w ślad za przewodnikiem weszli do podziemnego tunelu. Kiedy zamykali za sobą drzwi, Galing już wpuszczał intruzów. Nie mógł sobie pozwolić na zbyt długą zwłokę, żeby nie ściągnąć na dom gniewu szambelana, a co za tym idzie, samego władcy Malbarii.

Grzmot wyprowadził ich na świeże powietrze po niedługim czasie, a potem kazał iść za sobą. Nie mogli opuścić miasta przez którąś z bram, gdyż wszystkie były już zamknięte, a poza tym na pewno strażnicy zostali uprzedzeni o ich obecności.

– Jest takie miejsce pod murem – rzekł przewodnik, zatrzymując się w jakimś zaułku. Evah zupełnie nie wiedział, gdzie są, podobnie jak wszyscy pozostali. – Wydrążono je dla naszego wzrostu, ale wszyscy jesteście szczupli, więc się jakoś przecisnąć. Tylko tam może być sporo szczurów. Nawet bardzo dużo... Nie wiem, czy dacie radę.

– Szczurów? – pisnęła Rovilla. – To okropne! Szczury roznoszą choroby.

– Wziąłem coś na odstraszenie – powiedział Grzmot z westchnieniem – ale nie wiem, czy zadziała. Ostatnio jeden z naszych wrócił okropnie pogryziony, dostał gorączki i ledwie go medyk odratował. Ja bym tam nie laźł, ale skoro czcigodny kazał was tu przyprowadzić, widać miał w tym jakiś cel.

Evah wzdrygnął się. Szczury. W wiosce mieli raz plagę tych zwierząt, ledwie się ich pozbyli. Widział też te stworzenia przemykające w pobliżu rynsztoków w Salmarze.

– Nie potrzeba żadnych odstraszcaczy – powiedział spokojnie Jakub. – Tylko by rozdrażniły zwierzęta. Galing naprawdę nic ci nie mówił?

– Niewiele zdążył powiedzieć – mruknął Grzmot. – Trochę nam się śpieszyło, jeśli raczyłeś zauważyć.

– Prowadź!

Karzeł ruszył dalej, przeszli kilkaset kroków, zanim wyrósł przed nimi miejski mur.

– Tutaj... – Grzmot rozejrzał się, postawił latarnię przy sporym kamieniu.

Przesunął dłonią po ścianie, nacisnął, potem drugą ręką namacał coś niżej i zrobił ruch, jakby ciągnął za dźwignię. Evah zobaczył, że tuż nad samą ziemią coś się przesuwa.

W mdłym świetle ślepej latarni ukazał się niewielki otwór. Grzmot miał rację – nadawał się dla karłów, ludzie zwykłego wzrostu musieliby prawie pełzać. W dodatku rozległ się wstrętny pisk. Rovilla krzyknęła ze strachu.

– Ja tam nie wejść!

Szczurom to miejsce musiało się wydawać czymś niesłychanie rozkosznym. Wilgoć, spływające z wodą odpadki, bezpieczna ciemność.

– Nie lepiej by było wyleźć którymś z odpływów na błonia? – W głosie Mavarena też dały się wyczuć strach i wstręt.

– Nie – odparł Grzmot. – Tamte miejsca są zabezpieczone kratami z obu stron, w dodatku czuwają przy nich warty. Inaczej wchodziłby do miasta i wychodził kto tylko chce, byle nie padał deszcz.

– No tak – mruknął książę. – Nie pomyślałem o tym. Ale jak mamy niby przedrzeć się przez to szczurowisko?

– Bądźcie cicho – powiedział Jakub.

Sięgnął do torby, wyjął z niej jakiś podłużny kształt, jakby krótki kij. W marnym świetle Evah nie potrafił rozpoznać, co to jest. Dopiero kiedy kat przyłożył go do ust i zabrzmiał pierwszy dźwięk, chłopiec odgadł, że to jakaś fujarka. Nie, nie fujarka! Ton był zbyt delikatny, miękki, nie wcinał się w uszy przykrym pogłosem.

– Na muzykowanie ci się zebrało? – zdumiała się Rovilla, jednak zamilkła, bo Kellan ścisnął ją za rękę.

Dziewczyna jeszcze nie przyzwyczała się do niezwykłości kata, którą pozostali mieli już za coś powszedniego.

Zabrzmiały tony pięknej, choć smutnej melodii. Jakub grał cicho, ale bardzo czysto, nie dało się usłyszeć najmniejszego fałszu. Piski i szamotanina w otworze ucichły. Evah ze zdumieniem patrzył, jak z przejścia wychodzą szczury. Najpierw ukazał się jeden ruchliwy pyszczek, nos węszył na wszystkie strony, potem następny, wreszcie wokół grającego zaroilo się od małych stworzeń. Otoczyły go kręgiem, przysiadły nisko. Ich sierść lśniła mętnie, a ponieważ nad światem wschodził poranek, widać było już więcej niż do tej pory.

Rovilla cofnęła się kilka kroków, Grzywa podążył za nią, chociaż sam był bardziej zaniepokojony niż przestraszony. Szczury tymczasem słuchały tęsknej melodii. Evah w pewnej chwili ze zdumieniem zauważył, że zgodnie kiwają na boki łebkami w takt muzyki.

– Witajcie, mali bracia. – Jakub oderwał flet od ust. – Przyprawdźcie do mnie waszego władcę. – Znow zaczął grać, tym razem inną melodię, również tęskną, ale bardziej uroczystą.

Zwierzęta na chwilę zamarły, a potem zakotłowały się, kilka pobiegło do otworu. Po chwili ukazał się w nim szczur większy od innych. Ogromny. Evah zadrżał, kiedy szczurzysko obrzuciło go czujnym spojrzeniem. Zaraz jednak przeniosło uwagę na Jakuba.

A kat przestał grać, sięgnął do torby i wyjął krótkie wąskie ostrze. Szczur patrzył czujnie,

jak człowiek zdejmuje rękawiczkę, przykładając klingę do dłoni skóry i tnie ją oszczędnym ruchem.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Mavaren, ale ucichł, bo Evah trącił go w łokieć.

Jakub wpatrywał się prosto w oczy króla szczurów. Zwierzę węszyło, zdawało się bardzo podekscytowane. Kat przykucnął, wyciągnął w jego stronę krwawiącą dłoń. Szczur podszedł, powąchał skórę i polizał ranę.

– Zarazisz się czymś! – zaprotestowała Rovilla.

– Bądź cicho! – fuknął na nią Grzmot. – Już wiem, co on robi! Galing opowiadał o takim, co potrafi ujarzmić szczury, tylko nie wiedziałem, że to właśnie on...

Przez długą chwilę kat i król szczurów patrzyli na siebie. Evah potrząsnął głową, widząc, jak z rany na dłoni kata przestaje lecieć krew. Zupełnie jakby cięcie zaczęło się już goić. Nie dostrzegł jednak nic więcej, bo Jakub naciągnął rękawiczkę.

– Przyjąłeś ofiarę mojej krwi, mały bracie – rzekł wreszcie mistrz małodobry. – Czy pozwolisz mi przejść?

– I co, on niby rozumie, co mówisz? – prychnął Mavaren. – Przecież to tylko głupi zwierzak!

– Nie wiem, czy rozumie – odrzekł Jakub spokojnie. – Ale na pewno czuje. A takie czucie jest ważniejsze od wiedzy. Tylko że jest bardzo nieufny. Musiał zaznać wielu krzywd.

Wielki szczur cofnął się, wskoczył na kamień i potoczył wzrokiem po stłoczonych pobratymcach. Evahowi zdawało się, że słyszy coś jakby niesłychanie wysoki pisk, ale nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Jakub znów przyłożył flet do ust. Teraz melodia była o wiele weselsza, bardziej skoczna. Szczury zamarły, a potem... Zaczęły pisać w rytm muzyki. Evah przetarł oczy. Król gryzoni zmrużył powieki z wyraźnym zadowoleniem, zeskoczył z kamienia i przyłączył się do piasów.

– Przechodźcie – rzucił Jakub kącikiem ust, nie przerywając melodii. – Ja pójdę na końcu.

– Ale... – zaprotestował Evah.

– Mnie nic nie zrobią – warknął kat. Chłopiec nie miał pojęcia, jak to możliwe, że mistrz mówi, grając jednocześnie. – Idźcie już! Ledwie udało mi się je obłaskawić. Wyjątkowo nie lubią ludzi.

Evah nie dyskutował dłużej. Dopilnował, żeby wszyscy wcisnęli się w przejście, a potem wyciągnął rękę do Grzmota.

– Dziękuję za wszystko. Pozdrów czcigodnego Galinga.

– Mam nadzieję, że znalazł już zdrajcę – odpowiedział karzeł, ściskając rękę Evaha. – Też chcę mu spojrzeć prosto w oczy, zanim pójdzie na wieczne wygnanie.

Chłopiec pomyślał, że co jak co, ale odwaga i nieustępliwość nie jest na pewno kwestią wzrostu, po czym zanurkował w przejście. Przeciskając się przez wąski korytarz, musiał posuwać się na kolanach, miejscami nawet czołgać, odpychać od ścian i podłoga rękami oraz nogami. Nawet dla karłów musiało tu być wąsko. W pewnej chwili dźwięki fletu ucichły, za

to rozległ się chrobot, a potem piski szczurów. Kat wcisnął się do przejścia, a oszołomione muzyką zwierzęta zaczęły odzyskiwać zmysły.

Do uszu chłopca doleciał głośny, niższy od innych pisk i Evah zrozumiał, że to władca szczurów dał rozkaz do ataku, zaraz też rozległy się liczne wysokie piśnięcia.

Evah przyspieszył. Nie chciał, żeby dopadła go szczurza wataha, zanim wydostanie się z wąskiego tunelu. Nie miałby się nawet jak bronić. Ale zaraz się uspokoił. Z tyłu bowiem dobiegł głos Jakuba. Kat przemawiał łagodnie, piski cichły, po chwili zapadła cisza.

Chłopiec po kilku chwilach wydostał się na zewnątrz. Przez cały czas myślał o Jakubie. Kim był ten człowiek? Jeśli w ogóle można go nazwać człowiekiem. Bo przypominał bardziej istotę nie z tego świata, równą mocą i wiedzą Przodkom, może nawet Przedwiecznym.

– Na bogów – wymamrotał Kellan, kiedy Evah wstał i odetchnął głęboko. – Co to było?

– Mnie nie pytaj – odpowiedział syn myśliwego. – Ale bardzo chciałbym wiedzieć. Kto to słyszał, żeby zaczarować szczury muzyką? A potem ujarzmić je samym głosem...



Minęli już osiedla rozłożone na podgrodziach i stojącą na ich skraju ogromną kuźnię. Evah był przekonany, że to jakiś niesłychanie rozległy zajazd albo nawet podmiejski dwór dostojnika, ale z wewnątrz rozlegały się dźwięki, których próżno by się spodziewać we wspomnianych miejscach.

– To posiadłość mistrza cechu płatnerzy – wyjaśniła Rovilla. – Tutaj wykuwa się najlepsze pancerze w całym księstwie, a może nawet w całym cesarstwie. Pracują tu również miecznicy, hełmiarze i nożownicy.

Evah wprost nie mógł w to uwierzyć, myślał nawet, że dziewczyna sobie z niego podkpiwa, ale Jakub potwierdził jej słowa. I nie było to jedyne miejsce w Malbarii, gdzie wykuwano zbroje i oręż. Zapotrzebowanie istniało ogromne, a właśnie to księstwo słynęło ze znakomitych wyrobów. Według szacunków kata, w samej Sevli i okolicach pracowały dziesiątki rzemieślników.

– Czy tutaj wykuto twój miecz? – zapytał chłopiec.

– Nie. On pochodzi z innego miejsca i innych czasów. Tak znakomitej stali próżno by szukać dzisiaj na całym świecie.

Evah w sumie powinien oczekiwać podobnej odpowiedzi, bo w końcu mistrz małodobry był pełen niespodzianek, ale i tak go zaskoczyła.

– A chociaż ty jesteś z tego miejsca i z tych czasów? – burknęła dziewczyna.

Jakub nie odpowiedział, spojrzał tylko na nią przeciągle, aż umilkła.

A potem poszli dalej, mając z prawej strony i nieco z tyłu wschodzące słońce. Evah

z pewną niechęcią pomyślał, że czeka ich jeszcze sporo drogi, zanim dotrą do celu, ale pocieszał się tym, że znał już ten cel. A przynajmniej tak mu się zdawało, skoro otrzymał wskazówki od Droina Mądrego.

Słońce wspinało się coraz wyżej, grzało wędrowcom plecy, co przyjmowali z wdzięcznością, pamiętając jednak, że w pewnej chwili zaczną to samo słońeczko przeklinać za zbyt gorąco. Z drugiej strony, po ciemnej szurzej norze, przez którą się przeciskali, wszystko wydawało się lepsze, byle było jasne, ciepłe i bezpieczne.

– Idź trochę szybciej – napomniał Mavaren dziewczynę. – A jeśli tak trudno opuszczać ci rodzinne strony, możesz zostać.

– Zostałabym, żeby tylko na ciebie nie patrzeć – odgryzła się – ale nie bardzo mogę. Jeśli słuchałeś mojej opowieści, powinno coś zaświtać w tej zakutej książęcej głowie.

– Gdybyś była taka mądra, jak pyskata, nie musiałabyś uciekać.

– Gdybyś był taki dzielny, jak głupi, zostałbyś bohaterem starożytnych legend.

Rozmawiali tak przez chwilę, nie pozwalając się jedno drugiemu zagnać w kozi róg, i pewnie trwałoby to jeszcze dłużej, gdyby nie przerwał im Grzywa.

– Wy tu się przekomarzacie, a ktoś za nami pędzi! – powiedział nagle. Tym razem zamykał pochód, więc co jakiś czas przystawał i spoglądał za siebie.

Rzeczywiście, Evah też dostrzegł ciemne punkciki, które wyłoniły się zza odległego zakrętu.

– Jeźdźcy – mruknął Mavaren. – Nam też przydałyby się konie. Mogliśmy wziąć jakieś ze stajni twojego ojca – rzucił do Rovilli.

– Wątpię, żebyś dał radę utrzymać się na którymś dłużej niż trzy uderzenia serca – odparła. – To mądre zwierzaki, nie dają się dosiadać byle komu...

– Zamilczcie już! – zawarczał Grzywa. – Gotowi jesteście dać się posiekać na plasterki, byle tylko dopiec sobie nawzajem!

Rovilla otworzyła usta, żeby odpłacić się Kellanowi jakąś złośliwością, ale Evah nie dał jej dojść do słowa.

– Grzywa ma rację! Zamknijcie usta. Nie uciekniemy tutaj konnym, nie mamy też gdzie się schronić, bo dookoła tylko łąki i jakieś niewielkie zagajniki. Musimy ich przyjąć na tej drodze.

– Pewnie chcę mnie dopaść – odezwał się Jakub. – Wy idźcie, ja ich zatrzymam. A przynajmniej opóźnię.

– Chyba zgłupiałeś! – wykrzyknęli jednym głosem Evah i Grzywa. Spojrzeli na siebie, a potem mówił już tylko Evah. – Nie zostawiamy towarzyszy w potrzebie.

– Mów za siebie – burknął Mavaren, ale skarcony wzrokiem obu chłopców, tylko machnął ręką. – Ależ mnie braciszek w towarzystwo wpakował...

– Idziemy dalej, jakby nic się nie działo – zdecydował Evah. – Może to nie nas ścigają.

– Wątpię – mruknął Kellan. – Czuję mrowienie z tyłu głowy, a to zawsze oznacza

kłopoty.

– Evah dobrze mówi – poparł chłopca Jakub. – Kto wie? Jeśli przystaniemy, będzie to bardzo podejrzane. Dopiero kiedy zbliżą się na strzał z łuku, zejdziemy im z traktu na pobocze, żeby zrobić drogę.

Jeźdźcy nadjechali bardzo szybko. Musieli pędzić ile sił w koniach, a to oznaczało, że nie wybierają się daleko, bo wówczas bardziej by oszczędzali zwierzęta. Niemniej wędrowcy zeszli z ubitego gościńca, przystanęli.

– Stać, stać! – wrzasnął niepotrzebnie jadący na czele człowiek w pomarańczowo-zielonej tunice z amarantowymi wyłogami. Pozostali również nosili podobne barwy. Evah pomyślał, że można od tego dostać paskudnego oczopląsu.

– Przecież stoimy, durniu – syknął Mavaren.

– Nie odzywaj się – ostrzegł go Jakub. – Za prędki masz język, wasza wysokość, możesz nam tylko narobić kłopotów.

– Jak każesz... mistrzu – odparł książę. – Zresztą, nie mam wcale ochoty na rozmowę z jakimiś pacholkami.

– Właśnie o tym mowa. – Evah trącił lekko Mavarena w łokieć. – Naprawdę milcz, książę. Mavaren wzruszył tylko ramionami.

– Stać! – zawołał jeszcze raz dowódca. Towarzyszyło mu ośmiu ludzi i wszyscy byli przy mieczach, spod tunik połyskiwały oczka kolczug.

– No powiedzcie sami, czyż nie dureń? – wycedził kącikiem ust książę. – Dobrze, już nic nie mówię.

Jeźdźcy powstrzymali wierzchowce, przeszli z galopu w kłus, potem w stępa, otoczyli gromadkę wędrowców ze wszystkich stron.

– Czego chcecie od spokojnych pielgrzymów? – zapytał Evah. Obawiał się na początku, że głos mu będzie drżał, bo odczuwał pewną obawę przed starciem z najwyraźniej doskonale wyćwiczonymi i doświadczonymi ludźmi, ale okazało się, że mówi zupełnie spokojnie.

– Nie zamierzam rozmawiać ze szczeniakami! – warknął dowódca konnych. – W ogóle nie zamierzam rozmawiać! Powiem krótko. Jest wśród was ktoś, kogo chcemy zabrać z powrotem do stolicy i zabierzemy po dobroci lub siłą.

Wbrew oczekiwaniom i ku zaskoczeniu wędrowców, wygłaszając te słowa, zbrojny nie patrzył na Jakuba, tylko na Rovillę. Kellan pierwszy zrozumiał, o co chodzi. Wysunął się przed dziewczynę, spojrzał żołnierzowi wyzywająco prosto w oczy. Zbrojny zmarszczył brwi i napał koniem na Grzywę. Ten odepchnął mocno kark zwierzęcia, zmuszając je do cofnięcia się o krok.

– Zważaj, co czynisz! – wysyczał jeździec. – Bo posmakujesz żelaza, pętaku!

– To nie mnie szukacie? – Jakub zbliżył się do dowódcy. – Nie po mnie przysłano żołnierzy do domu karłów?

Jeździec spojrzał na niego i potrząsnął głową.

– Pan kazał przyprowadzić pannę Cellarę. O żadnych oberwańcach nie było mowy.

Zapanowało milczenie. Zarówno wędrowcy, jak i jeźdźcy zrozumieli w jednej chwili, że coś tu się bardzo nie zgadza.

Do dowódcy zbliżył się jeden z żołnierzy, szepnął mu coś na ucho.

– Zaraz, zaraz... – Mężczyzna przyjrzał się uważnie Jakubowi, spojrzął na żołnierza. – Tivar, jesteś pewien?

– Jakże inaczej! – oburzył się zbrojny. – Zapamiętałem doskonale, kto mi wybił trzy zęby i złamał rękę! Rovalowi i Keverowi nadwerekzył żebra, Massin zaś dwa tygodnie leżał bez sił, a przecież ten tutaj tylko go dotknął. – Wskazywał po kolei wymienianych towarzyszy, a ci krzywili się boleśnie na wspomnienie. – Widziałeś zresztą kiedyś, sierzancie, innego cudaka, co by się tak odziewał? Trzeba na niego mocno uważać.

– Nie miałem sposobności dokładnie mu się przyjrzeć – odparł dowódca. – Nie było mnie wtedy w mieście. Ty jesteś Jakub, zwany też Serimem? Mistrz małodobry? – zwrócił się do kata.

– Dla ciebie tylko Serim – powiedział spokojnie Jakub. Stojąca za nim dziewczyna głośno wciągnęła głębiej powietrze.

– Będę cię nazywał, jak chcę – warknął sierżant. – Widzę, że upieczemy dwie sztuki mięsa na jednym rożnie. – Brać ich!

Wędrowcy wydobyli broń i zbili się w grupkę, zasłaniając Rovillę-Cellarę. Ale jeźdźcy nie śpieszyli się do walki.

– No już! – wrzasnął dowódca. – Brać ich! Kapralu Tivarze!

Trzech jeźdźców ruszyło ku gotowej do walki grupie, ale ten zwany Tivarem powstrzymał ich gestem.

– Za mało nas – orzekł. – Wtedy był sam, w dodatku włókł za sobą skazańca, a urządził nas tak, że niech się Przedwieczni zmiłują. A teraz ma jeszcze tych tutaj. Nie wyglądają na zbytnio grzecznych. Osobliwie ten z łukiem.

– Tchórze! – sierżant już nawet nie wrzeszczał, tylko ryczał niczym ranny bawół. – Szambelan was wyrzuci ze służby! Nigdzie się nie zaciągniecie, ani w Malbarii, ani w pogranicznych prowincjach!

– Za to będziemy mieć całe gnaty – zauważył żołnierz zwany Keverem. – Ja tam się z tym demonem drugi raz bić nie zamierzam.

Ci, którzy nie mieli do tej pory styczności z Jakubem, popatrywali na siebie niepewnie.

– Po sztuce srebra na głowę dla tych, co się odważą dać po łbie temu przeklętnikowi! – zaproponował sierżant.

To przekonało trzech niezdecydowanych. Zeskoczyli z koni, wiedząc, że jeśli zaatakują z sodeł, tylko będą sobie przeszkadzać, i wydobyli miecze. Jakub dał znak towarzyszom, żeby pilnowali dziewczyny. Evah spojrzął pytająco, ale mistrz potrząsnął głową, że nie trzeba mu pomagać.

I rzeczywiście, wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Evah był już przygotowany na to, że Jakub jest szybszy od błyskawicy, ale i tak ledwie dostrzegał, co się dzieje. A małodobry nawet nie dobył miecza. Zawirował między zbliżającymi się żołnierzami, po czym jeden przyklęknął na kolano, drugi chwycił się za rękę, a trzeci padł na ziemię, trzymając się za policzek. Chłopiec zauważył tylko, jak palce kata dotykają tych ludzi właśnie w te miejsca. Jęknęli wszyscy jednym głosem, jeśli nie jednocześnie, to w tak krótkich odstępach, że rozległ się zgodny chórek.

– Mówiłem – powiedział Tivar. Zwrócił się do pozostałych. – Znajdzie się jeszcze ktoś tak głupi?

– Na wszystkie biesy i demony! – Sierzant odzyskał wigor. – Brałem udział w czterech wielkich bitwach i dwudziestu siedmiu srogich potyczkach! Byłem ranny osiem razy, w tym raz mało nie skończyłem! Poradzę sobie i z takim charakternikiem!

Znienacka ściągnął cugle, zmusił konia, żeby stanął dęba, obrócił go w stronę kata. Wierzchowiec zamłócił kopytami, najwyraźniej nauczony takiego sposobu walki, ale nie trafił w głowę Jakuba, choć niewiele brakowało. Evah nie baczył już na nic. Skoczył naprzód, uwiesił się wodzy, zmusił konia, aby opadł na przednie nogi. Chłopiec przypłacił to mocnym uderzeniem w pierś, odcoczył się, ale zaraz wstał, choć czuł ból w ramieniu i żebrach. Tymczasem kat był już przy jeźdźcu. Trącił go w kolano, a tamten zawył z bólu i mimowolnie pochylił się na bok. W następnej chwili siedział już na ziemi, a Jakub odstąpił dwa kroki.

– To nie koniec! – krzyknął sierżant.

Wstał, ale noga od razu się pod nim ugięła. Wsparł się na mieczu.

– Co mi zrobiłeś?!

– Do jutra minie – odparł Jakub. – Albo pojutrze. Wystarczy tego dobrego, odjeżdżaj ze swoimi.

Ale sierżant nie zamierzał kapitulować. Zaklął paskudnie i rzucił się z mieczem na Jakuba. Mimo kontuzji kolana, wywijał klingą bardzo sprawnie. Dopiero teraz ostrze Jakuba opuściło z sykiem pochwę. Mistrz zablokował cios, wykonał krótki ruch, zawinął ręką, zbliżył się do przeciwnika i odchylił się w bok, kiedy tamten próbował ugodzić go pięścią. Pociągnął sierżanta na siebie, zmusił do pochylenia się, a potem lekko dotknął go za uchem.

Doświadczony żołnierz runął na ziemię jak długi i znieruchomiał.

– Zabiłeś go? – spytał Kellan z nadzieją.

– A po co? – Jakub nawet się nie zasapał. – Nie przybędzie na świecie rozumu, jeśli umrze jeden głupiec.

Zapanowała cisza. Jeźdźcy i wędrowcy patrzyli na siebie w milczeniu. Ci, których Jakub powalił przedtem, już wdrapywali się nieporadnie na siodła. Tivar dał znak i po chwili zamiast otaczać grupkę, ustawili się naprzeciwko niej w szeregu.

– Załadować dowódcę na siodło! – huknął. – To dobry wojak, chociaż rozsądkiem nie

grzeszy.

Znów zapanowało milczenie.

– Posłuchajcie – rzekł wreszcie kapral. – Nic do was nie mamy. Pan nie wiedział nawet, że jest z wami Semir. Wtedy wysłałby w pościg nie nasz oddziałek, tylko połowę straży z miasta i pewnie paru przybocznych jego wysokości ver Malvara. Ale dobrze by było, gdybyście oddali nam panienkę Cellarę. Ojciec się za nią stęsknił.

– Nie pozwólcie! – zawołała błagalnie dziewczyna. – Opowiadałam wam przecież, macocha wreszcie mnie zabije! A ojciec teraz za karę zamknie na długo w jakiejś ciemnicy i będzie jej nawet łatwiej.

– W ciemnicy może nie – sprostował Tivar. – Ale w jakiejś komnacie na pewno i na długo. Bardzo się rozgniewał waszą ucieczką, panienko.

– Tivar, wiesz, jak jest teraz w pałacu – powiedziała Rovilla-Cellara.

– Wiem – zgodził się. – Oni też wiedzą. – Wskazał towarzyszy. – Nawet sierżant wie, chociaż głupi. Ale wasza macocha chyba już się nie odważy...

– Odważy się! – przerwała mu dziewczyna. – A ojciec po mnie tylko krótko zapłacze. Jeśli w ogóle...

– Tak będzie lepiej dla...

– Nie! – Kellan wtrącił się do rozmowy. – Ona nigdzie nie pójdzie!

Tivar spojrział na Evaha, a ten pokręcił głową, przeniósł więc spojrzenie na Mavarena. Książę tylko wydał wargi i lekko prychnął.

– Ciebie nawet nie pytam, mistrzu Semirze – westchnął żołnierz. – No to się nasz pan nie ucieszy... I pewnie wyśle za wami następny pościg.

Jakub rozłożył ręce.

– Mądry z ciebie człowiek, Tivarze – powiedział. – Żałuję, że cię wówczas nadwerężyłem. Ciebie i innych. Nie daliście mi jednak wyjścia.

– Nie mam żalu! – zaśmiał się kapral. – Tak to jest w bitce, że jak człowiek przyniesie do niej własny łeb, musi się pogodzić z tym, że po nim oberwie. – Spoważniał. – A tak naprawdę, powinniśmy ci dziękować.

– Dziękować, że was obił? – zaśmiał się Mavaren.

– A tak – wtrącił się Kever. – Bośmy niedługo później siedzieli w karczmie przy piwie i o tym rozprawiali. Przecież ten człowiek mógł nas pozabijać. Może nie wszystkich, ale na pewno dobrą połowę. Zamiast tego, owszem, połamał nam to czy owo, zęby policzył, żeber namacał, jednak nikt nie zginął. A przecież to kat!

– Właśnie – poparł podwładnego Tivar. – Gdyby chciał, byłoby po nas, a już na pewno po mnie. Cóż, skoro nie oddacie nam panienki, będziemy się zbierać. Wy tam! Pilnować, żeby sierżant z siodła się nie zsuwał!

– Bywajcie – powiedział Jakub.

Evah wystąpił krok naprzód. Tivar spojrział na niego pytająco.

– Mam prośbę, panie kapralu – powiedział cicho.

– Tivar mam na imię – mruknął podoficer, podjechał bliżej do chłopca, pochylił się w siodle. – Ktoś, kto potrafi się rzucić na takie podłe rozszalałe konisko, może mi mówić po imieniu.

– W takim razie mam prośbę, Tivarze – rzekł Evah.

– Słucham. Jeśli tylko zdołam ją spełnić i nie każesz mi złoić biczem szambelanowej, mogę to i owo rozważyć.

– Możesz się nie spieszyć zbytnio do Sevli?

Tivar zaśmiał się tubalnie, a Evah, stojąc na ziemi, mógł dokładnie zobaczyć, których zębów pozbawił go niegdyś Jakub.

– Nie możemy się nawet śpieszyć! – odparł. – Mamy przecież poważnie rannego dowódcę. Wy tam! Jak przytrzymujecie sierżanta! Prawie zleciał! Zaraz go będziecie nieśli na własnych plecach!

Żołnierze spojrzeli zdumieni, bo sierżant bardzo stabilnie spoczywał przewieszony przez koński grzbiet.

– Patałachy! – rugał ich dalej kapral. – Będziemy się wlec jak za pogrzebem, a pan szambelan tam czeka na wieści!

– Mogę skoczyć przodem – zaoferował się jeden z młodszych żołnierzy.

– Ja ci skoczę przodem, ja ci skoczę! – zagrmiał Tivar. – A jak nas ktoś napadnie?! Trzech nie może się bić, dowódca nieprzytomny, a ty chcesz porzucić towarzyszy w potrzebie i uciekać z podkulonym ogonem?! Wstyd!

– Ale kto nas może tutaj napaść? – zdumiał się młodzik. – Przecież...

Kapral nie dał mu dokończyć.

– Nigdy nic nie wiadomo! Jak tutaj jechaliśmy, spodziewałeś się, że twoich druhów spotka coś takiego? – Wskazał na krzywiących się z bólu trzech śmiałków. Nie? Właśnie. To przestań się mądrzyć i pomóż tym durniom przy sierżancie!

Skinął ręką wędrowcom i wraz ze swym oddziałem oddalił się nieśpiesznie.

Evah spojrzał na dziewczynę.

– To jak masz właściwie na imię? Rovilla czy Cellara?

– Czemu głupio pytasz? Chyba już wiesz.

– Czemu nie wyjawiałaś nam prawdziwego imienia?

– A skąd miałam wiedzieć, czy od razu by ktoś nie rozpoznał we mnie córki szambelana? Jakoś mi się to nie uśmiechało, nie wiedziałam, kim naprawdę jesteście.

– No przecież rozpoznał, bo to po ciebie, a nie po Jakuba, przyszli dzisiaj rano!

– Nie wymądrzaj się! – wycedziła dziewczyna.

– To chyba nie najlepsza pora wyjaśniać sobie takie sprawy – napomniał ich Mavaren. – Chyba powinniśmy jak najszybciej stąd się oddalić. I zejść z tego traktu, bo ojczulek naszej panienki z pewnością wyśle jeszcze kogoś za nami.

– Racja – zreflektował się Evah. – Chodźmy. Niedługo i tak powinniśmy skręcić na północny wschód. A oni pewnie myślą, że podążamy do Lakurii. Droin Mądry kazał nam zacierać za sobą ślady, dlatego nie idziemy od razu wprost do celu.

Chłopiec ruszył zdecydowanym krokiem, ale naraz zachwiał się, chwycił za bark, a potem za pierś. Stłuczenia, jakie odniósł, poskramiając wierzchowca, odezwały się ostrym bólem. Kellan podskoczył, żeby go podtrzymać, ale Evah już wziął się w garść.

Do przyjaciół zbliżył się Jakub. Mocnymi, zręcznymi palcami zbadał bolące miejsca.

– Na najbliższym postoju obejrzę cię dokładniej – powiedział. – Ale teraz musimy jak najszybciej zejść z traktu, książę ma rację. Twardy jesteś, wytrzymasz.

Evah skinął głową i odetchnął głęboko, chociaż ostrożnie, bo żebra paliły go żywym ogniem.

Rozdział 15

Ponura kraina



Słońce chyliło się ku zachodowi, już do połowy czerwonej tarczy zanurzyło się za horyzont. Za sobą mieli wielką równinę, a przed nimi w oddali majaczyły wzgórza o szczytach postrzępionych warownymi blankami skał.

– Mamy iść tamtędy? – spytał Mavaren. – Nieprzyjemnie to wygląda.

– To dopiero początek. Przynajmniej tak mówił Droin – odrzekł Evah. Syknął, bo Jakub właśnie nacisnął mu bark, tuż pod stawem i całe ciało chłopca przeszył ból. Odsapnął i mówił dalej: – Dlatego powinniśmy zostawić Rovil... to znaczy Cellarę w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Mowy nie ma! – zaprotestowała dziewczyna. – Chcę iść z wami!

– Głupia – mruknął Mavaren. – Gdybym nie przyrzekł bratu, że...

– Nie musisz iść dalej, wasza wysokość – przerwał mu Evah. – Co obiecałeś księciu Leonorowi, jak dla mnie już spełniłeś. On też wolałby cię zobaczyć całego i zdrowego.

– Tego nie jestem taki pewny – odparł Mavaren. – Zawsze sprawiałem mu kłopoty. Przypuszczam, że chętnie się mnie pozbył, korzystając z tego wariactwa, jakie zamierzacie uczynić.

Jakub spojrział na księcia, pokręcił głową.

– Gdyby Leonor chciał się ciebie pozbyć, wasza wysokość, kazałby cię trzymać w więzy do końca życia albowy wysłał do jakiegoś zamkniętego klasztoru. Według prawa wolno mu

dysponować losem niesfornych krewnych, oczywiście za zgodą cesarza. A cesarz zwykł pozostawiać takie sprawy uznaniu swoich wasali. Twój brat to jednak dobry i rozsądny człowiek, musiał dostrzec, że jest jeszcze nadzieja. Ja też to dostrzegam, prawdę mówiąc. Obawiałem się, że trzeba będzie cię pilnować, bo przy pierwszej lepszej okazji zechcesz nam umknąć i upić się swoim zwyczajem w jakiejś tawernie, a tymczasem trzymasz się mocno, choć widzę, jak się męczysz.

Mavaren w pierwszej chwili chciał odpowiedzieć burkliwie, a nawet ostro, ale opanował złość. Wiedział, że kat ma słuszość.

– Tak, aż mnie trzęsie na wspomnienie kielicha wina czy łyku gorzałki. Ale dałem słowo... A teraz pomógł mi napar karłów. Dobrze, że Galing zdążył mi jeszcze wcisnąć woreczek z ingrediencjami. Jak tylko rozpalimy ogień, uwarzę kociołek carrelonu.

Jakub uśmiechnął się lekko i wrócił do leczenia chłopca. Okazało się, że Evah ma stłuczone dwa żebra i jedno pęknięte, a do tego ciężar zwierzęcia wybił mu bark. Jakub zabrał się do rzeczy dopiero po południu. Przedtem nie chcieli się zatrzymywać, żeby jak najbardziej odejść od traktu.

Jeśli wyruszył za nimi pościg, nic o tym nie wiedzieli. Cellara stwierdziła, że ojciec po powrocie oddziału mógł nawet zrezygnować z odnalezienia córki.

– Pewnie mu tam lepiej przy pięknej żonce – powiedziała. – I zawsze był dumny. Jeśli kapral powiedział ojcu, że nie chce wracać, zapewne dał sobie spokój.

– Chyba w to nie wierzysz – oburzył się Evah. – Przecież to twój ojciec!

– Chyba niewiele wiesz o tym, jak się żyje w rodzinach bogaczy, wysokich urzędników i władców, co?

– A skąd mam wiedzieć? – Evah skrzywił się, bo Jakub uniósł mu koszulę i posmarował uszkodzone żebra czymś piekącym. – Wychowałem się w wiejskim domu.

– Właśnie. A mój ojciec nieraz powtarzał, że tylko prostych ludzi stać na proste życie. Los wysoko urodzonych wygląda inaczej, bo muszą dbać o inne rzeczy. Dlatego wydałby mnie bez mrugnięcia okiem za człowieka, którego bym nie kochała ani nawet lubiła, gdyby tylko mogło to przynieść korzyści.

– A ty bez mrugnięcia okiem wyszłabyś za mąż, gdyby nakazał – wszedł jej w słowo Mavaren. – Coś o tym wiem.

– Właśnie – potwierdziła bez złości, chociaż zarówno Kellan, jak i Evah spodziewali się gwałtownej reakcji na takie przykre słowa. – To znaczy, zrobiłabym tak jeszcze pół roku temu, ale nie dziś. Może nawet jeszcze miesiąc temu. Tylko że teraz widzę, jak wygląda prawdziwy świat i że sprawy dobra możliwego rodzaju nie muszą być najważniejsze.

Evah odetchnął wreszcie głębiej, bo pieczenie skóry ustało, a żebra przestały go boleć.

– Jakubie, jesteś cudotwórcą – orzekł. – Uzdrowiłeś mnie!

– Nie uzdrowiłem – odparł kat. – To środek uśmierzający, przyspiesza też gojenie, ale twoje ciało musi samo sobie radzić z kontuzjami. Bark miałeś tylko nadwerężony, więc

szybko dojdzie do sprawności, ale żebra będą ci jeszcze dokuczać.

Chłopiec wstał, przeszedł się, poruszył lewą ręką. Ból w ramieniu się nie odezwał, ale Evah czuł, że nie wszystko jest jeszcze w porządku. O strzelaniu z łuku mógł na razie tylko pomarzyć.

– Skąd tyle wiesz o leczeniu, mistrzu? – spytał lekko zaczepnym tonem Grzywa. – W twoim fachu chyba odbiera się życie i zdrowie, a nie przywraca.

– W czasach, kiedy kształciłem się w Akademii Katowskiej – odparł Jakub – uczono nas również, jak przywoływać ludzi do sił. Poza tym wiem o ciele człowieka tak dużo, że nawet bez takich nauk musiałbym nabrać doświadczenia w uzdrawianiu.

– Najpierw kat człowieka umęczy, zadręczy, a potem go wyleczy, żeby znów się do niego zabrać – zaśmiał się Mavaren. – Świat potrafi zaskakiwać, moi młodzi przyjaciele.

Jakub nie odpowiedział. Spakował do torby flaszki, fiolki i gliniane naczynka. Zanim ją zamknął, Evah dostrzegł jeszcze ze zdziwieniem drewnianą, wydrążoną kulę, wyłożoną w środku czymś błyszczącym, jakby złotem i rzeźbione misternie, inkrustowane drogim metalem pudełko.

– Do czego to służy, mistrzu? – zapytał, wskazując przedmioty.

– A to już tajemnice mojej profesji – odparł kat. – Jak powiedział ksiązę, świat potrafi zaskakiwać i byłbyś ogromnie zdziwiony, gdybyś wiedział, co to jest. Jednak nie mogę o tym opowiedzieć. Nie wszystko nadaje się dla uszu niewtajemniczonych. I lepiej, żebyś nigdy nie zyskał tej wiedzy.

– Oczywiście. – Evah nie pytał więcej, bo usłyszał w głosie Jakuba twardsze tony.

Chłopiec nie miał zamiaru rozdrażniać pełnego zagadek towarzysza podróży. Wystarczyło, że Mavaren ustawicznie zaczepiał kata. Ale była jedna sprawa, którą musieli omówić.

– Zabierzesz później ze sobą Roville... To znaczy Cellarę? – spytał.

– O czym mówisz? – Kat zmarszczył brwi.

– Przecież odprowadzasz nas tylko w pobliże siedziby Szalonego Maga i pójdziesz w swoją stronę. I tak idziesz ze mną dalej, niż obiecałeś księciu.

– Nigdzie nie pójde... – zaczęła dziewczyna, ale Evah nagle huknął na nią:

– Zamilcz choć na chwilę! Błagam! Nie zamierzam cię wlec na prawie pewną śmierć! Podobnie jak księcia Mavarena! Cokolwiek obiecał bratu, już się nie liczy, ich umowa dotyczy mnie, a ja go zwalnię z przyrzeczenia.

– Ale... – znów spróbowała coś wtrącić Cellara.

– Bądźże wreszcie cicho! – Umilkła, zaskoczona gwałtownością spokojnego na ogół chłopaka. – Powiniennem iść sam. Droin uprzedzał, że w dziedzinie tego Maga jest śmiertelnie niebezpiecznie. Nikt nie musi mi towarzyszyć. Kellan też.

– Oszalałeś – burknął Grzywa. – Idę z tobą. Postanowiłem sobie, że już więcej nie ucieknę, nie zostawię przyjaciela i zamierzam się tego trzymać.

– Kusisz, oj kusisz! – zaśmiał się Mavaren. – Wcale nie mam ochoty ginąć, a w twoim towarzystwie może się okazać, że pozostanie przy życiu jest mocno problematyczne. – Spoważniał, potrząsnął głową. – Jeśli wrócę, Leonor będzie mną gardził. Nieważne, czy zwalniasz mnie z przyrzeczenia, czy nie.

– Wcale nie musisz do niego wracać od razu.

– Wcześniej czy później dowie się, co zrobiłem. Nie, chłopcze. Skoro byłem już taki głupi, że dałem się zwerbować na takie szaleństwo, postaram się dotrzeć. Nie ma o czym gadać.

Evah spojrział na kata, westchnął ciężko.

– W takim razie ty musisz zabrać dziewczynę – rzekł.

– To będzie trudne – odparł Jakub. Widząc wyraz zawodu na twarzy młodego towarzysza, uniósł rękę, zanim chłopiec zdążył się odezwać. – Idę z tobą dalej.

Evah chwilę trawił wiadomość. Przez ostatnie dni myślał z żalem i obawą o tym, że dzielny, doświadczony mężczyzna pójdzie w swoją stronę.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie? – spytał.

– Powiedzmy, że i tak nie mam nic lepszego do roboty. – Kat wzruszył ramionami. Podniósł z trawy miecz, zawiesił broń na uprzęży. – Chyba że bardzo nie chcesz.

– Bardzo chcę! – zawołał gorliwie Evah, ale zaraz się zastanowił. – Tylko co z Cellarą? Trzeba ją gdzieś odprowadzić, zanim...

– Nigdzie mnie nie będziecie odprowadzać! – zaprotestowała dziewczyna. Tym razem nie pozwoliła sobie przerwać. Stała przed Evahem, wzięła się pod boki. – Nie ma mowy! W świetle prawa cesarstwa jestem już w wieku sprawnym i mogę decydować, co chcę robić!

– Hm... – mruknął Mavaren. – Co do tej twojej wolności, prawa imperium niekoniecznie tak jasno i prosto wyglądają. Zgadza się, że można cię już wydać za mąż, ale to decydowanie o sobie...

Cellara tupnęła ze złością i syknęła na księcia jak rozzłoszczona kotka.

– Ty lepiej milcz! Nawet jak mnie gdzieś zostawicie, i tak stamtąd ucieknę i pójdę za wami. Nikt mnie nie powstrzyma!

– Ale zrozum. – Evah spróbował jeszcze zaapelować do jej rozsądku. – To naprawdę niebezpieczna wyprawa. Nie idziemy uwolnić księżniczki z wieży, w której zamknął ją smok i nie możemy liczyć, że go nawet nie będzie na miejscu. My chcemy znaleźć i zabić coś gorszego od smoka! A najpierw spotkać niesłychanie groźnego człowieka, o ile można go nazwać człowiekiem. Jak powiedział książę, łatwo będzie zginąć. Nie musisz wcale...

Cellara straciła cierpliwość, położyła nagle chłopcu dłoń na ustach. Zamilkł, zaskoczony taką poufałością wyniosłej dziewczyny.

– Teraz ty posłuchaj! Możesz się tutaj zagadać na śmierć. Wtedy zresztą oszczędzisz trudu wrogom. Możesz prosić, ostrzegać i grozić, ale ja i tak pójdę z wami. Nie dociera do ciebie, że we własnym domu mogę zginąć o wiele łatwiej niż na najbardziej choćby niebezpiecznej

wyprawie?

– Coś w tym jest – mruknął z boku Mavaren. – A jeśli ta akurat panna życzy sobie stracić piękną główkę, nic jej od tego nie odwiedzie.

– Dziękuję. – Cellara zerknęła na księcia. – W kilku słowach ująłeś bardzo trafnie to, co chciałam powiedzieć.

Evah znów westchnął, popatrzył pytająco na Jakuba. Kat uczynił ręką bezradny gest, który niósł wyraźne przesłanie „chyba naprawdę z nią nie wygrasz”. A Mavaren ponownie postanowił dopiec dziewczynie.

– Jak się głupi uprze, nic nie poradzisz – powiedział mentorskim tonem do Evaha. – Trzeba się z tym pogodzić.

Cellara znów tupnęła, wyrwała garść trawy razem z ziemią i cisnęła nią prosto w głowę Mavarena.



Pagórki okazały się bardziej odległe, niż się wydawało. Początkowo Evah sądził, że dotrą do nich nawet tego samego dnia, ale po południu zrozumiał, że to niemożliwe.

– Muszą być wyższe, niż wyglądają z daleka – orzekł Mavaren – Droin nic o tym nie mówił?

– Wspominał, że są dość okazałe, bardziej jak niskie góry, ale nie sądziłem, że aż tak wysokie.

W końcu trzeciego dnia po południu dotarli do pierwszych wzniesień i mogli zobaczyć, że są rzeczywiście nieoczekiwanie wysokie, a w dodatku wyjątkowo ponure. Stanęli pod dziwnymi skałami, na których szczycie wiatr i deszcz wyrzeźbiły głaz w nieoczekiwany kształt, przywodzący na myśl wykwintne nakrycie głowy.

– Jakby ktoś wypalił wszystkie rośliny – zauważył Evah.

– Albo jakby ziemia była tu trująca – dorzuciła Cellara.

– Wiesz coś o tym? – Syn myśliwego zerknął na nią.

– Coś tam słyszałam. Przecież to całkiem niedaleko od Sevli i północnych granic Malbarii, ale nikt przy zdrowych zmysłach się tutaj nie zapuszcza. To złe miejsce. Przecież widzieliście sami. Żadnych osad po drodze, nawet pojedynczych domów.

– Granicę też przekroczyliśmy bez przeszkód. Nawet nie wiemy kiedy – rzekł Mavaren. – Właściwie do kogo należą te ziemie?

– Do nikogo – odparł Jakub. – To znaczy do żadnego wasala cesarza. To dziedzina imperium, nie czyni się z niej żadnych nadań.

– Pewnie nikt by jej nie chciał? – domyślił się Evah.

– Albo cesarz nie życzy sobie, żeby tutaj cokolwiek robili jego możni poddani.

– Albo jedno i drugie – podsumował Mavaren. – Ja w każdym razie uprzejmię bym odmówił przyjęcia czegoś takiego.

– Przynajmniej nie trzeba się obawiać rabusiów – mruknął Kellan. – Zbóje są tam, gdzie podróżują ludzie.

Mavaren zaśmiał się, ale zaraz zamilkł. W ponurym krajobrazie śmiech zabrzmiał dość upiornie, zdawał się zupełnie nie na miejscu.

– Jak widać, we wszystkim można znaleźć dobre strony. Ale pamiętasz, że chcemy znaleźć Szalonego Maga? Obawiam się, że przy nim przydrożni zbóje mogą się wydać niewinnymi małymi dziećmi.

– Dokąd teraz? – Jakub spojrzał na Evaha.

Dokładne wskazówki, jak odnaleźć siedzibę Szalonego Maga, Droin Mądry przekazał Evahowi w cztery oczy, stanowczo zabronił mu wyjawiać ich w całości pozostałym. W dodatku zrobił to dość nieoczekiwanie – w formie wierszy, których chłopiec musiał nauczyć się na pamięć.

– „Gdy dotrzesz do stóp góry z wielkim kapeluszem, pójdz w prawo wąską drogą, co ledwie widoczna. I dotrzesz do jej siostry, lecz ostrzec cię muszę, żebyś patrzył uważnie, aby gdzieś nie poszła” – wyrecytował Evah. – Góra w wielkim kapeluszu to na pewno ta.

– Bogowie – jęknął Mavaren. – Naprawdę nie możesz nam powiedzieć całego tego poematu, godnego talentu wiejskiego grajka?

– Nie wolno – odrzekł Evah. – Droin mi to wyjaśnił i zgadzam się z nim całkowicie. Gdybym zginął w drodze, wróćcie po własnych śladach, dlatego lepiej zapamiętujcie dokładnie drogę. A łatwiej ją zapamiętać małymi fragmentami.

– A dlaczego właśnie tak chciał? – zdziwił się Kellan.

– Bo jeśli zginę, to będzie znaczyło, że wyprawa jest zbyt niebezpieczna, ale przede wszystkim straciła sens, rozumiesz? I to ja mam iść zawsze na czele, kiedy już dotrzemy do właściwej ścieżki, która wiedzie w głąb góry. Powinno to być całkiem niedaleko stąd.

– Zróbmy tutaj postój – powiedział Jakub. – Skoro to niedaleko, lepiej zanocować w miejscu, gdzie żadne ścieżki się nie krzyżują, bo nie trzeba pilnować wielu stron. Przygotujemy od razu pochodnie.

Zrzucił z ramienia wiązkę gałęzi. Wszyscy nieśli ze sobą grube patyki, zebrane w sporej kępie olchy żywicznej. Mieli wziąć porządne latarnie i gotowe pochodnie od karłów, ale nie było na to czasu, bo musieli uciekać. Tyle tylko że Galing wcisnął jeszcze Evahowi i Kellanowi worek szmat, kłęb drutu i zalakowaną butlę z jakąś cieczą. Nie tłumaczył, jak tego używać, warknął tylko, że Jakub będzie wiedział.

– Nie rozpalamy ogniska? – zapytała Cellara.

– Nie – odparł Evah. – Z jednej strony mamy te skały, ale z drugiej otwartą przestrzeń. Byłoby nas widać jak na dłoni, czy to z góry, czy od równiny, a tego nie chcemy. Przydałoby się jednak znaleźć jakąś osłonę, bo zaczyna wiać.

Rozejrzał się, ale nie zobaczył nic, poza niewielkim wgłębieniem w skałach. Wskazał je gestem i tam się przenieśli. Było ciasno, ale przynajmniej kamienie osłaniały ich z trzech stron.

Usiedli, pożywili się resztkami chleba i wędzonego mięsa. Pozostały im już tylko twarde suchary i suszone paski wołowiny. Na szczęście wśród żywicznych olch natknęli się na strumień i mogli uzupełnić zapasy wody. Zresztą powinni się spodziewać w tej kępie takiego daru natury, bo olchy potrzebowały sporo wilgoci.

Kat wziął od chłopców szmaty i butlę. Zaczął owijać kawałkami materiału grubszy koniec jednej z gałęzi. Wykonywał staranne ruchy, zawijał kawałki szmatki do wewnątrz, a potem mocował całość miękkim, miedzianym drucikiem, zaciskając go mocno. Okazało się, że kawałki miękkiej materii to nie są jakieś przypadkowe skrawki, ale równo przycięte paski w kształcie długich prostokątów.

– Pierwszy raz widzę, żeby tak sporządzać pochodnie – powiedział Mavaren.

– To sposób naszych małych przyjaciół – wyjaśnił Jakub. – Prosty i szybki.

– Pomogę ci – zaproponowała Cellara.

Mistrz skinął głową, a ona wzięła następny kij i powtarzała ruchy mężczyzny.

– Ja tam się do tego nie biorę – rzekł Mavaren. – Tylko bym coś zepsuł.

– Ja też. – Kellan wyciągnął się na derce, podłożył ręce pod głowę i zaczął obserwować łożyskane niebo. – Ależ tu jest niemilo – powiedział po chwili. – Czuję, jakby jakiś ciężar spoczywał mi na piersi.

Evah próbował owijać pochodnie, ale zupełnie mu nie szło. Jakub najwyraźniej miał wprawę, a dziewczyna zręczniejsze palce. Bo to wcale nie było takie proste, chociaż drut okazał się miękki jak rzemień i nie potrzeba było wiele siły, aby go umocować na owiniętej misternie szmatce.

– Jeśli się to dobrze zrobi – powiedział Jakub do Cellary – nie trzeba nawet wzmacniać materiału drucikiem. Ale tak będzie pewniej.

Dziewczyna skinęła głową, odłożyła pochodnię i wzięła się do następnej. Kat sprawdził, jak się spisała i skinął z uznaniem głową.

– Bardzo dobrze.

Cellara, która siedziała teraz blisko małodobrego, zapatrzyła się w niego i znieruchomiała. Odpowiedział spojrzeniem spod lekko zmarszczonych brwi. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie dziewczyna odezwała się przestraszonym i jednocześnie zaaferowanym głosem:

– Na bogów, Przodków i Przedwiecznych... Jakubie, ile ty naprawdę masz lat?!

– Dlaczego pytasz? – Kat również nie odwracał spojrzenia.

– W twoich oczach widzę otchłań i wielkie cierpienie. Nigdy czegoś takiego nie spotkałam. Ludzie mają o wiele mniej głębi w źrenicach. A twoje zdają się prowadzić do innego świata. Innych światów – dodała po chwili prawie szeptem. – Ile masz lat?

Zdradzisz?

Jakub nie odpowiedział od razu. Odwrócił głowę, wrócił do pracy.

– Więcej, niżbym chciał, ale za mało, bym mógł wreszcie odejść i zaznać spokoju – odpowiedział niezbyt zrozumiale.

To znaczy niezrozumiale dla chłopców i Mavarena, lecz dziewczyna wydawała się pojmować słowa kata lepiej, bo zapytała:

– Musisz odnaleźć przeznaczenie? Musisz kogoś odzyskać? A może ocalić?

Jakub znieruchomiał, znów spojrzał na Cellarę.

– Dlaczego to powiedziałaś?

Dziewczyna uczyniła nieokreślony ruch ręką.

– Może wydaję się wam rozpieszczoną panną z dobrego domu, ale i mnie los nie oszczędzał w ostatnim czasie. Musiałam nauczyć się obserwować ludzi, odczytywać ich zamiary. Przecież dlatego jeszcze żyję. Nieraz widziałam, jak się zamyślasz, jak zamykasz oczy i poruszasz wargami lekko, prawie niezauważalnie. Jakbyś z kimś rozmawiał. A może próbował rozmawiać? Tego nie wiem i pewnie mi nie powiesz.

Kat zaśmiał się z przymusem. Evah po raz pierwszy widział, żeby ich tajemniczy towarzysz był tak zmieszany.

– To trudno zrozumieć – odparł. – A o pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć. Mogę ci tylko wyjawić, że masz rację, a zarazem się mylisz. Nie żyję bowiem, aby kogoś ratować, na to jest za późno od wielu, wielu lat. Ale nie mogę też umrzeć, bo złożyłem lekkomyślnie przysięgę, że sam nie będę szukał śmierci. I dokąd nie stanie się coś, co pozwoli mi odejść, nie pojawi się ktoś, kto zwolni mnie z przyrzeczenia, muszę żyć.

Zamilkł, odetchnął głęboko.

– Jest w tobie, Cellaro, coś wyjątkowego. Dostrzegasz więcej niż inni i skłoniłaś mnie, żebym powiedział o rzeczach, o których nigdy nikomu nie mówię – głos mu stwardniał. – Ale dość tego, więcej nie próbuj mnie podchodzić i wypytywać.

– Nie będę – obiecała. – Wybacz, nie chciałam cię dotknąć.

– I nie dotknęłaś. – Jakub złagodniał. – Może po prostu sam chciałem to powiedzieć po wiekach... to znaczy po latach milczenia?

– Po wie... – podchwycił Kellan, ale Jakub ostrym gestem nakazał mu milczenie.

– Bierzmy się do pracy – powiedział do Cellary. – Niedługo zapadnie zmrok, a po omacku porządnie zrobić się tego nie da.

Evah wymienił spojrzenia z Kellanem i Mavarenem. Grzywa uniósł brwi, a książkę wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie ma co się wtrącać w cudze sprawy.

– Dałbym mu najwyżej trzydzieści lat. Może trzydzieści pięć na siłę – mruknął tylko cicho. – Na pewno mniej niż mam ja. Pomyślałem, że jeśli ma choćby dziesięć więcej, to zdumiewające. A wygląda na to, że chodzi po świecie znacznie dłużej.

Jeśli Jakub go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

Zanim zrobiło się ciemno, wszystkie pochodnie były gotowe. A raczej prawie gotowe, bo owinięte i wzmocnione drutem. Wtedy kat rozpieczętował butlę. Wszystkich uderzył w nozdrza ostry, przykry zapach.

– Trzeba je nasączyć płynem – powiedział.

– Już teraz? – zdziwił się Evah. – Nie lepiej tuż przed zapaleniem?

– Obawiasz się, że ciecz wyparuje? – Jakub pokręcił głową. – Ma się tak stać. To nie jest zwykła terpentyna czy coś podobnego. Kiedy owijki wyschną, dopiero wtedy będą się sprawować jak należy. Można tę substancję stosować na mokro, ale wtedy pochodnie płoną o wiele krócej i wydzielają przykry zapach.

Wstał, ruchem brody wskazał chłopcu gałęzie.

– Chodźmy z tym gdzieś dalej, bo jeśli tutaj nachłapiemy, trudno będzie oddychać. Ty nie! – Powstrzymał dziewczynę, która również się podniosła. – To nie jest praca dla delikatnych panien.

– Nie jestem wcale taka... – zaczęła.

– Wiem – przerwał jej mistrz katowski. – Ale nie ma potrzeby, żebyś to wachała. Żeby ktokolwiek to wdychał, jeśli nie musi.

– Pójdę z wami – westchnął Kellan.

– Dobrze – zgodził się Jakub. – Zmienisz Evaha, jeśli zrobi mu się niedobrze.

Mavaren nie odezwał się i nie poruszył. Zapadł właśnie w drzemkę. Cellara uczyniła ruch, jakby chciała go obudzić, ale Jakub ją powstrzymał.

– Wystarczy w zupełności nas trzech. Wy tutaj rozłóżcie koce tak, żeby było jak najwygodniej. I przejrzyj dokładnie nasze zapasy, czy się coś nie załęgło w sucharach.

Cellara trąciła księcia w stopę.

– Budź się, leniu. Dość udawania!

– Paskudna z ciebie dziewczucha – odparował natychmiast Mavaren. – Będę robił, co mi się podoba!

Zebrał się jednak i zaczął rozkładać derki w ciasnej przestrzeni między skałami.



Wstali skoro świt, zziębnięci i głodni. Nad ranem pojawiła się mgła, która wpełzła między skały i pokryła rosą wszystko – i skały, i koce, którymi się przykryli, i bagaże. Jedynym pocieszeniem było, że Cellara poprzedniego wieczoru wszystkie zapasy umieściła w jedynym skórzanym worku, jakim dysponowali i zaciągnęła mocno rzemienie. Dzięki temu suchary i mięso pozostały suche i nie wchłonęły wilgoci, która sprawiłaby, że całe zapasy musieliby prędko spożyć i dalej wędrować o pustych żołądkach.

– To przypadek – powiedziała dziewczyna, kiedy mężczyźni zaczęli ją wychwalać. – Po

prostu pomyślałam, że nie ma sensu, abyśmy rozkładali zapasy po wszystkich torbach i podróżnych workach, skoro można je zgromadzić w jednym miejscu.

– Może i przypadek – powiedział Evah – ale rozumu nie można ci odmówić.

– Właśnie! – potwierdził gorliwie Kellan, trochę zły, że nie on pośpieszył z komplementem. – Ważne, że mamy co jeść. Jesteś mądra.

Jakub z Mavarenem zwijali małe obozowisko. Pochodnie leżały poza skałami, bo jeszcze późnym wieczorem cuchnęły potwornie i nie zdecydowali się ich wnieść do środka.

– A im nie zaszkodziła ta paskudna wilgoć? – spytał Evah.

– Im już nic nie zaszkodzi – odrzekł kat. – Wyszły do rana, teraz wystarczy strząsnąć z nich rosę, a każda rozpali się od pierwszej iskry z krzesiwa.

Evah nie bardzo temu dowierzał, ale kiedy wziął w rękę pierwszą z brzegu pochodnię, pokrytą jak wszystko kropelkami i wykonał lekki ruch ręką, woda spłynęła natychmiast. Dotknął materiału i ze zdziwieniem stwierdził, że jest zupełnie suchy.

Poszli ścieżką prowadzącą wzdłuż masywu. Chociaż nazwanie tego ścieżką wydawało się dość ryzykowne. Ledwie było można odgadnąć, że ktoś tędy w ogóle kiedykolwiek przechodził. Evah dostrzegał tylko z rzadka ślady czyjejś obecności, jak otarty lekko mech czy przewrócony jakiś czas temu kamień. W ogóle mech i skąpe porosty stanowiły w zasadzie całą tutejszą szatę roślinną. Żadnych traw, żadnych krzewów, nawet rachitycznych. Tylko kamienie i szarość, gdyż rośliny upodabniały się barwą do otoczenia. To było bardzo dziwne, bo przecież zaledwie o kilkadziesiąt kroków od skał rosła bujna trawa, w oddali zieleniły się zagajniki i kępy drzew.

Evah szedł pierwszy, jak mu nakazał Droin Mądry. Za jego plecami trzymał się Jakub, potem podążali: dziewczyna, Mavaren i na końcu Kellan. Ci dwaj mieli się zmieniać w straży tylnej, tak ustalili przed wymarszem. Oczywiście Cellara chciała pełnić obowiązki na równi z nimi, ale uległa łagodnej perswazji Evaha. Nie miała przy sobie broni, nie umiała używać nawet noża w walce, więc mogłaby się okazać łatwą ofiarą dla każdego napastnika.

– Musicie mnie nauczyć, jak posługiwać się bronią – oznajmiła.

Kellan zapewnił ją natychmiast, że jej życzenie na pewno się spełni, ale raczej nie w tej chwili. Nie było czasu na ćwiczenia, musieli dojść do siedziby Szalonego Maga jak najprędzej. Mieli nadzieję, że zdołają go zaskoczyć, bo inaczej przygotowałby jeszcze więcej pułapek, niż mogli się spodziewać. Droin nie dawał Evahowi nadziei, że będzie łatwo, wręcz przeciwnie, starał się zniechęcić chłopca do dalszej drogi. Uszanował jednak determinację syna myśliwego i przekazał mu tyle wskazówek, ile mógł. „Musisz przez cały czas pamiętać, że cios może spaść z każdej strony – przestrzegł. – Szalony Mag to sprytny i okrutny osobnik”. Wyraźnie unikał nazywania go człowiekiem, co sprawiało, że Evah czuł ogromny niepokój.

Podążali zatem ledwie zaznaczoną ścieżką, a chłopiec rozglądał się uważnie, bo nie mógł przegapić drogi prowadzącej między skaliste pagórki. Zżymał się zresztą na określanie tych

wysokich przecież skał niewinnym mianem pagórków. To naprawdę były formacje skalne przypominające raczej bardzo stare góry, dawniej zapewne nawet wysokie. Dla chłopca słowo „pagórek” oznaczało niewielkie wybrzuszenie, porośnięte trawą, krzakami i drzewami. Takie właśnie widywał w okolicach rodzinnej wioski.

– Tutaj niczego nie można brać dosłownie – powiedział Jakub, kiedy Evah podzielił się z nim spostrzeżeniem. – Dla mnie pagórki oznaczają też coś podobnego, jak dla ciebie. Ale nie możemy oczekiwać, że w dziedzinie Szalonego Maga, w miejscach, gdzie Przodkowie prowadzili walki, świat będzie takim, jakim go znamy.

– Tutaj również odbyła się wojna? – zdziwił się Mavaren, który słyszał rozmowę Jakuba i Evaha. – Ale nie widzę wielkich drzew, jak w Kerenie.

– Nie wszędzie natura zabiłnia rany w podobny sposób – odparł Jakub. – Nie wszędzie też używano takiego samego oręża. Poza tym, podejrzewam tutaj działanie samego Szalonego Maga. Przypuszczam, że cała ta jałowa dziedzina jest jego dziełem. Zapewne postanowił zniechęcić ludzi do przychodzenia w to miejsce i znakomicie mu się udało.

Potem szli już w zupełnym milczeniu. Wreszcie Evah zauważył sporą szczelinę w skałach. Ciągnęła się między dwoma skałami. Zatrzymał się i zaczął, aż towarzysze otoczą go kręgiem.

– To może być nasza droga. Mamy prawie południe, a z wiersza wynika, że tyle by trzeba iść od świtu, aby ją znaleźć.

Kellan skinął głową, podobnie jak Cellara. Jakub nie odezwał się, za to Mavaren swoim zwyczajem zaczął marudzić.

– Jesteś pewien? A jeśli to nie tutaj? Może powinniśmy pójść dalej?

Prawda była taka, że bardzo nie podobało mu się to, co widział. Mieli podążać ciasnym wąwozem między stromymi, prawie pionowymi skałami. Nie wyglądało to zachęcająco.

– Kiedyś pokłóciłem się z Evahem co do drogi – rzekł Kellan. – Uparłem się, żeby skręcić nie w tym miejscu, w którym on chciał. Skończyło się straszną nocą na upiornych bagnach i musieliśmy walczyć z bestiami zrodzonymi we mgle. Ledwie uszliśmy z życiem.

Mavaren skrzywił się tylko i więcej nie dyskutował.

Evah ruszył w przejście. Sam nie miał pewności, czy obrał słuszną ścieżkę. Jeśli w ciągu kilku godzin nie znajdą następnego miejsca, o którym mówił wiersz, zawrócą i pójdą dalej wzdłuż masywu. Stracą najwyżej trochę czasu. Z pewnym zdumieniem stwierdził, że jakoś dziwnie przestało mu się śpieszyć do spotkania z Szalonym Magiem. Otoczenie było wyjątkowo ponure i odpychające, co świadczyło jak najgorzej o naturze samego gospodarza.

Ale zaraz przypomniał sobie o grobie ojca, o matce, Verilli i innych ludziach z rodzinnej wsi. A także o pozostawionej u młynarza siostrzyczce. Niech strachy Szalonego Maga otchłań pochłonie! Trzeba go znaleźć i zmusić do mówienia! W dowolny sposób.

Kroki wędrowców odzywały się echem pośród skał i kamienistych zboczy. Raz i drugi z góry stoczył się kamień i zamierali w bezruchu, nie wiedząc, czy ktoś ich obserwuje,

powodując te osunięcia, czy to początek lawiny. Nic się jednak na szczęście nie działo.

Po dłuższym czasie Evah zaczął wątpić, czy idą właściwą drogą. Ale kiedy już się zbierał, żeby zdecydować o powrocie, zobaczył skałę rozchodzącą się od dołu ku górze, przypominającą rozcapierzone dwa palce. Znajdowała się na niewielkim podwyższeniu, które nie wyglądało na dzieło natury. Podeszedł bliżej i zamarł, bo w pewnej chwili każdy jego krok zaczął brzmieć nieoczekiwanie głośno. Powoli wypuścił powietrze, uniósł rękę, żeby pozostali stanęli.

– To będzie gdzieś tutaj – powiedział niezbyt głośno, ale i tak miał wrażenie, że wzdłuż zboczy przeleciał grom. – „Tam wejście odnajdziesz, gdzie skały palczaste. Gdzie wezwie cię echo jak piorun dudniące. Wypowiedz trzy słowa, lecz dłońmi je zaklep, byś zbudził się w przejściu, gdzie zgaśnie ci słońce”.

Mavaren skrzywił się, ale nic nie powiedział. Nie chciał dokładać od siebie przykrych dźwięków. Wystarczyło, że słowa Evaha wracały okropnym dudnieniem.

– Jakie trzy słowa? – szepnął Kellan. – Znasz je?

Evah pokiwał głową.

– Znam, tylko nie wiem, o co chodzi z tym klepaniem. Jak mam niby zaklepać słowa? Droin tego nie wyjaśnił. Powiedział, że jeśli tego nie odgadniemy, lepiej nam zawrócić, bo to znaczy, że jesteśmy za głupi, aby iść dalej.

– A jakie to słowa? – Cellara zbliżyła się do nich. Również szeptała, żeby nie wzbudzić straszego echa.

– Dziwaczne i jakieś bez związku – odparł Evah. – Wydziedziczę. Zniszczę. Otworzę.

Dziewczyna patrzyła na chłopca ze zmarszczonymi brwiami.

– Naprawdę dziwaczne – mruknęła. – Wydziedziczę. Zniszczę. Otworzę. Kto i kogo ma wydziedziczyć? Kto i kogo albo też co zniszczyć? No i co z tym otwieraniem?

Stali teraz w ciasnej grupce. Evah spojrzał na Jakuba, ale ten potrząsnął lekko głową.

– Naprawdę się nie domyślasz? – upewnił się Evah.

– Nawet jeśli coś tam mi świta w głowie, na razie zatrzymam to dla siebie – rzekł kat. – Droin chciał, żebyś właśnie ty się domyślił, w czym rzecz. Może niekoniecznie sam, może z pomocą przyjaciół, ale uznał to najwyraźniej za kolejną próbę.

– A jeśli nie zgadniemy? – zapytał Kellan. – Pomożesz?

– Zobaczymy – odparł Jakub. – Tyle że nikt nie powiedział, że to ja rozumię słusznie.

– Bądźcie cicho! – prychnęła Cellara i zaraz zasłoniła usta dłonią, bo echo zwielokrotniło jej poirytowany ton. Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu. – Dajcie pomyśleć. Evahu, powiedz jeszcze raz ten wiersz.

Zamilkli, a ona poruszała ustami, powtarzając słowa rymowanej wskazówki.

– Dłońmi je zaklep... Ale jak?

– Może chodzi o klaskanie? – odezwał się Mavaren. – Jest taka zabawa w wyklaskiwanie słów. To znaczy poszczególnych sylab. Kto się pomyli, ten daje fant.

– Chcesz tutaj klaskać? – Evah spojrzał na niego, jakby księżę był niespełna rozumu. – Przy tym echu? Przecież skały się rozkruszą. A poza tym, gdzie mam klaskać? Tutaj czy między rozwidlonymi skałami?

– W wierszu jest, żeby zaklepać słowa, a nie wyklepać czy wyklaskać – zauważyła Cellara. – Ale nasz zarozumialec może mieć trochę racji. Mnie też się przypomniała ta zabawa. Niby jest prosta, ale jak trafisz na wyraz w rodzaju Malbariawianeczka, można się pomylić.

– Zaklepać, tak, to może być klucz do całej zagadki... – Evah zaczął się rozglądać. Ta palczasta skała nie wygląda na coś naturalnego. Zdaje się zbyt gładka i regularna.

– Różne dziwy można zobaczyć na świecie – zauważył sceptycznie Kellan.

Jakub podszedł do rozcapierzonych niby palce kamieni. Spojrzał na Evaha, a chłopiec zaraz się zbliżył.

– Skoro to coś znalazło się w wierszu, chyba musi coś znaczyć – szepnęła Evah. Mimo że lewie tchnął te słowa, wróciły głośnym poszumem, zupełnie, jakby wichur przeleciał im przy samych uszach.

Zaczął uważnie oglądać dziwną skałę. Po chwili dołączyli do niego pozostali.

– Tutaj – Cellara wypowiedziała to samymi wargami, przedtem gestem przyciągając uwagę chłopca.

Wskazała coś wewnątrz rozdławającego się kamienia, na wysokości swoich ramion. Evah spojrzał i zamarł. Zobaczył bowiem dwie odcisnięte naprzeciwko siebie ślady ludzkich dłoni. Odcisnięte? Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Raczej wyrzeźbione wprawnym dłutem artysty, bo wyglądały, jakby ktoś wycisnął ślady w miękkiej glinie, a nie w twardej skale.

Dał znak i wszyscy wycofali się kilkanaście kroków. Tutaj ich głosy tak strasznie nie dudniły, więc mogli porozmawiać.

– Myślę, że trzeba uderzyć w te odciski – powiedziała Cellara. – To może być naprawdę gra w wyklaskiwanie słówek.

– Widzieliście, jak są odbite? – spytał Mavaren. – Dokładnie naprzeciwko siebie, zwrócone kciukami w dół. Czyli musi to zrobić jeden człowiek obiema rękami jednocześnie. Oczywiście jeśli właśnie o to chodzi.

– Zapewne o to – wtrącił Jakub.

Evah pomyślał, że bez towarzyszy podróży biedziliby się nad zagadką o wiele dłużej. Nie miał pojęcia o grze w wyklaskiwanie słów.

– Trzeba spróbować – orzekł.

– No to do dzieła, zaczynaj! – zachęcił go Mavaren.

– A nie lepiej, żeby to zrobiło któreś z was? Wasza wysokość albo Cellara? Ja mogę się pomylić, bo w życiu tego nie robiłem.

Obaj spojrzeli na dziewczynę.

– Niech będzie – zgodziła się. – Czyli tak. Wy-dzie-dzi-czę. Zni-szczę. Ot-wo-rzę. To będzie raz-dwa-trzy-cztery. Raz-dwa. Raz-dwa-trzy.

– Zgadza się – potwierdził Mavaren. – Próbuj.

Dziewczyna poszła w stronę skały, stanęła pół kroku przed nią, wyciągnęła ręce i zawiesiła dłonie nad śladami wyrytymi w kamieniu.

– Zaczynam – szepnęła, a jej głos powrócił ogłuszającym szumem.

A potem uderzyła w skałę, prowadząc ręce tak, aby mieściły się w nieco za dużych dla niej odciskach.

„Raz–dwa–trzy–cztery” – zabrzmiały kłaśnięcia. W tym niezwykłym miejscu szybko nabrały mocy, poniosły się po okolicy niczym uderzenia gromów.

„Raz–dwa” – wybrzmiało jeszcze głośniejsze.

„Raz–dwa trzy” – teraz zerwał się huragan dźwięków. A nawet prawdziwy huragan, jako że powietrze zawyło, uderzyło wędrowców w twarze.

– Zginiemy – jęknął Kellan.

Evah również się przestraszył, nawet Mavaren wyglądał niezbyt pewnie. Tylko Jakub zachował kamienny spokój, zupełnie jakby nic się nie działo. Zmrużył jedynie oczy przed podmuchem.

Cellara stała nieruchomo przy kamieniu. O dziwo, jej nie dotknęła wichura, nie zatkało jej też uszu od poprzedniego hałasu. Zupełnie jakby to miejsce pozostawało poza zasięgiem zbudzonych żywiołów.

Ale po chwili wszystko ucichło i wędrowcy usłyszeli cichy zgrzyt, a później szorowanie.

– Tam! – Evah wskazał skały po prawej stronie. – Przejdźcie!

Rzeczywiście, wielki kamień wsunął się w ścianę, zupełnie jakby go pochłaniała po kawałku. Otworzyła się czarna czeluść.

– Mamy tam wejść? – spytał Mavaren. – Na pewno?

Odpowiedziało mu milczenie. Nikomu nie uśmiechało się zanurzyć w kompletnych ciemnościach, prowadzących nie wiadomo dokąd.

Evah spojrzał w zasnuwane chmurami niebo. Ciemny ołów nad głową wydał mu się nagle bardzo bezpieczny, przyjazny i zachęcający do pozostania na zewnątrz. Tylko że chłopiec nie mógł sobie pozwolić na słabość.

– Wy nic nie musicie – spojrzał na przyjaciół – ale ja tak. Nie będę miał pretensji, jeśli ktoś teraz odejdzie.

A potem wyjął z kołczanu pochodnię wsuniętą tam w miejsce zużytych już strzał i zaczął krzesać ogień. Jakub miał rację – nasączona płynem i wysuszona tkanina zajęła się płomieniem dosłownie od pierwszej iskry.

Evah uniósł pochodnię nad głowę i wkroczył w mrok.

Rozdział 16

Strachy w ciemności



Od jakiegoś czasu szli wydrążonym w skale korytarzem, który opadał w głąb ziemi wprawdzie łagodnie, ale wyraźnie. Samym jego środkiem biegły dwie bruzdy, zdające się pozostawać od siebie w niezmiennej odległości, zupełnie jakby wykuli je ludzie, choć wyglądały raczej niczym wąskie koryta dwóch wąziutkich strumyków. Ich brzegi i dno pokrywała dziwna, szarawa substancja. Evah z ciekawości dotknął jej końcem miecza, a ostrze stuknęło, jakby spotkało się z metalem.

Chłopiec podążał pierwszy, za nim szedł Jakub, potem Cellara, następnie Grzywa, a na końcu Mavaren. Evah pomyślał, że tutaj bardziej od pochodni przydałaby się ślepa latarnia Grzmota, więcej by było widać.

– Niczego nie ruszaj – padło z tyłu ostrzeżenie kata. – W takich miejscach nigdy nic nie wiadomo.

– Byłeś już tutaj? – zapytał natychmiast Mavaren.

– Tutaj nie. Ale widywałem podobne podziemia. Zawsze są pełne niespodzianek.

– Pułapek? – zainteresował się Kellan.

– Również. Tylko że są najczęściej pamiątką po poprzednich mieszkańcach. Jednak nie możemy wykluczyć, że Szalony Mag przygotował coś własnego na powitanie niechcianych gości.

Evah syknął, żeby byli cicho, bo zdawało mu się, że na granicy światła dostrzegł jakiś

ruch. Podeszedł szybko dwa kroki, wyciągnął przed siebie pochodnię, jednak nic nie zobaczył.

– Co jest? – zapytała szeptem dziewczyna.

– Chyba mi się zdawało.

– Ja w tych katakumbach ciągle coś widzę – poskarżył się Kellan. – Co za przekłete miejsce!

– Spokojnie, nic jeszcze się przecież nie stało – odezwał się Mavaren. – Nie narzekaj jak baba.

– Tylko nie baba! – zaperzyła się Cellara. – Tylko nie baba! I czy ja narzekam? Za dużo sobie pozwalasz, książątko!

– Ty nie umrzesz własną śmiercią, dziewczyno – orzekł Mavaren. – Po prostu w pewnej chwili ktoś straci do ciebie cierpliwość...

Evah znów syknął. Tym razem miał pewność, że dostrzegł ruch. Jakub znalazł się przy nim, oddał mu swoją pochodnię i ruszył przed siebie.

– Dokąd... – zaczął chłopiec, ale uciszyło go mruknięcie kata. Następnie mistrz zniknął w ciemnościach.

Po chwili wrócił, odebrał pochodnię.

– Coś nas obserwuje – powiedział cicho. – Coś albo ktoś.

– Dlaczego poszedłeś bez światła? – zapytał Evah.

– Bo czasem lepiej coś rozpoznawać, kiedy człowiek nie zdaje się tylko na wzrok. Też wyczułem jakiś ruch, ale kiedy odwróciłem się w jego stronę, wszystko ucichło.

– Ale co to może być? – Kellan zbliżył się do dziewczyny, jakby chciał ją osłonić ramieniem. – Szczury?

Kat potrząsnął głową, ale znów podał pochodnię Evahowi i wydobyl flet z dziwnego drewna. Zabrzmiały ciche dźwięki tęsknej melodii. Chłopiec przymknął na chwilę oczy, chłonąc piękne tony.

– Na pewno nie szczury – powiedział Jakub. – Już by się pojawiły.

Nagle skoczył w prawo i sięgnął ręką w ciemność. Coś zachrobotało, zgrzytnęło. Jakub szarpnął mocno, aż się zatoczył, kiedy wyciągnął z mroku jakieś stworzenie. Wszyscy zadrżeli na widok czarnego niczym smoła, niezbyt wielkiego ciała z równie czarnymi trzema parami nóg i dziwaczными, zwiniętymi spiralnie czułkami na czymś, co przypominało głowę, choć dość odlegle, bo było bardzo kanciaste. Nogi bezradnie poruszały się w powietrzu, a dwuczłonowy korpus wielkości męskiej dłoni związał się w żelaznym uścisku Jakuba.

– Jeszcze cię ukąsi! – pisnęła dziewczyna. – Wyrzuć to!

Jakub nie zwrócił na nią uwagi. Obejrzał stworzenie dokładnie, szczególnie czułki, a potem nagle się pochylił, umieścił łeb stwora pod obcasem, nacisnął i mocno pociągnął korpus. Rozległo się chrupnięcie, ale nie był to wstrętny odgłos pękającego chitynowego

pancerza, jakiego spodziewał się Evah, tylko taki, jakby pękło twarde, nadpalone drewno. Rozległ się syk a nozdrza wędrowców wypełnił zapach przywodzący na myśl mocno rozgrzaną smołę. Zaraz się jednak ulotnił, pozostawiając tylko nieprzyjemne wspomnienie.

Kat odrzucił stworzenie w ciemność. Stuknęło głośno o ścianę, a potem o podłogę.

– Co to za zwierzę? – zapytał Mavaren, uprzedzając Evaha.

– To nie zwierzę – odparł Jakub. – To nawet nie jest żywe.

Kellan zadrżał, stojąca tuż przy nim Cellara również.

– Chcesz powiedzieć, że to jakiś upiór? – zapytała z niedowierzaniem.

– Niekoniecznie.

– Widziałeś już coś takiego! – bardziej stwierdził, niż zapytał Evah.

– Widziałem coś podobnego – potwierdził kat. – Ale gdzie indziej i dawno temu. Szalony Mag musi mieć wielkie umiejętności, kimkolwiek jest. I dużą wiedzę, skoro potrafi korzystać z usług tych... hm... stworzeń. Tak je nazwijmy, bo w końcu zostały jakoś tam stworzone.

– Obserwują nas, tak? – Evah uniósł wyżej pochodnię. – Ale w pojedynkę nie są groźne?

– Doskonale rozumiesz – pochwalił go Jakub. – Mam tylko nadzieję, że nie otacza nas ich zbyt wiele, bo z takimi pozornie słabymi istotami jest jak z szarańczą. Jedna, dwie, a nawet dziesięć sztuk nie spowodują spustoszeń, ale kiedy zbierze się wielkie stado, wszystko przed nimi umyka, potrafią zabić najsilniejsze nawet zwierzę.

Poszli dalej, jeszcze ostrożniej niż do tej pory. Teraz Evah już wiedział, że ruch, jaki łowił od czasu do czasu na samym skraju kręgu światła, nie jest tylko złudzeniem. To go nawet w pewien sposób pocieszało, bo przedtem myślał, że ze strachu zmysły i umysł płatają mu figle. Z drugiej strony, ten podobny do wielkiej kanciastej mrówki stwór, który zginął pod butem Jakuba, budził w chłopcu jakiś dziwny lęk i obrzydzenie, chyba nawet większe niż wtedy, gdy musiał włożyć rękę do skrzynki prawdy z uwięzionym w niej skorpionem. To było coś obcego, co nie powinno się znajdować w świecie, jaki znał. A człowiek zawsze najbardziej lęka się rzeczy, których nie zna i nie wie, jak sobie z nimi radzić.

– Na pewno dobrze idziemy? – zapytał z tyłu Mavaren. – Strasznie długi ten korytarz. I cały czas opada w dół...

– Na razie nic pewnego nie potrafię powiedzieć – odrzekł Evah. – Ale wszystko się zgadza z tym, co mówił Droin. I co jest w wierszu. „Gdy w czeluść ziemi się pogrążysz, napotkasz tajemnicze miejsca i dziwy wielkie cię otoczą. Lecz na spotkanie pragnień zdążysz, serce pożaru niech nie wznieca, bo strachy z drogi rozum zбочą”.

– Naprawdę marna ta poezja – burknął Mavaren, ale nikt mu nie odpowiedział.

Evah pomyślał, że woli chyba jednak iść przodem, niż być na miejscu księcia i zastanawiać się, czy coś się nie czai w ciemnościach za plecami.

Nagle z przodu rozległo się jakieś szczęknięcie i warkot. Stanęli, wstrzymali oddechy. A potem warkot ucichł, za to usłyszeli świst, następnie jakby stęknięcie i szum. Ten szum

zbliżał się szybko, jakby coś podążało w ich stronę. Do szumu dołączył stukot, delikatny, ale zauważalny. Evah wsłuchał się w odgłosy. Tak nieraz stukotały poluzowane sworznie przy osiach wozów, tyle że o wiele wolniej.

Spojrzał na wyżłobienia w podłodze, potem przed siebie.

– Pod ściany! – krzyknął, ledwie zrodziło się w nim mętne podejrzenie i zanim zdążył dokończyć ciąg skojarzeń.

– Pod ściany! – zawołał prawie w tej samej chwili Jakub. – Szybko!

Nie myśląc o towarzyszących im stworach, uskoczyli, przywarli plecami do chropowatej skały. Evah poczuł, że coś umyka przed nim w ostatniej chwili, zaklął w duchu, ale na szczęście nie dotknął okropnej mrówki, bo to była na pewno jedna z nich.

A szum i stukotanie zbliżyły się, po twarzy chłopca przemknął lekki podmuch, a potem o pół kroku przed Evahem przemknął ciemny, połyskujący mętnie kształt. W świetle pochodni mignęły niewielkie koła, ale trwało to mgnienie oka, krócej niż mrugnięcie, i szum oddalił się w kierunku, z którego przyszli.

– C...co to było? – wydyszał Kellan. – Ktoś wie?

Odpowiedziało mu milczenie. Zebrali się pośrodku tunelu, świecąc dookoła pochodniami.

– J...jakby jakiś wóz! – powiedział Grzywa. – Tylko nie widziałem, co go ciągnęło albo może pchało. Czyżby duchy? Ten Mag ma je na swoich usługach jak nic! Już po nas!

– Przestań! – huknęła na niego Cellara. Jej głos również pobrzmiwał paniką, ale próbowała nad sobą panować skuteczniej niż Grzywa. – Przestań! Nie ma żadnych duchów!

Evah też czuł ogromny strach. Jednak to on przecież przyprowadził tutaj ich wszystkich, nie mógł poddać się tak łatwo. Zmusił umysł do pracy.

– Te rowki – powiedział. – One są jak koleiny w drodze. Gospodarz może puścić konie wolno, nawet iść na stronę, a wóz sam nimi pojedzie. Osioł czy szkapa nawet gdyby chciały, nie skręca, nie dadzą rady wybić kół z kolein. To, co nas minęło, jechało właśnie w tych rowkach, tak mi się teraz zdaje.

– Słusznie ci się zdaje – potwierdził Jakub. – Można zobaczyć coś podobnego w cesarskich kopalniach, tyle że tam nie drąży się skały, aby prowadziła koła, bo to kosztowałoby zbyt wiele czasu i pracy, tylko kładzie się wąskie, twarde żerdzie lub nawet żelazne pręty, aby utrzymywały w ryzach wózki z urobkiem. Dzięki temu wydobywanie idzie szybciej. A jeśli dobrze przyuczyć zwierzęta, mogą ciągnąć ciężar nawet bez ścisłego nadzoru wozaków.

– Tak, coś obito mi się kiedyś o uszy – rzekł Mavaren. – Ale nie byłem w cesarskich kopalniach, myślałem nawet, że to jakieś bajki.

– Czego to człowiek nie wymyśli – mruknął Kellan.

– A ty co, widziałeś takie kopalnie? – Cellara swoim zwyczajem zadała pytanie dość napastliwie, jakby wątpiąc w prawdomówność towarzysza.

– Widziałem z bardzo bliska – odparł kat. – Bardziej z bliska, niżbym chciał.

– Tylko co ciągnęło ten wózek?! – Grzywy w tej chwili nie ciekawiły przeżycia Jakuba, tylko to, co wydarzyło się przed chwilą.

– Albo pchało – uzupełnił Evah.

– Właśnie – zgodził się Kellan. – Albo pchało. Nic nie widziałem! Jakies niewidzialne stwory? Jak ten cały leśny morderca, cośmy mu łapę ucieli?

– Nie przypuszczam – powiedział Jakub. – Tutaj działają siły, które zaprzęgał w swoją służbę Szalony Mag. Naprawdę musi posiadać dużą wiedzę.

– Zatem czary? – Kellan wydawał się nieco uspokojony tą wiadomością. – Oczywiście. Skoro to Mag, musi czarować, inaczej by go tak nie nazywano.

– Czary – rzekł w zamyśleniu kat. – Cóż, lisowi czy wilkowi też możesz się wydawać wielkim czarownikiem, kiedy używasz krzesiwa i rozpalasz ogień.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Mavaren. Evah chciał również wiedzieć, więc tym pilniej nadstawił uszu.

– Nic więcej niż powiedziałem – uciął mistrz małodobry. – Może przyjdzie taka chwila, że zrozumiesz. Nie pora teraz na wyjaśnienia. Chodźmy dalej, tylko nasłuchujmy wszelkich odgłosów. Lepiej dotrzeć do celu później, niż wcale.

– Im ciszej jedziesz, tym dalej zajedziesz – uzupełnił Evah.

Czekał, aż Kellan się obruszy, ale przyjaciel tym razem nie zwrócił uwagi na przysłowie. To znaczyło, że naprawdę się bał.

Przeszli jeszcze dobre pół tysiąca kroków, kiedy trafili na rozwidlenie korytarza. Droga dzieliła się na trzy nieco węższe – dwie wiodły na skos w prawo i w lewo, trzecia zaś szła środkiem jako przedłużenie dotychczasowej trasy. A do tego w poprzek biegł jeszcze jeden korytarz, prostopadły do tego, którym nadeszli.

– Którędy dalej, nasz przewodniku? – spytał Mavaren. – Co o tym mówi wierszyk?

– „Gdy dotrzesz tam, gdzie drogi różne, tym razem serce miej w potrzebie. Niech ono wskaże, co ci dłużne, inaczej otchłań cię pogrzebie”.

– Bogowie – jęknął książę. – Gdyby na dworze mojego brata pojawił się wędrowny pieśniarz z czymś tak podłego gatunku, kazałbym go obatożyć i wygnąć.

– Przestań już wydziwiać! – obruszyła się Cellara. – Myślałby kto, że taki z ciebie znawca! Jakoś tego po twoich manierach nie widać.

– Maniery nie świadczą o guście! – odszczeknął się książę. – Powinnaś o tym wiedzieć lepiej ode mnie!

– Spokój! – Evah wreszcie się zirytował. – Musimy iść tym korytarzem w lewo na skos.

– Serce to przecież lewa strona – zaprotestował Kellan. – Więc dlaczego akurat na skos? A może trzeba skręcić w ten szerszy?

– Nie! – odparł syn myśliwego. – Serce jest po lewej stronie, to prawda, ale nie tak zupełnie, bo bliżej środka. Gdyby chodziło o ostry skręt w bok, wiersz by brzmiał inaczej.

– A jeśli nie? Jeżeli trzeba zrobić, jak mówię? Z wiersza to nie wynika.

– Ale wynika z tego, co mi powiedział Droin Mądry! – Evah podniósł głos. – A powiedział, że chodzi o drogę, która odchodzi łagodnie, a nie ostro!

Kellan ze złości zgrzytnął zębami.

– To dlaczego od razu nie mówisz, tylko się wymądrzasz? Jak z tym durnowatym przysłowiem o dojechaniu!

A jednak dosłyszał przysłowie. Evahowi przeszło rozdrażnienie, uśmiechnął się.

– Może chciałem się wydać mądrzejszy, niż jestem.

Wyjął z worka na plecach następną pochodnię, zapalił ją od resztek pierwszej, po czym ruszył wybranym korytarzem. Inni pośpieszyli za nim.



Jeszcze dwukrotnie odskakiwali pod ściany przed pędzącymi wózkami. Ten korytarz był węższy, więc rozpędzony pojazd prawie ich muskał, kiedy przyciskali się do ścian. Evah pomyślał, że jego przyjaciel Kałdun nie dałby chyba rady wciągnąć brzucha na tyle, żeby wózek go nie zawadził.

Westchnął na wspomnienie Werbla i Kałduna. Przydaliby się tutaj ci dzielni żołnierze, chętnie by ich zamienił za dziewczynę i młodszego del Berwena. Skarcił się jednak zaraz za tę myśl. Przecież księżę go nie porzucił, chociaż Evah zwolnił go z obowiązku. Zresztą, nikt by nie mógł zmusić Mavarena do dalszej podróży, gdyby ten zechciał po prostu odejść. No i wykazał się męstwem w Lasach Kerenu. A Cellara... Przecież okazała się bardzo przydatna, kiedy trzeba było rozwiązać zagadkę ze słowami.

Pochodnie już się dopalały, a końca korytarza nie było widać. Ale też Evah nie miał pojęcia, ile trzeba będzie iść. Wiersze, których nauczył się na pamięć podczas spotkania z Droinem, nie mogły już pomóc. Wskazówki kończyły się na wyborze tego korytarza. Dalej musieli sobie radzić sami.

– Nikt nie doszedł dalej – wyjaśnił chłopcu mnich. – Nieliczni śmiałkowie, którzy zdołali wrócić, mówili właśnie o tym tunelu.

– To skąd wiadomo, że chodzi o ten? – spytał natychmiast Evah.

– Bo o innych nikt nic nie wie. A na pewno wybierali różne. Ci, co weszli do innych, po prostu wcale nie wrócili. Wiem, że dojdzie się nim do jakiegoś wielkiego pomieszczenia, ale wszyscy, którzy tam dotarli, umykali z powrotem, ile sił w nogach. Niektórzy opowiadali później takie rzeczy, że umieszczano ich w przytułkach dla obłąkanych. Inni znowu nie chcieli w ogóle mówić o tym, co ich spotkało. Powtarzali tylko, że Szalony Mag jest najpotężniejszym z czarnoksiężników i nikt nie zdoła mu się oprzeć.

Evah czuł, jak serce wali mu coraz mocniej. Na co się porwali? Czy miał prawo narażać towarzyszy na takie niebezpieczeństwo? Z drugiej strony, sam Droin mówił, że nie można

wierzyć we wszystko, co mówią ludzie, którzy doznali silnego wstrząsu.

– Gdybym sądził, że czeka was tam niechybna śmierć, nic bym ci nie powiedział – rzekł.

– Ale przecież są tacy, którzy zdołali wrócić. A to znaczy, że można się cofnąć i uratować, szczególnie gdy coś się już wie zawczasu.

Nagle Evah poczuł na twarzy chłodniejszy podmuch. Nie było to złudzenie – z każdym krokiem powiew się wzmaczał. Czyżby wreszcie gdzieś dochodzili?

Stanął, uniósł rękę. Zaraz pojawił się przy nim Jakub.

– Musimy być bardzo ostrożni – powiedział cicho. – Jeśli wejdziemy do jakiejś groty, nie idź od razu w głąb.

– Jasne – odparł Evah. – Trzeba zapalić od razu nowe pochodnie, żeby nam te nie pogasły w najmniej spodziewanej chwili.

– Racja.

Po niedługim czasie ruszyli dalej. Towarzyszył im bezustanny ruch i cichutkie postukiwanie, ale do obecności wielkich kanciastych owadów już przywykli, chociaż starali się trzymać jak najdalej od ścian, a pochodnie unosili wyżej, niż trzeba, żeby płoszyć stwory podążające po sklepieniu. Evah nie wiedział, jak inni, ale on miał dreszcze na myśl, że coś takiego mogłoby mu spaść na głowę.

Wreszcie w kręgu światła odciął się wydłużony kształt – półowalny, zupełnie czarny zarys na tle podświetlonych ścian.

– Wyjście – szepnął z tyłu Grzywa.

– Albo wejście – dodała Cellara. – Zależy jak na to spojrzeć.

– Mam już serdecznie dość tego korytarza! – odrzekł Kellan. – Zdaje mi się, że zaraz zacznę się dusić. Niech już tam będzie, co chce.

– Bądźcie cicho – fuknął na nich z tyłu Mavaren. – Evah, Jakub, widzicie coś?

– Tylko otwór – zameldował chłopiec. – Zrobimy tak, że pójde sam i zobaczę, co tam jest.

Nie czekając, co powiedzą inni, ruszył do przodu. Powstrzymała go mocna dłoń kata.

– Razem pójdziemy – mruknął Jakub.

Evah nie zamierzał protestować. Ucieszył się, że nie będzie musiał wkraczać na nieznaną teren zupełnie sam.

Poszli, zachowując najdalej posuniętą ostrożność. Kiedy znaleźli się w samym otworze, zatrzymali się, a on wyciągnął przed siebie pochodnię. Podłoże wyglądało solidnie, podobnie jak w korytarzu, wgłębienia w posadzce biegły dalej prosto.

– Wchodzimy – szepnął i postąpił krok naprzód. Jakub uczynił to samo.

Nic się nie wydarzyło. Wiedzieli tylko, że znajdują się w jakimś pomieszczeniu, ale ciemność nie pozwalała określić jego wielkości. Chłopiec miał z jakiegoś powodu wrażenie, że musi być olbrzymie. Może to przez ten podmuch w korytarzu, który tutaj zamienił się w delikatny zefirek, jakby nie potrafił wypełnić ogromnej przestrzeni? A może raczej dlatego, że kiedy Evah niechcący zaszurał podeszwą po posadzce, odgłos zaginął, jakby

mrok zupełnie go pochłonał? W niewielkiej jaskini rozległby się krótkim pogłosem, w większej wrócił echem.

Jakub zamachał pochodnią, próbując wydobyć z ciemności coś więcej, ale oprócz drobnych cieni, rozbiegających się na wszystkie strony, nic nie udało mu się zobaczyć.

– Co tam? – zapytał z tyłu Mavaren. Mówił przytłumionym głosem, ale w zupełnej ciszy wszystko było doskonale słychać.

– Możecie przyjść – odpowiedział Evah. – Nie powinniśmy się rozdzielać...

Spojrzał na Jakuba, który próbował przebić wzrokiem ciemność i spytał niepewnie:

– A może powinniśmy? Może tak by było bezpieczniej?

– Nie wiem. – Kat drgnął, jak wyrwany ze snu. – W takich razach nigdy nie wiadomo, co jest najwłaściwsze.

– A co ci podpowiada twoje doświadczenie? – Evah liczył na to, że ktoś, kto chodzi po świecie tak długo, jak małodobry, wie więcej niż inni.

– Moje doświadczenie podpowiada mi, że człowiek przekonuje się dopiero po wszystkim, co byłoby lepsze.

– Życie jest jak gra w karty, tak? – Mavaren stanął obok mistrza. – Rzucasz mocną, a podnosisz blotkę, po czym za chwilę tracisz cennego tuza, bo ktoś cię przebił i wtedy żałujesz, że nie postąpiłeś odwrotnie. Ale gra już skończona, a kiedy coś podobnego zdarzy się kolejny raz, nadal będziesz tak samo głupi, jak przedtem.

– Coś w tym rodzaju – zgodził się Jakub. – Tak czasem bywa. Wtedy, kiedy nie wiadomo, co należy uczynić i trzeba się zdać na los albo wycucie.

– Bardzo to pocrzepiające – wymruczała Cellara. Wcisnęła się między Evaha a Jakuba. – Wicie, jak pocieszyć wystraszoną niewiastę.

Chłopiec usłyszał z tyłu gniewne sapnięcie. To Kellan nie mógł przeboleć, że dziewczyna nie chroni się pod jego skrzydła. Chcąc nie chcąc, stanął obok Evaha.

– Nikt cię nie zamierzał pocieszać – powiedział książę. – Jeśli się tak boisz, mogłaś z nami nie leżeć.

– A ty co, wcale nie czujesz strachu?

Mavaren wzruszył ramionami tak gwałtownie, że niechcący potrącił Jakuba. Kat zerknął tylko na niego, ale nic nie powiedział.

– Czy twierdzę, że nie czuję? – Książę prychnął gniewnie, lecz zaraz ściszył głos. – Ale nie narzekam, że serce mi ucieka w pięty. To nikogo wielce nie ciekawi. I nawet nie powinno.

Czekał na ripostę, jednak dziewczyna nie odpowiedziała. Może dlatego, że rozległ się za nimi narastający chrobot, jakby z tunelu wysypywało się całe stado koszmarnych mrówek, szurając cienkimi odnóżami.

Odwrócili się jak na komendę i rzeczywiście zobaczyli, że pędzi ku nim fala wielkich czarnych owadów. O ile w pojedynkę wyglądały niezbyt szkodliwie, tyle że wstrętne, o tyle

w takiej masie budziły grozę. W pierwszej chwili rzucili się do ucieczki, ale Evah nagle coś sobie uświadomił. Nie mieli szans uniknąć tej błyskawicznej nawały, a bieg mógł się skończyć smutno, bo nie mieli pojęcia, co jest przed nimi. Może jakaś przepaść? Może dół najeżony kolcami?

– Stójcie! – krzyknął i sam się zatrzymał, wbrew sobie, wbrew temu, czego żądała przerażona dusza. – Stójcie i nie ruszajcie się. Ominą nas!

Jego towarzysze biegli dalej, jedynie Jakub go usłuchał, zamarł o kilka kroków od chłopca.

– Stójcie! Tak kazał Droin! – wrzasnął chłopiec. – Inaczej po was!

To poskutkowało. Przystanęli wreszcie. Evah widział punkty w płomieniu pochodni i niewyraźne sylwetki przyjaciół. Mrówki już ogarnęły jego stopy. Chłopiec zastanawiał się, czy za chwilę nie rozniosą ich wszystkich na strzępy, nie zaczną pożerać od dołu, nie wbiegną na nich, żeby dobrać się do gardeł i oczu. Przecież skłamał, bo Droin nie mówił nic na temat stawania w bezruchu. Nie przestrzegał nawet przed tymi stworami.

Okazało się jednak, że Evah miał rację. Tysiące mrówek przebiegło obok nich i popędziło dalej, a po chwili zrobiło się pusto. A przynajmniej tak się zdawało.

Jakub podszedł powoli do chłopca.

– Doskonale – szepnął. – Ale mnich o tym nie wspominał, prawda?

– Prawda – odszepnął Evah. – Opowiadał jednak, że niektórzy zdołali stąd uciec. Jeśli szli naszym korytarzem. Czyli te małe bestie ich nie ruszyły. Na to liczyłem.

– I słusznie – mruknął kat. – Zagrałeś i wygrałeś. Tym razem padła dobra karta. A ci, którzy zdołali uciec... Pewnie mrówki zupełnie ich zaskoczyły, zanim zdążyli się ruszyć i dlatego nie biegli, a po takim przeżyciu woleli uciekać w stronę, z której przyszli. Albo uciekali i zostali ogarnięci, ale nic im się nie stało, po czym dopiero się cofali. Chociaż coś mi się zdaje, że gdybyśmy uciekali, to wtedy te małe bestie mogłyby nas zaatakować.

– Nie mówiąc już o tym, że można skrócić kark, jeśli się na taką nadeptnie w pędzie i pośliznie. Można też poszarpać obuwie, a potem przeciąć żyły o szczątki tej nadeptniętej mrówki – dodał chłopiec.

– To prawda.

– O czym szepczecie? – zapytała zaczepnie Cellara. Dołączyła już do Kellana i księcia, zbliżyli się razem do rozmawiających.

– O niczym ważnym – odpowiedział nieco opryskliwie Evah. – Zastanawiamy się, co robić dalej.

Mavaren mruknął coś podającego w wątpliwość prawdomówność chłopca, ale nie doczekał się odpowiedzi. Evah nie zamierzał im wszystkim tłumaczyć, że kierował się bardziej przecuciem niż rozsądkiem. Nie teraz. Wystarczy, że Jakub się domyślił, ale on przecież nic nie powie.

– To co dalej? – nie ustępowała Cellara.

– Trzeba się rozejść...

Nie dokończył, bo nagle zrobiło się jasno. Chociaż nie, nie można powiedzieć, że jasno. Pomieszczenie wypełniło bowiem dziwne, bure światło, budzące bardzo nieprzyjemne skojarzenia. Było niewyraźne, jakby ze swojej samej natury matowe i zamglone, ale mogli przynajmniej zobaczyć, że znajdują się w naprawdę ogromnej hali.

– Na bogów i Przedwiecznych – wymamrotał Mavaren. – Co to jest?!

Rozdział 17

Bure światło



Stali i rozglądali się na wszystkie strony. Mętne światło płynęło jakby zewsząd i zarazem znikąd, nie sposób było się domyślić jego źródła, a to przyprawiało Evaha o dreszcze. Widział też wyraźnie, jak drży pochodnia w dłoni Grzywy, jak grymas strachu wykrzywia śliczną twarz Cellary, jak Mavaren zaciska usta, żeby nie zakłąć, nie przerwać ciszy. Bo cisza zapanowała ogłuszająca. Tak już nawykli do ustawicznego chrobotu odnóży wielkich mrówek, że przestali zwracać nań uwagę. Ale teraz, kiedy fala nibyowadów pomknęła gdzieś w głąb jaskini, zrobiło się naprawdę cicho. I to również było przerażające.

Tylko Jakub nie okazywał strachu. Na jego obliczu można było dostrzec niechęć i jakby obrzydzenie. Nie patrzył w taki sposób nawet na schwytanego czarnego owada. Ale Evah po raz kolejny doszedł do wniosku, że mistrza nie można mierzyć zwykłą miarą. Chłopiec nie miał zresztą pojęcia, czy małodobry w ogóle naprawdę potrafi się bać. Jeśli żył bardzo długo, mógł pogodzić się z najróżniejszymi rzeczami i kolejami losu.

Evah jeszcze nigdy nie widział tak ogromnego pomieszczenia. Sklepienie ginęło w mroku, rozproszone światło nie sięgało tak wysoko. Stali niedaleko wyjścia z tunelu, a przed nimi rozciągała się ogromna przestrzeń; przeciwległa ściana również była niewidoczna, chociaż dostrzegali koleiny na co najmniej dwieście kroków przed sobą, a może i więcej. Za to doskonale mogli dostrzec najbliższe otoczenie.

– Co to za rzeźby? – spytał szeptem Kellan.

Miał na myśli dziwne kształty, wystające ze ścian regularnie co kilka kroków. Wszystkie mierzyły co najmniej dwadzieścia stóp wysokości i pięć lub sześć szerokości, do tego były obłe, beczkowate. Każdą w trzech miejscach okalały pasy, z których wystawały spore guzy o kształcie spłaszczonych półkul.

– Brzuchaci bogowie... – wymruczała drżącymi wargami Cellara.

– Nie wiem, czy to rzeźby jakichś bogów – mruknął Mavaren. Mrużył oczy, żeby dostrzec wyraźniej zarysy. – Mnie przypominają raczej ogromne beczki. Ale dziwne beczki, bo bez klepek. Są zupełnie gładkie.

– Tam wyżej są jakieś twarze! – zaprotestował Grzywa. – Nie widzicie?

Evah przyjrzał się, ale w tym świetle widział tylko rozmazane kształty nieco nad obłóściami. Rzeczywiście, to mogły być twarze. Wzdrygnął się. Czyżby znaleźli się w podziemnej świątyni?

– To nie twarze – powiedział Jakub. – To następne podobne beczki, tylko mniejsze.

– Skąd wiesz? – spytała natychmiast Cellara. Po pierwszej paraliżującej fali strachu odzyskała głos.

– Widzę – odparł Jakub. – Taka mnie dręczy przykra dla niektórych przypadłość, że mimo wypomnianego przez ciebie wieku, wzrok i słuch mi dopisują. To chyba dobrze, że nie mam żony i dzieci, bo nic by się przede mną nie ukryło. A to bywa bardzo uciążliwe. – Najwyraźniej próbował rozweselić towarzyszy, ale im absolutnie nie było do śmiechu.

– Że też masz siłę żartować – obruszył się Mavaren. I dodał po chwili: – Mistrzu.

– Daj już spokój z tym mistrzowaniem, wasza wysokość – odparł Jakub. – Nie pora na takie uprzejmości, a tym bardziej złośliwości. Dotyczy to również was wszystkich.

– Właściwie uprzejme złośliwości. – Mavaren uśmiechnął się z przymusem. – Do mnie też już nie mów wasza wysokość. Niech nikt tak nie mówi. Jedziemy w końcu na tym samym wozie...

Wzdrygnął się, zerkając na koleiny.

Przyglądali się ścianom. Beczkowate kształty biegły w obie strony. Evah zastanawiał się, czy tak ściśle otaczają całe pomieszczenie. A jeśli tak, czym są, bo na pewno nie dziełami sztuki. Chyba że ktoś, kto mieszkał w podziemiach, cenił sobie właśnie takie dokonania artystyczne.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytała Cellara. – I co to za światło? Dlaczego jest takie brudne?

Syn myśliwego spojrział na dziewczynę. Właśnie tego słowa mu brakowało! Światło nie było ani mętne, ani przyćmione, ani nawet bure. To znaczy, było takie, ale te wszystkie określenia nie wyczerpywały jego natury. Było właśnie takie, jak powiedziała – brudne! Wszystko zdawało się w nim mieć jedną szarorudą barwę, tylko o różnych odcieniach. Nawet jasne włosy Kellana i ciemne księcia wyglądały bezbarwnie. Kasztanowe pukle Cellary wydawały się nijakie. Tylko czerń, w którą przybrany był Jakub, pozostawała

czernią, chociaż oświetlenie zdawało się nawet ją nieco rozmywać, przesuwając w stronę mdłych brązów.

– Nie wiem, gdzie jesteśmy – przyznał Evah.

– Jak to? – zdziwiła się Cellara. – Przecież Droin dał ci wskazówki.

– Ale one się skończyły, co? – Mavaren wciąż się rozglądał, tylko przez krótką chwilę spojrzął na Evaha. – Gdyby było inaczej, nasz młody przyjaciel już by wyrecytował kolejny urywek. Mylę się? – Teraz wlepił w chłopca ostre spojrzenie.

– Nie, nie mylisz się, książę... To znaczy, Mavarenie. Droina nazywają Mądrym, a nie wszechwiedzącym. Przekazał mi tyle, ile mógł. Nic więcej.

– Czyli co? Dalej idziemy zupełnie na oślep? – syknął książę.

– W tym względzie chyba niewiele się zmieniło – zauważył trzeźwo Kellan. – Od samego początku błądzimy po omacku.

Mavaren machnął tylko na niego ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie spodziewał się po chłopaku niczego innego niż poparcia dla przyjaciela.

– Co zamierzasz dalej, nasz wodzu? – zapytał ze złością. – Będziemy tu stać i czekać na zmiłowanie? Albo na coś wręcz przeciwnego?

Evah nie odpowiedział. Dał tylko znak, że ruszają dalej. W tym względzie książę miał rację – powinni coś zrobić, bo beczynność nic im nie dawała, a czas mógł przynieść następne przykre niespodzianki.

Poszli więc po płaskiej jak stół podłodze wielkiej pieczary. Od razu rzucało się, w oczy, że nawet podłoga nie może być w najmniejszym fragmencie dziełem natury. Było zbyt gładkie, pozbawione najmniejszych wybrzuszeń.

– Jakby pracował tu najlepszy cech kamieniarzy – szepnął Kellan. – Tylko raz widziałem tak gładką posadzkę. Ale to była piwnica, taką można i samemu wygładzić, jak się ma narzędzia. Ale tutaj? Ze dwa miejskie cechy by musiały obrabiać kamień. A i to takiej gładzi by nie uzyskały...

Schylił się, przeciągnął palcami po powierzchni.

– Jak stół – oznajmił z podziwem. – Wyheblowany i wyszlifowany. Albo jak aksamit.

Evah z ciekawości również dotknął podłoga.

– Nawet drobinki kurzu – mruknął.

– Może te mrówki wszystko zebrały? – Cellara poszła w ślady chłopców.

– Idziecie? – Mavaren obejrzał się na młodych, którzy przystanęli i w skupieniu oglądali kamienną podłogę. – To chyba nie jest teraz najważniejsze! U mojego brata z podłóg można jeść, takie są czyste.

– I takie gładkie? – spytała Cellara.

– Co za różnica? – zirytował się książę. – Chcecie tu zostać i napawać się urodą posadzki?

Jakub nie zatrzymał się, szedł dalej wzdłuż rowków. Evah miał dziwne wrażenie, że dla kata otoczenie nie było tak bardzo obce, jak dla nich.

– Mavaren ma rację – orzekł. – Idziemy.

– Zgaśmy pochodnie – zaproponował Kellan. – W zapasie zostały po dwie, szkoda marnować tego, co mamy.

– I to racja – zgodził się Evah. – Sam powinienem o tym pomyśleć.

– Nie możesz myśleć o wszystkim – odparł Grzywa. – Tylko jak je tutaj zgasić? Są gorące, nie ma ziemi ani piasku... Zdeptać też szkoda, bo się zupełnie zmarnują.

Jakub zawrócił, podszedł do grupki. Jego pochodnia już nie płonęła.

– Podawajcie mi je po kolei – powiedział.

Evah natychmiast wyciągnął swoją. Kat odebrał ją, włożył pod płaszcz. Chłopiec już miał zaprotestować, obawiając się, że małodobry się poparzy, ale zanim wydobył głos, Jakub oddał mu zgaszoną pochodnię. Nawet się nie tliła. Po kolei oddawali mu płonące gałęzie, a on dusił płomienie, zupełnie jakby to były zwykłe świeczki.

– Powiedz jeszcze, że tym płaszczem gasisz pożary – powiedział Mavaren. Był pod wrażeniem, ale nie potrafił darować sobie złośliwego tonu. – Powinieneś zostać dowódcą straży ogniowej w Sevli albo innej stolicy.

– Jak to robisz? – zapytał Evah.

Z wrażenia na chwilę zapomniał, w jakiej znaleźli się sytuacji. Widział bowiem, że Jakub wykonuje tylko niewielki ruch dłonią ukrytą pod płaszczem, a pochodnia zaraz gaśnie.

– Powiedzmy, że ogień nie bardzo mnie lubi – uśmiechnął się lekko kat. – Pamiątka z odległej przeszłości.

– Musisz kiedyś o tym opowiedzieć... – zaczął chłopiec, ale zaraz zamilkł. Zdał sobie sprawę, że spraw, o które chciałby zapytać Jakuba, jest coraz więcej i zapewne nie będzie czasu o nich wszystkich mówić. – Ale na razie chodźmy dalej. Wzdłuż tych... – Nie mógł znaleźć innego odpowiedniego słowa na wgłębienia w posadzce, więc dokończył: – Wzdłuż kolein. Gdzieś nas chyba zaprowadzą.

Zawiodły ich w miejsce, gdzie ze zdumieniem zobaczyli inne podobne rowki. Zbiegały się w jednym miejscu, tworząc coś w rodzaju wieloramiennej gwiazdy. To znaczy, zbiegały się tutaj, ale nie przecinały w jednym punkcie. Sam środek pozostawał wolny, tworząc całkiem spory placyk. Wokół niego biegły koleiny w formie dużego okręgu. To do niego dochodziły te proste i dlatego skojarzenie z gwiazdą było jeszcze mocniejsze.

– Wygląda na to, że jeśli wóz z którejś strony dojedzie tutaj, może wjechać na to koło, a potem zjechać na które chce albo ktoś go zepchnie – powiedziała Cellara.

– Skąd wiesz? – spytał podejrzliwie Mavaren. – Byłaś już tutaj?

– Zgłupiałeś? – oburzyła się. – Ale widziałam coś takiego. W ogrodzie ochmistrza, przyjaciela mojego ojca, jest coś podobnego. Tylko że nie ma tam takich kolein, lecz zwykłe ścieżki. Jest ich osiem i wychodzą z takiego okręgu biegnącego wokół pięknego klombu. Służący noszą tace z ośmiu kuchni, leżących na końcach drózek. Altany dla gości znajdują się przy nich. No i taki służący najpierw znosi część potraw do tych, które ma po drodze,

a potem wchodzi na ten okrąg, żeby zmienić ścieżkę i pójść do następnej altany. Potem znów wraca na okrąg, przechodzi na następną ścieżkę i odwiedza kolejnych gości. A jeśli już nie ma nic na tacy, wraca do przydzielonej mu kuchni w ten sam sposób. Zawsze uwielbiałam obserwować krzątanię służących, bo jeśli jest duże przyjęcie, to bywa ich nawet ponad stu. A roją się jak pszczoły, niby bez celu, ale...

– Pszczoły nie roją się bez celu – zaprotestował Evah. – Tak to może wyglądać na pierwszy rzut oka, ale kiedy się przyjrzeć...

– Dlatego powiedziałam „niby bez celu” – teraz dziewczyna przerwała chłopcu. – Bo w tym jest zachowany wielki porządek. Jak u pszczół! – Obdarzyła Evaha spojrzeniem pełnym wyższości. – Masz mnie za głupszą, niż jestem, a to błąd!

– Ale znaleźliście sobie porę na swary! – burknął Kellan. – Tylko jak te wózki niby wjeżdżają a potem zjeżdżają...

Mówił coraz wolniej, bo w miarę, jak przyglądał się konstrukcji, zaczynało do niego docierać rozwiązanie.

– Patrzcie! – zawołał, ale zaraz ściszył głos, jakby się bał, że obudzi jakieś nieprzyjemne siły. Poszedł w lewo, zawrócił, minął towarzyszy i przeszedł w prawo. A potem stanął obok dziewczyny. – Każda para kolein rozwidła się o parę kroków przed tym kolistym przejazdem. Biegają do niego łukiem, żeby łagodnie zjechać. To znaczy są dwa łuki, drugi dla wjeżdżającego wózka. I tworzy się taki wklęsły trójkąt.

– No tak! – powiedziała odkrywco Cellara. – Dzięki temu mogą się poruszać w każdą stronę! I każdy wózek można wysłać, gdzie się chce.

Tak się zapatrzyli na odkrycie, że dopiero ostrzegawczy okrzyk Jakuba przywołał ich do przytomności.

– Odsuńcie się!

Teraz Evah usłyszał znany już stukot. Z lewej strony wyłonił się wózek. Pędził jak koń w galopie, lecz zanim dotarł do okręgu, zwolnił, a potem powoli wtoczył się na niego i ruszył dookoła. Syn myśliwego czekał, aż pojazd dotrze do nich, ale on nie przetoczył się tak daleko, tylko zjechał wcześniej i podążył w lewo.

– Bogowie – szepnął Kellan. – Jeśli to nie są czary, to ja jestem kapłanem w klasztorze bogini jesiennych deszczów! Jak spotkam starego Lerrena, który mi opowiadał o tym, że magia naprawdę istnieje, pocałuję go w lewą piętę i przeproszę, żem go wówczas wyśmiał!

– Gdzie my jesteśmy?! – Cellara spojrzała na Evaha. – Powiedz, mądralo!

Chłopiec wzruszył ramionami, cokolwiek rozdrażniony. Nie mógł rozgryźć tej dziewczyny. Raz była bezczelna i niesłuchanie wręcz denerwująca, raz pomocna i rozsądna, raz po prostu złośliwa, a innym razem zdawała się potwornie głupia. Czy to właśnie miał na myśli ojciec, któremu kiedyś podczas długiej rozmowy przy garbowaniu skór wymknęło się, że kobiety są bardziej zmienne niż pogoda wczesną wiosną?

– Gdybym wiedział, tobym już dawno powiedział! Teraz stoimy na samym środku tej

wielkiej jaskini. A dlaczego uważam, że na samym środku? – zapytał i natychmiast sam odpowiedział: – Bo wydaje mi się, że te koleiny z różnych stron zbiegają się właśnie w takim miejscu. Bo mam wrażenie, że wszystkie ściany znajdują się od nas w jednakowej odległości, chociaż nie wiem tego na pewno, bo ledwie je widzę w tym okropnym świetle. I ty pewnie wiesz tyle samo, więc nie udawaj już głupiej, bo nie ma czasu na takie zabawy!

Zapanowało milczenie. Evah zerknął na Jakuba, potem Mavarena i Kellana. Kat rozglądał się z obojętną miną, książkę zdawał się lekko rozbawiony wybuchem chłopca, a Grzywa spoglądał nań z oburzeniem, jakby chciał skarcić przyjaciela za tak obcesowe potraktowanie Cellary.

– Pewnie, że tyle wiem, głupku! – warknęła dziewczyna. – Ale chcę wiedzieć dokładnie, co to za miejsce? Dokąd prowadzą te koleiny? Umiesz coś powiedzieć?

Evah przymknął oczy i wypowiedział w myślach krótki wierszyk, w którym krasnal liczy wąsy kota. Matka uczyła go, że jeśli nie chce komuś zrobić przykrości, powinien wyrecytować sobie tę prostą rymowanąkę i dopiero odpowiedzieć.

– Gdzieś w tych podziemiach mieszka Szalony Mag – rzekł spokojnie, chociaż jeszcze targała nim złość. – I to jego szukamy, chcę ci przypomnieć. Bo chyba zapomniałaś, po co tu przyszliśmy.

Cellara otworzyła usta, żeby odpowiedzieć następną złośliwością, ale wtedy zahuczało ogłuszająco i padło niespodziewane pytanie.

– Ktoś tutaj szuka Szalonego Maga?

Niesamowity, niski głos niósł się zewsząd i znikąd, zupełnie jak światło. Brzmiał niczym bojowa trąba pomieszana z dźwiękiem wielkiego bębna. Zdawał się przenikać ciało, targał trzewia, szarpał za gardło.

– Ktoś szuka Szalonego Maga?!

Głos zabrzmiał jeszcze mocniej, choć przed chwilą wydawało się to niemożliwe. A potem zapadła cisza. Przyjaciele wymienili spojrzenia. Kat zmrużył oczy, patrząc na Evaha. Chłopiec zrozumiał, że teraz nadeszła jego kolej.

– Tak! – zawołał. Obawiał się, że głos mu będzie drżał, ale niepotrzebnie. Brzmiał pewnie, chociaż przy gromie, jaki zabrzmiał przed chwilą, mógł się zdawać słaby jak brzęczenie sennego komara. – Tak! Szukamy Szalonego Maga! Jeśli nie wiesz, kim jest i gdzie przebywa, idź w swoją stronę.

Znów zapadła cisza. Trwała dość długo, Evah już myślał, że mówiący rzeczywiście gdzieś sobie poszedł, ale tamten wreszcie się odezwał.

– Bezczelny z ciebie szczeniak! Okaż więcej szacunku, skoro jesteś tu gościem! Na dodatek nieproszonym!

– Szacunek mogę okazywać komuś, kto nie obawia się przede mną stanąć! – odparł Evah, zanim w ogóle pomyślał, że rozdrażni tym rozmówcę. – A jeżeli ktoś się kryje nie wiadomo gdzie, widocznie czuje przede mną wielki respekt!

– Pożałujesz tych słów! – zagrzmiało.

– Nieźle – mruknął z boku Mavaren. – Masz talent do deptania ludziom po odciskach. Chyba lepszy niż nasz podłotek.

– Ja ci pokażę podłotka! – syknęła Cellara, ale przerwał jej głos Jakuba.

– Chłopiec słusznie mówi – odezwał się kat. – Jeśli żądasz od nas szacunku, pokaż się i powiedz, kim jesteś. Inaczej będziemy cię mieli za małego tchórza!

– Bogowie – jęknęli razem Kellan i księżę.

– Bogowie – powtórzył zaraz Mavaren. – Czy wyście obaj całkiem zwariowali? Ten ktoś zaraz tu przyśle armię mrówek albo innych, jeszcze mniej przyjemnych stworów.

Evah wzruszył ramionami. Czuł złość i było mu już wszystko jedno.

– Niech sobie robi, co chce. Też mam go za tchórza! I wcale się nie boję ani tego głosu, ani grózb!

– Mogę was zgnieść jednym rozkazem! – zahuczało. – Moja władza tutaj jest nieograniczona.

– To zgnieć, a nie gadaj! – krzyknęła nieoczekiwanie Cellara, a Evah pomyślał, że ojciec miał rację. – Zgnieć, jeśli umiesz, zadufku jeden! Dalej! Zabij dwóch chłopców, niewinną dziewczynę, a do tego głupiego księcia i dziwaczego kata! Będziesz mógł się potem puszyć, że zgładziłeś bezbronnych w swoim własnym domu!

Czekali w napięciu, co zrobi właściciel głosu. Kellan patrzył na Cellarę z wyrzutem. Uważał, że dziewczyna przesadziła. Z tą bezbronnością również, bo tylko ona nie miała przy sobie ostrza. Evah z kolei posłał jej ciepły uśmiech. Zaimponowała mu kolejny raz, a w dodatku wykrzyczała coś, co on miał ochotę powiedzieć głośno, obawiał się jednak, że zostanie posądzony, że ze strachu nie panuje nad sobą. Westchnął w duchu. Verilla nie bywała taka krewka. Owszem, potrafiła dopiec, ale doskonale wiedziała, czego nie mówić, żeby nie sprawić komuś zbyt wielkiej przykrości. Nawet natarczywego syna kowala posyłała do wszystkich biesów tak delikatnie, że tępy kołek nie bardzo wyczuwał, czy ma już sobie dać spokój, czy jeszcze nie. Inaczej nie umiała. Z kolei Cellara nie przejmowała się uczuciami innych, co też miało swoje dobre strony.

– No to teraz on się wścieknie i zaleje nas fala mrówek, wody albo ognia – burknął Mavaren. – Lub stanie się coś jeszcze gorszego. Serdeczne dzięki, panienko.

Znów zamilkli, ale zaraz odezwał się głos. To, co powiedział, z całą pewnością zaskoczyło księcia.

– Niech będzie, zaraz po was kogoś przyślę.



W zupełnym milczeniu podążali za przewodnikiem. Ustawili się zupełnie bez

porozumienia, wręcz odruchowo w taki sposób, żeby dziewczyna znajdowała się w środku. Przed nią kroczyli w parze Evah i Jakub, za nią Kellan z Mavarenem.

Niezbýt wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych włosach prowadził ich nie wzdłuż kolein – a taką drogę wybraliby sami, chociażby po to, żeby nie stracić poczucia kierunku – lecz na skos w prawo.

Evah wpatrywał się w strój podążającego przed nim człowieka. Krótki, sięgający ledwie do pasa płaszcz poruszał się przy każdym ruchu, zupełnie jakby został utkany z wyjątkowo lekkich nitek, wysokie buty sięgały z tyłu tuż przed kolana, ale z przodu kończyły się o wiele wyżej, chroniąc część uda. Na obcisłe spodnie spływała kurta o obszernych połach na dole, za to ściśle przylegająca w pasie.

Ale nie sam strój przewodnika był zaskakujący. W końcu moda panowała różna w różnych częściach świata. Nawet książę Mavaren nosił się zupełnie inaczej niż baron di Rukkon, chociaż ich dziedzin nie dzieliła jakaś ogromna odległość. Mieszczanie w Salmarze ubierali się podobnie do tych w Migrze czy Sevli, z niewielkimi w sumie różnicami, jak chociażby te zabawne kapelusze Malbarczyków.

Zadziwiające było jednak to, że w brudnym świetle sylwetka mężczyzny odcinała się bardzo wyraźnie, a do tego zarówno jego skóra, włosy, jak i strój aż biły w oczy jaskrawością barw. Chociaż nie, nie jaskrawością – żywością. Płaszcz był brązowy, kurta błękitna, spodnie jasnoczerwone, buty o ton ciemniejsze od płaszcza. A przecież kiedy wędrowcy patrzyli na siebie nawzajem, nie dostrzegali żadnych kolorów poza wspomnianą już burością.

Nawet samo pojawienie się przewodnika zaskoczyło całą piątkę. Zdawało się, że wychynął znikąd. Owszem, widzieli, jak się zbliża, dopiero kiedy znalazł się o kilkanaście kroków od nich. Przedtem zupełnie nie dało się go dostrzec.

– Zjawa – szepnął od razu Kellan, ale Jakub z miejsca go ofuknął.

– Przesądny jesteś jak wiejska znachorka! Gdzie widzisz zjawę? Uspokój się i lepiej zamilknij!

Spojrzeni na Jakuba zaskoczeni. Rzadko przemawiał tak ostro do kogokolwiek z nich. Evah przypuszczał, że to dlatego, aby uspokoić nie tylko Grzywę, ale wszystkich. Sam przed sobą musiał przyznać, że przestraszył się tej postaci jakby wyciętej ze zwykłego świata i przeniesionej do otaczającej ich paskudnej burości.

Chłopiec przez cały czas miał wrażenie, że z ich dziwnym przewodnikiem coś jeszcze jest nie w porządku – chodziło o to, jak się poruszał. Niby nie wykonywał żadnych nieoczekiwanych gestów, ale coś się nie zgadzało. Wreszcie Evah zrozumiał, co go tak niepokoi.

– Jakubie – powiedział bardzo cicho. – Zobacz, jak on idzie. Jakby się unosił tuż nad ziemią. O pół paznokcia, może nawet mniej. Kiedy stawia krok, wygląda to, jakby przesuwał się o większy kawałek, niż powinien. Niewiele większy, prawie niezauważalny, jednak tak

mi się zdaje.

Kat skinął głową. On również wpatrywał się w przewodnika.

– Dlatego sądzę, że to nie jest człowiek z krwi i kości.

– Grzywa miał rację? Zjawa? – przestraszył się chłopiec.

– Ciszej! – napomniął go Jakub. – Kellan i bez tego umiera ze strachu. Docień, że idzie bez zwykłego narzekania.

– Wstyd mu przed Cellarą – mruknął Evah.

– Nieważne, jaki jest powód – odparł małodobry. – Ważne, że panuje nad sobą.

Zamilkli i szli dalej. Przewodnik w pewnej chwili skręcił bardziej w prawo. Podążyli za nim. W czasie tego skręcania Evah wyraźniej zobaczył, że stopy przewodnika leciutko ślizgają się nie tylko w przód, ale też jakby w bok.

– Co to ma być? – Chłopiec poczuł ogarniający go coraz bardziej strach i zarazem złość.

Nie zważając już na nic, podbiegł do przodu. Chociaż jego kroki zabrzmiały wyraźnie i nie dało się ich nie usłyszeć, przewodnik nawet nie drgnął.

Evah dogonił go i położył mu rękę na ramieniu. A potem zamarł. Jak przez gęstą mgłę słyszał przerażony okrzyk Cellary, potem Kellana, a na końcu zaklął paskudnie Mavaren. Tylko Jakub się nie odezwał, gdy dłoń chłopca przeniknęła przez ciało mężczyzny.

– Bogowie! – zawołał Evah i odskoczył do tyłu.

A tamten szedł, jakby się nic nie stało. Syn myśliwego zachwiał się i pewnie by upadł, gdyby nie podtrzymało go silne, twarde ramię kata. Zatrzymali się i skupili w grupkę. Przewodnik przeszedł jeszcze kilka kroków, zanim również przystanął, ale nie raczył się nawet odwrócić.

– Jakubie... To duch! – jęknął Grzywa.

– Nie ma duchów! – odparł z nutą niecierpliwości Jakub. – A nawet jeśli są, to nie takie, jak to zjawisko przed nami!

– Ale sam widziałeś...

– To są sztuczki Szalonego Maga – przerwał przyjacielowi Evah. – Chce na nas zrobić wrażenie. Przecież mógł nam wydać głosem polecenia, w którą stronę mamy pójść, gdzie skręcić. Przez cały czas, odkąd weszliśmy między skały, ma nas na oku, tego jestem pewien. Posłał do nas tego widmowego przewodnika, bo chce, żebyśmy się bali. Wiedział, że dostrzeżemy, że nie został utkany z materii.

– Ale po co chce na nas robić wrażenie? – szepnęła Cellara. – I bez tego mam duszę na ramieniu.

– Właśnie – poparł dziewczynę Mavaren. – Dlaczego?

– Chyba wiem – odezwał się Evah. – On po prostu...

– Zamilcz – przerwał mu kat. – Na razie zachowaj to dla siebie. Nigdy nie należy odkrywać wszystkich kart, a przecież przeciwnik nas słucha. Dobrze mówię, Mavarenie?

Książę przez chwilę przesuwiał spojrzenie z kata na Evaha i z powrotem.

– Dobrze mówisz, kacie – rzekł w końcu. – Jeśli ten przeciwnik może ci zajrzeć w karty albo ma pomocnika, który daje mu znaki, należy przyciskać figury mocno do piersi.

Evah przymknął oczy, odetchnął głęboko. Chyba jeszcze nigdy tak się nie bał. Nawet w Lasach Kerenu, nawet na Kemarskim Moczarze, kiedy oganiali się od bagiennych bestii. Wiedział, że musi się opanować. A jeśli ma rację co do intencji Szalonego Maga, powinno to przyjść tym łatwiej.

Uchylił powieki, spojrzał na tkwiącego w miejscu przewodnika.

– Idziemy – rzucił. – Zobaczymy, gdzie nas to coś zaprowadzi.

Ledwie ruszyli, mężczyzna przed nimi podjął marsz. Doszli wreszcie do końca ogromnej jaskini. Wyglądała bardzo podobnie do tej, z której przyszli. Tyle tylko że przejście wydawało się nieco węższe i prowadziły tam koleiny dla wózków.

Przewodnik stanął obok Evaha i gestem wskazał, aby szli dalej. W tej chwili wyglądał mniej barwnie niż na początku, ale i tak o wiele wyraźniej niż wszystko i wszyscy dookoła.

Evah spojrzał na kata. Jakub skinął tylko głową i wszedł w korytarz jako pierwszy. Chłopiec natychmiast ruszył jego śladem, a pozostali poszli za nim.

– Jakbym chciał mgłę potargać! – rozległ się nagle głos Mavarena.

– Oszalałeś? – zawtórował mu przestraszony Kellan.

Evah zatrzymał się, popatrzył na Cellarę. Chyba pobladła, ale w brudnym świetle trudno było to orzec z chociażby małą pewnością.

– Co się dzieje?

– Książę zanurzył rękę w tym czymś i zaczął nią machać! Myślałem, że zwymiotuję – poskarżył się Kellan.

– Słaby masz żołądek – burknął Mavaren. – Widziałeś, że Evahowi nic się nie stało. Też chciałem zobaczyć, co to jest.

– I do jakich wniosków doszedłeś? – zainteresował się Jakub podejrzenie uprzejmie.

– Do żadnych. – Książę rozłożył ręce. – To coś jest rzadkie jak powietrze. Tylko tyle.

– Na przyszłość bardzo proszę, nie dotykaj pochopnie wszystkiego, co ci się wyda intrygujące – rzekł kat. – Wszystkich was o to proszę. Bo czasem można się bardzo mocno zdziwić.

– Chyba wiesz o tym miejscu więcej, niż chcesz przyznać – zauważył Mavaren.

– Nigdy tu nie byłem, mógłbym na to przysiąc, gdybym koniecznie pragnął, abyś mi uwierzył.

– Ale nie przysięgniesz? – Książę wykrzywił drwiąco wargi.

– Nie. Bo mi nie zależy na twojej opinii – odparł Jakub. – Ale moje słowo powinno wystarczyć. Nigdy przedtem tu nie byłem.

Evah przyglądał się towarzyszom. Książę, Kellan i Cellara wyglądali marnie, przestraszeni i zmęczeni. Jakub miał twarz ściągniętą skupieniem, ale nie wydawał się znużony czy zaniepokojony. Ale to nic nie znaczyło.

– Wierzę ci – powiedział chłopiec. – Może się mylę, ale jesteś człowiekiem, który nie zwykł kłamać bez ważnego powodu. Naprawdę ważnego.

– Ja też ci wierzę – przyłączył się Kellan.

– I ja – dodała dziewczyna.

Mavaren wahał się przez chwilę.

– Dobrze. Prawdę mówiąc, wierzę, że nigdy tu nie byłeś – rzekł w końcu. – Ale wiesz o tym miejscu i tak więcej niż my. Temu też zaprzeczysz?

– Nie zaprzeczę – odpowiedział natychmiast Jakub. – A przynajmniej wydaje mi się, że coś wiem.

– Powiesz więcej? – spytał z nadzieją Grzywa.

Jakub pokręcił głową.

– Każdy musi zdać się na własne wyczucie. Moja wiedza może się okazać albo niepełna, albo wręcz nie pasować do jakichś aspektów tego miejsca. Nie chcę, żebyście kierowali się czymś tak niepewnym. Kiedy człowiek zaufa fałszywym przesłankom, znajduje się w większym niebezpieczeństwie niż wówczas, gdy nie wie nic i musi się kierować tym, co mu rozum i dusza podpowiadają.

– Potrzebny nam taki doradca jak psu piąta noga – burknął Mavaren.

Jakub nie rozgniewał się, spojrzał tylko na księcia.

– Nie jestem ani doradcą, ani waszym strażnikiem. W ogóle się tutaj nie wybierałem, jeśli pamiętasz – powiedział, a potem wskazał ruchem brody Evaha. – Gdyby ten chłopiec okazał się inny, niż jest, wcale by mnie w tym miejscu nie było. Myślałem, że to oczywiste.

Mavaren chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale Evah wreszcie się zniecierpliwił. Tkwili już dłuższą chwilę w ciasnym korytarzu i miał tego dość. Skoro niczego się nie dowie, powinien działać. Zdecydowanym krokiem poszedł dalej, a pozostali podążyli za nim, porzucając swary i dyskusje. Do nich też docierało, że trzeba jak najszybciej dotrzeć do celu. Istniała przecież szansa, że zaskoczyli swoim nadejściem Szalonego Maga na tyle, że on również nie do końca wie, co robić. Słaba to była nadzieja, ale zawsze jakaś.

Ten korytarz biegł zupełnie prosto przez może dwieście kroków, a później zaczął się pięć dość ostro w górę. Kiedy nieco zasapani dotarli do jego najwyższej części, znów znaleźli się w jaskini, ale tym razem o wiele mniejszej niż poprzednia. Mogła mieć co najwyżej kilkadziesiąt kroków w każdą stronę, za to wykuto w niej sześć przejść, w tym to, z którego się wyłonili.

– I co teraz? – spytała Cellara. – Evahowi wierszyków zabrakło, więc może ktoś ma jakiś pomysł?

Odpowiedziało jej milczenie. Evah wreszcie poruszył się, poszedł na środek jaskini.

– Gdzie mamy teraz iść? – zapytał głośno. – Dasz wskazówkę, Szalony Magu?

Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się cichy śmiech. Cichy, ale przenikający do szpiku kości, mrozący krew w żyłach. Bo w tym śmiechu najmniej było wesołości,

a najwięcej złośliwości, nabrzmiałej do tego groźbą.

– Szalony Mag, tak mnie nazywają – odezwał się głos. Był mniej przytłaczający niż w wielkiej jaskini, ale to zapewne właśnie ze względu na rozmiary pomieszczenia. Tutaj nie huczał tak głębokim pogłosem. – Nie lubię tego przezwiska. Wolałbym być nazywany mądrym albo chociaż wiedzającym.

W tej chwili odezwała się przekorna natura Cellary.

– Gdybyś zasługiwał na miano mądrego, nie robiłbyś z siebie nie wiadomo kogo! – powiedziała.

Kellan syknął ostrzegawczo, ale Mavaren trącił dziewczynę palcem w ramię i dał znak, żeby mówiła dalej.

– Gdybyś był taki wiedzający, wiedziałbyś, jak postępować z innymi ludźmi. Ale nie wiesz. A to oznacza, że nie jesteś nawet szalony, tylko zwyczajnie głupi!

Grzywa złapał się za głowę, a Mavaren lekko się skrzywił.

– To ostatnie mogłaś sobie darować – mruknął. – Co innego podrażnić prześladowcę, a co innego ciągnąć dzikiego kostryga za ogon...

– I bardzo dobrze, że to powiedziała! – Evah stanął po stronie dziewczyny. – Warto mówić głupcom, że są głupcami. Inaczej nabiorą przekonania, że ich głupota to coś zwyczajnego.

– Co to ma być? – spytał Kellan. – Znów jakaś ludowa mądrość?

– Mądrość na pewno – odparł Jakub. – Ale tym razem nie ludowa. To znaczy, nie znam takiego przysłowia czy powiedzenia, ale Evah ma rację. Lepiej, żeby wszyscy wiedzieli, że głupiec jest głupcem, a najlepiej, żeby wiedział to on sam. Bezpieczniejsze to i dla niego, i dla innych.

Kiedy kat skończył mówić, zabrzmiał zgrzytliwy śmiech.

– Jak widzę, nie jesteście bandą przerażonych poszukiwaczy złota. Nie jesteście też rozbójnikami, którzy wtargnęli tutaj, aby znaleźć bogactwa. Ani niespełna rozumu poszukiwaczami przygód. – Huczący głos wypełnił pomieszczenie. – Czego zatem chcecie?

– Ciebie, Szalony Magu – odpowiedział bez zastanowienia Evah. – Chcę z tobą porozmawiać.

– O czym chcesz ze mną porozmawiać, bezczelny szczeniaku? – W głosie zabrzmiała tłumiona pasja. – Do czego chcesz mnie nakłonić? Uzyskać moją wiedzę? Dzielić potęgę? Majątek?

– Chcę się tylko dowiedzieć, jak dotrzeć do Żelaznego Kruka! – odparł śmiało Evah. – Nic więcej, ale też nic mniej, rozumiesz? Nie potrzebuję twojego majątku, nie pragnę posiąść magii. Masz mi tylko powiedzieć, gdzie znajduje się gniazdo Żelaznego Kruka, jak tam dojść, a najlepiej jeszcze, w jaki sposób go zniszczyć!

Głos odpowiedział dopiero po chwili.

– Dobrze, rozmawiam z wami osobiście, ale pamiętajcie, że mogę was zmieść jednym

słowem i jednym gestem. Zaraz ktoś po was przybędzie.

Rozdział 18

Szalony Mag



Kellan mruzczał coś pod nosem, ale Evah nie mógł dosłyszeć słów. Kiedy próbował zapytać, Grzywa tylko machnęła niecierpliwie ręką i burknęła „nie teraz”.

– Szanujący się węgorz połamałby kręgosłup w takim labiryncie – orzekł Mavaren. – Ten Mag musi być naprawdę niespełna rozumu, żeby łązić po takich korytarzach.

– Nie sędzę, żeby sam po nich chodził – odpowiedział Jakub. – W ogóle się tutaj nie zapuszcza, a jeśli nawet, to bardzo rzadko.

– Skąd niby wiesz? – zaperzył się książę, a potem spojrzał podejrzliwie. – Chyba już tutaj jednak byłeś. Przyznaj!

– Przestań już! – Kat uczynił ostry ruch dłonią. – Po prostu zrobiłbym tak samo na jego miejscu. Dla siebie zostawiłbym jakieś przejście wiodące najkrótszą drogą, najlepiej na wprost, ale goście proszeni i nieproszeni musieliby się natrudzić.

– Coś w tym jest – rzekł Evah. – Tatko miał ukrytą niewielką ziemiankę w lesie. Tak naprawdę nie leżała wcale daleko i potrafił do niej dojść w mniej niż godzinę. Ale kiedy chciał ją pokazać stryjowi Rinnahowi, nawet jego wiodł takimi chaszczami i tak długo, że tamten zupełnie nie wiedział, gdzie się znalazł. Chociaż Rinnah był jego najbliższym przyjacielem.

– A tobie pokazał krótką drogę? – spytała Cellara, swoim zwyczajem nieco zaczepnie.

– A mnie pokazał – odparł Evah takim samym tonem. – Komuś musiał zaufać. Powtarzał

zawsze, że prawdziwa tajemnica jest tylko wtedy, kiedy zna ją jeden człowiek. Jeśli wie o niej dwóch, przynajmniej wiadomo, kto zdradził...

– Ale jeśli trzech, już się nie dojdzie prawdy – dokończył za chłopca Jakub. – To jedna z największych mądrości świata. Bardzo prosta, ale niezmiernie przydatna.

– No i teraz zostałem tym jedynym – stwierdził ze smutkiem chłopiec. – Nie ma kto inny zdradzić tajemnicy.

Kellan wciąż szedł na końcu, mrużąc do siebie.

– Co mu jest? – spytał szeptem Mavaren. – Zwariował? Może chce wstąpić do terminu u Szalonego Maga?

– Nie przeszkadzajmy mu. – Jakub powstrzymał księcia, który chciał się zatrzymać i poczekać na Grzywę. – Na pewno jest przy zdrowych zmysłach i chyba domyślam się, co robi.

– Co niby? – Evah i Cellara zadali pytanie w tej samej chwili.

– Nie będziemy teraz o tym mówić – odparł Jakub. – Nigdy nie wiadomo, kto nas słucha. Niech Kellan robi, co mu się podoba i tyle.

Nie zwracali już nawet uwagi na przewodnika. To był ten sam mężczyzna, który prowadził ich przedtem, a w każdym razie bardzo podobnie wyglądał. Znudzony Mavaren w pewnej chwili podszedł do przodu i dla zabawy włożył mu rękę pod łopatkę. Dłoń księcia znikła, wyglądała jak ucięta nożem, ale kiedy ją wyjął, oczywiście wszystko było w najlepszym porządku. A przewodnik nawet nie ruszył ramieniem. Evah dostrzegł tylko, że zadrżała cała jego sylwetka, kontury rozmazały się, jednak zaraz powróciły na swoje miejsce. Jakub natychmiast ofuknął żartownisia, a Cellara krzyknęła cicho, przestraszona.

– Ciekawe, ile będziemy tak iść – powiedział Mavaren. – Aż opadniemy z sił? Żeby ten wariat mógł z nami zrobić, co tylko zechce?

– Nie należy nazywać wariata wariatem – zauważył Evah. – Taki szaleniec gotów się obrazić za to, co zdrowy człowiek zbędzie śmiechem.

– To znów jakieś przysłowie czy coś ze zbioru mądrości twojego ojca? – spytał zgryźliwie książę.

– To akurat powiedział jednego razu wędrowny mnich, który udzielał nauk w mojej wiosce – odparł Evah obojętnie. Nie był teraz w stanie gniewać się na Mavarena. Czuł coraz większy niepokój spowodowany przedłużającą się wędrówką.

A przewodnik kroczył niestrudzenie, nie oglądając się na nich. Kolejny zakręt i jeszcze jeden...

Wreszcie weszli do pomieszczenia większego niż poprzednie. Ledwie przekroczyli próg, zostali sami.

– Gdzie on się podział? – Mavaren rozejrzył się uważnie. – Jakby rozpląnął się w powietrzu.

– Z powietrza był utkany, to się w nim rozpląnął – powiedziała Cellara. – Zresztą, w tym

brudnym świetle sporo rzeczy może się przywidzieć...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkła, bo w tej chwili zalał ich jasny blask. Musieli zmrużyć oczy, jako że promienie światła bezlitośnie wdzierały się w źrenice i zdawały wybuchać w głowie. Zupełnie jakby wyszli z ciemnej jaskini w pogodny zimowy dzień kiedy słońce odbija się w śniegu, przez co blask ulega zwielokrotnieniu.

– Bogowie – jęknął Mavaren. – Co to jest?

– Zaraz przywykniecie – rozległ się głos Jakuba. – A przynajmniej trochę. Bo wciąż będzie raziło, ale nie tak mocno.

Evah z obawą uchylił powieki. Przed oczami latały mu mroczki i powidoki, ale już mógł dostrzec zarys sylwetki stojącego obok kata. Stopniowo dostrzegał coraz więcej szczegółów. Mistrz patrzył przed siebie przymrużonymi wprawdzie oczami, ale wydawało się, że widzi bez większych problemów.

– Witaj – odezwał się do kogoś, kogo Evah jeszcze nie dostrzegał.

– Widzę, że dysponujesz imponującymi umiejętnościami i dużą wiedzą.

– Prawdziwą potęgą! – odpowiedział drugi głos. Chłopiec rozpoznał w nim ten, który ogłuszał ich w wielkiej sali, a potem huczał w mniejszej. – Na nic by się zdała wiedza, gdybym nie posiadał nadprzyrodzonych mocy.

– Czy możesz nieco przytłumić światło? – spytał Jakub. – Rozumiem, że zamierzałeś nas oślepnąć, ale możesz już uznać, że ci się udało.

– Tobie jakoś ten blask nie bardzo przeszkadza – zauważył Szalony Mag. Evah domyślił się, że właśnie z nim rozmawia małodobry.

– Mnie niewiele rzeczy przeszkadza – odrzekł kat. – Oni też sobie w końcu z tym poradzą, ale wiesz doskonale, że nie przywykli do podobnego światła.

– Niech ci będzie – mruknął Mag. – Prawdę mówiąc, sam też nie przepadam za tak mocnymi doznaniem.

Zaraz po tych słowach rzeczywiście zrobiło się znośniej. Evah otworzył całkiem oczy. Jeszcze przez chwilę widział trochę przez mgłę, ale wreszcie znikła. Dostrzegł tego, którego poszukiwali, narażając się na liczne niebezpieczeństwa.

Nie wiedział, czy widok mężczyzny bardziej go zdziwił, czy rozczarował. Właściwie nie miał pojęcia, jak powinien wyglądać ktoś taki, jak Szalony Mag, nie bardzo się nad tym zastanawiał, ale teraz doszedł do wniosku, że jest nieco inaczej – czegoś jednak oczekiwał. Podświadomie spodziewał się zobaczyć kogoś przypominającego kapłana, w długiej szacie z obszernymi rękawami, o długich siwych włosach i takiej też brodzie.

Z tym mętym wyobrażeniem zgadzało się tylko jedno – długie włosy. Tylko że nie były wcale zupełnie siwe. Owszem, chłopiec widział nieliczne białe pasma, ale poza tym okazały się całkiem czarne. A zamiast brody twarz gospodarza zdobił krótki, kilkudniowy zarost. O ile można go nazwać ozdobą. W dodatku Mag ubrany był zupełnie zwyczajnie. Miał na sobie ciemną opończę, spod której widać było czarną koszulę, związaną od połowy piersi

rzemieniem. Ale ponieważ rzemień nie był zaciągnięty, Evah mógł dostrzec skórę na piersi mężczyzny. Była bardzo jasna, najwyraźniej od dawna nie widziała prawdziwego słońca. Spodnie – również ciemne – były obszerne, podobne do tych, w jakie ubierali się kupcy z południa.

Jednak było coś, co szczególnie przykuło uwagę chłopca – dziwna opaska na czole Maga. Opinała jego głowę wąskim pasem, tylko nad brwiami znajdowały się dwa niewielkie koła, zupełnie czarne. Evah zmarszczył brwi, przypominając sobie, czy coś podobnego już gdzieś widział. Nie mógł jednak nic wydobyć z pamięci. Doszedł tylko do wniosku, że opaska nie miała dodawać właścicielowi urody. Bo jak na ozdobę była zbyt mało ozdobna.

– Co on ma na tej głowie? – szepnął Kellan. Najwidoczniej nie tylko syn myśliwego dostrzegł dziwaczne przybranie.

– Okulary – mruknęła Cellara. – To wygląda jak okulary.

– To prawda – potwierdził Mavaren.

– Okulary? – Evah był zdumiony, dlatego wypowiedział to głośniej, niż zamierzał. Nie znał tego słowa, nie widział też nigdy podobnej rzeczy.

– Bogacze poprawiają sobie nimi wzrok, jeśli mają zbyt słaby – wyjaśnił książę. – Rzadko się je spotyka.

– Oczywiście rzadko, jeśli mieszka się tam, gdzie biesy mówią dobranoc – dodała Cellara.

– Przykładowo na południowym wschodzie.

– Nawet teraz musisz się wyłośliwiać? – Skrzywił się Mavaren.

Zamilkli, bo Szalony Mag uczynił ruch ręką i światło znowu rozbłysło jaśniej. Evah dopiero teraz zauważył krótki, cienki i srebrzyście połyskujący pręt w jego dłoni.

– Skoro udało mi się wreszcie odzyskać waszą uwagę – rzekł gospodarz i znów machnął prętem, aby przygasić oślepiający blask – chciałbym się dowiedzieć, czego ode mnie chcecie. I tak, to są okulary – wyjaśnił, widząc, że Evah z Kellanem cały czas mu się przyglądają. – Tyle że nie służą do wyostrzania wzroku. A przynajmniej nie do takiego, jak zwyczajne z przezroczystymi szklami. Dzięki nim widzę różne rzeczy i mogę odwiedzać różne zakamarki, nie ruszając się z miejsca.

Zamilkł na chwilę, a chłopcy wymienili spojrzenia. Evaha było zdumione, Kellana powątpiewające.

– Gada zupełnie jak ten niby wróż, któremu służyłem – mruknął Grzywa. – Też opowiadał o zwiedzaniu różnych krajów, kiedy siedział w swoim fotelu. I ludzie w to wierzyli! Może ten opowiada takie same bzdury?

– Czy możecie łaskawie nie rozmawiać o mnie w mojej obecności tak, jakby mnie tu nie było? – zirytował się Szalony Mag.

– A jesteś? – spytał Jakub. – Bo może znów przysłałeś do nas jakiś fantom.

– Fantom? No, no – powiedział gospodarz. A może jednak rzekomy gospodarz? – Widzę, że mam do czynienia z kimś, kto coś wie o tajemnicach tego świata. W odróżnieniu od

pozostałych głupców?

– Kogo nazwałeś głupim? – zaperzyła się z miejsca Cellara. Nie zważała na to, że Kellan ciągnie ją za rękę, żeby zamilkła. – Nie wiemy nawet, kim jesteś, a ty nas tak obrażasz! Nic o nas nie wiesz, ale się dowiesz, obiecuję! Zaraz sprawdzimy, czy jesteś tu naprawdę!

Rozejrzała się, a nie widząc niczego lepszego, wyszarpnęła zaskoczonemu Evahowi strzałę z kołczanu i cisnęła nią w mężczyznę.

Tamten nawet nie drgnął. I nie musiał nic robić, bo pocisk zatrzymał się o dwa kroki przed nim, zawisł na mgnienie oka, po czym bezsilnie opadł na ziemię.

– Niech mnie – mruknął Mavaren. – Czyli to na pewno ten Mag. Byle kto nie umiałby tego zrobić.

– Zanim zechcesz na mnie zaszarżować jak ranny dzik, bezczelna dziewucho – ostrzegł Mag – dowiedz się, że dzieli nas niewidoczna ściana. Odbije się od niej wszystko, nie tylko byle jak rzucona strąła, ale też twój dumny łeb, każdy pocisk, każde ostrze. Czy inaczej pozwoliłbym wam przebywać ze mną w jednym pomieszczeniu, skoro jesteście uzbrojeni po zęby? Oczywiście możecie popробować, czy ta ściana jest naprawdę mocna, jeśli bardzo pragniecie, ale mogę uznać, że naprawdę chcecie uczynić mi krzywdę, a wtedy zetrę was w proch! Żywa noga stąd nie ujdzie!

Głos Maga nagle zabrzmiał bardzo głośno, zwielokrotnił się, jakby przemawiało dwóch albo trzech ludzi. Kellan zatkał uszy, a Evah pokręcił głową.

– Znów chce na nas zrobić wrażenie – powiedział Jakub. – Chyba dobrze się domyślasz, Evahu, dlaczego tak postępuje.

Szalony Mag, który chciał jeszcze coś powiedzieć, zamilkł, popatrzył na chłopca i zapytał już normalnym tonem.

– No, powiedz, młody mądrało, dlaczegoż to niby tak bardzo chcę zrobić na was wrażenie? Śmiało! Rzeczywiście, mówiłeś coś takiego jeszcze w wózkowni! Tak, tak, słyszałem, co mówicie, przez cały czas, chociaż przebywałem w innym miejscu, przy moim najnowszym eksperymencie. No mówże! – popędził chłopca. – Mam niewiele czasu, w każdej chwili może się okazać, że muszę wracać do pilnej pracy!

Evah popatrzył na Jakuba, a kat z lekkim uśmiechem skinął głową.

– Mów, niech wszystko będzie jasne.

– Dobrze. – Evah przeniósł wzrok na Maga. – Uważam, że chcesz nas olśnić swoją potęgą, przekonać, jak jesteś mocny i niezwyciężony, bo się nas zwyczajnie boisz.

W ciszy, jaka zapadła, słyhać było tylko bardzo ciche, ledwie dosłyszalne buczenie. Kellan, obdarzony doskonałym słuchem, nadstawił uszu, a potem wskazał ruchem brody w stronę gospodarza.

– Tam coś byczy – rzekł. – Może to ta niewidzialna ściana? Ale ściany zazwyczaj same nie wydają dźwięków.

– Widocznie ta nie jest zwyczajna – zauważyła Cellara. – Jest zrobiona z czegoś, czego

zupełnie nie znamy.

– Boję się?! Ja niby mam się was bać?! – Szalony Mag odzyskał wreszcie głos. Znow sprawił, że grzmiał jak niekończący się grom, jednak na przybyłych robiło to coraz mniejsze wrażenie. – Chyba was należy nazwać szalonymi, nie mnie! Powiedz mi, szczeniaku, dlaczegóż to niby się was boję?

Evah zastanowił się przez chwilę. Przyszło mu to do głowy w wielkiej jaskini, nazwanej przez Maga wózkownią, potem również w korytarzach labiryntu, ale to był tylko ciąg myśli, prowadzący do takiego wniosku, nie próbował ich porządkować. Ale teraz musiał to sobie pozbierać w całość.

– Może dlatego, że jeszcze nikt tak daleko nie zaszedł w twoim królestwie? I zapewne nikt nie próbował nawet dotykać twoich posłańców. Zapewne wystarczyły te obrzydliwe mrówki i pędzące wózki, żeby wystraszyć śmiałków. Może spodziewałeś się, że umkniemy przed brudnym światłem i twoim grzmiącym głosem? Tak, na pewno. A jednak zostaliśmy.

– Wszystko, co powiedziałaś – rzekł nieoczekiwanie spokojnie gospodarz – świadczy tylko o waszej głupocie, niczym więcej. Trzeba być niespełna rozumu, żeby nie uciec przed śmiertelnym zagrożeniem!

Evah zastanawiał się, co odpowiedzieć, żeby wytłumaczyć to nieco bardziej wiarygodnie, ale ubiegła go Cellara.

– Widocznie jesteście tak przerażająco głupi, że zaczęłaś się bać! – wypaliła. – A może po prostu z natury jesteś tchórzem i lękasz się wszystkiego? Dlatego te wszystkie fan... jak im tam... No, te zjawy, ten grzmiący głos, te samojezdne wózki, oślepiający blask! Tak, jesteś zwyczajnym tchórzem! Evah ma rację, tylko wyraził to zbyt uprzejmie!

Znow zapanowało milczenie i w ciszy dało się słyszeć mruczenie Mavarena:

– Na otchłań i wszystkie jej stwory. Chyba w końcu zacznę lubić tę dziewczuchę.

Cellara rzuciła mu gniewne spojrzenie a on odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Dziewczyno, bacz, abym nie stracił cierpliwości! – uniósł się Mag, który znow trzął się z oburzenia. – Wystawiasz mnie na ciężką próbę, bo mam ochotę zaraz się z tobą policzyć. Jesteście w mojej mocy, warto o tym pamiętać!

– Najpierw naucz się li... – zaczęła Cellara, ale przerwała, bo Jakub położył jej dłoń na ramieniu i mocno ścisnął. – Au! Chcesz mi zrobić krzywdę?

Kat pokręcił głową, spojrzał na Szalonego Maga.

– Tak do niczego nie dojdziemy. Wymieniliśmy uprzejmości i wystarczy. W jednym ten człowiek ma rację. Weszliśmy do jego dziedziny i znajdujemy się w jego mocy. Na dodatek chcemy go nakłonić do czegoś, na co z całą pewnością nie ma ochoty.

– Wreszcie jakiś głos rozsądku – oznajmił Szalony Mag. – Zastanawiam się, kim jesteś, dziwaku. Skórzany strój, długi miecz prastarej roboty, jeśli wnosić z rękojeści i głowicy. Ciemnawa skóra, ale najwyraźniej nie z racji urodzenia pod palącym słońcem z równie smagłych rodziców, tylko jakby przydymiona...

– Nieważne, kim jestem – odparł Jakub. – Ważne, kim ty naprawdę jesteś. I dlaczego nazywają cię Szalonym Magiem, bo nie wydajesz mi się jednak niespełna rozumu.

– Może dlatego, że ludzie chętnie nazywają szalonymi tych, których nie rozumieją i nie chcą zrozumieć. – Mag wzruszył ramionami. – A może dlatego, że miewam napady szaleństwa? Wtedy ziemia się trzęsie i pękają skały...

– Znowu! – stęknął Kellan. – On znów zaczyna te swoje przechwałki... Jest gorszy niż Evah ze swoimi ludowymi mądrościami...

Mężczyzna zamilkł i wpatrzył się w Grzywę. A potem uniósł rękę ze srebrzystym prętem, wykonał nad głową kolisty ruch. I nagle spadła na nich spod sklepienia zimna mgła. Evah poczuł ukłucia palącego zimna na skórze, a mgła spłynęła zaraz na posadzkę i zaległa lodowatym dywanem. Chłopiec poruszył zmarzniętą nagle stopą, uniósł ją i postawił z powrotem. Białe pasemka rozbiegły się, pozostawiając wolne miejsce, dopiero po chwili znów zaczęły się gromadzić.

Tymczasem gospodarz przeszedł dwa kroki w bok, znów machnął prętem, jakby coś przecinał. Wtedy zerwał się wicher, ale w odróżnieniu od mgły – ciepły. Po chwili opar zniknął bez śladu, a powiew ucichł.

– Powiesz coś jeszcze o moich przechwałkach? – zapytał Mag.

Grzywa nie odpowiedział. Stał z zaciśniętymi ustami, blady i na poły wystraszony, a na poły rozdrażniony.

– Wcale nie polepszacie swojego żalosego położenia – powiadomił ich gospodarz. Skupił wzrok na Evahu. – Mówiłeś, że chcesz, abym ci wyjawiał, gdzie znajdziesz gniazdo Żelaznego Kruka.

– Tak – odrzekł krótko Evah.

– W takim razie jesteś jeszcze bardziej szalony, niż ja kiedykolwiek byłem, jestem lub będę. Co ty na to, jeśli ci odpowiem, że przybyłeś tutaj na darmo?

Evah wzruszył ramionami i rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Będę się upierał przy swoim.

– Jeżeli będziesz się zbytnio upierał, mogę cię zgładzić, wiesz o tym? Jak dokuczliwą muchę.

– Zrobisz, jak zechcesz, Magu – odparł chłopiec. – Łatwo się mnie jednak nie pozbędziesz.

– Tak sądziłem – mruknął mężczyzna. Znów zwrócił się do Kellana. – Powiesz mi, co tam mamrotałeś pod nosem, kiedy szliście labiryntem?

– Nie twoja rzecz – burknął Grzywa.

Szalony Mag zaśmiał się na całe gardło, potrząsnął długimi włosami i wykrzywił twarz w dziwnym grymasie. Teraz zdawał się zasługiwać na swoje zawołanie.

– Jeśli nie powiesz, zaraz zakończymy naszą rozmowę! Zostaniecie w tym pomieszczeniu, żeby umrzeć z głodu!

Grzywa wzruszył ramionami.

– Nie twoja rzecz – powtórzył.

– Zaczynasz mnie drażnić! – ostrzegł Mag. – Za chwilę...

Przerwał mu przeciągły, wznoszący się i opadający dźwięk, jakby wycie zwierzęcia. Światło zmieniło barwę na zjadliwą zielen i pulsowało równomiernie. Gospodarz włożył srebrny pręt za pas, naciągnął oburącz ciemne koła okularów na oczy. Przez chwilę trwał bez ruchu, po czym ponownie ujął pręt, uczynił trzy kroki w tył i machnął nim nad głową. Światło znów uczyniło się białozółte, dźwięk ucichł.

– Musicie mi na razie wybaczyć – rzekł Mag. – Zostawię was tutaj samych. Powiniennem być gdzie indziej. W miejscu, w którym tworzy się coś zupełnie nowego, co może przemienić cały świat. Upredzałem, że nie mam dla was dużo czasu.

Zanim ktokolwiek zdążył przemówić, obrócił się i zniknął w jedynym wyjściu po jego stronie niewidzialnej ściany.



Przez kilka chwil stali bez ruchu, zaskoczeni obrotem spraw. Pierwszy odezwał się Mavaren.

– Ciekawe, co z nami zrobi po powrocie.

– Co mu się spodoba – odparła Cellara. – Chyba że nas tutaj nie zastanie.

Wskazała wejście, którym tu dotarli.

– Tylko jak niby mamy przejść przez labirynt? – zaśmiał się bez śladu wesołości książę.

Jakub spojrział wymownie na Kellana, a ten skinął głową.

– Mam nadzieję, że wszystko zapamiętałem. Inaczej utkniemy tam na zawsze.

– O czym on mówi? – spytała Cellara podejrzliwie.

– Powiedz – zachęcił chłopca Jakub. – Jeśli nawet Szalony Mag nas teraz słyszy, chyba ma pilniejsze rzeczy na głowie.

– Zapamiętywałem drogę – wyjaśnił Kellan. – Nauczyłem się tego w złodziejskim cechu... – Urwał, spojrzął na Cellarę i zaczerwienił się. Ale dziewczyna nie zamierzała się teraz oburzać na jego przeszłość, popędziła go niecierpliwym gestem. – W tym mnie ćwiczyli, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Bo czasem złodzieje muszą wejść w płataninę nieznanych korytarzy albo w jakieś kręte zaułki w obcym mieście. Wtedy trzeba, żeby ktoś zapamiętywał drogę. Powtarza się w głowie kierunki, liczy kroki. Robi się w myślach rymowanek, trochę podobną do tej Evaha, tylko o wiele prostszą. Potem trzeba ją jedynie wypowiedzieć od końca... To chyba najtrudniejsze.

– I co, poradziłeś sobie tutaj? – Cellara wyglądała na zdumioną.

– Mam nadzieję. Dawno tego nie robiłem, wyszedłem z wprawy. Takie zadania

wypełniają najczęściej właśnie dzieci, bo mają najlepszą pamięć. A ja już...

– Będziemy gadać czy idziemy? – spytał Mavaren.

– O tym zdecyduje Evah – powiedział Jakub. – Co sądzisz, chłopcze?

Syn myśliwego zastanowił się, a potem spojrzał po kolei w twarze towarzyszy.

– Myślę, że w tej chwili nie mamy tu czego szukać – rzekł. – Spróbujmy wydostać się stąd, rozejrzemy się. A nuż znajdziemy jakiś słaby punkt Szalonego Maga. On może być potężny, ale jest tylko człowiekiem, powinien mieć jakieś słabości.

– Dwie już znamy, jest zarozumiały i chyba naprawdę lękliwy – zauważył Kellan.

– To za mało – odparł Evah. – Trzeba znaleźć coś, co pomoże nam zyskać nad nim jakąś przewagę. Jakąkolwiek.

– Dobrze mówi! – pochwalił Evaha Mavaren. – A potem przyciśniemy go jak trzeba.

Jakub skinął głową, a Kellan ruszył w stronę wyjścia, już odtwarzając od końca wyuczone słowa. Podeszedł do wyjścia, wszedł do korytarza... A raczej chciał wejść, bo rozległ się cichy trzask, chłopiec odleciał kilka kroków do tyłu i legł na gładkim podłożu.

Jakub zaraz pośpieszył w jego stronę, sprawdził, czy Grzywie nic się nie stało, a potem zdjął rękawiczkę i wyciągnął dłoń w stronę wyjścia. Szedł powoli krok za krokiem, aż wreszcie się zatrzymał, cofnął gwałtownie rękę.

– Postawił tutaj taką samą ścianę, jak ta, którą odgrodził się od nas – powiadomił towarzyszy.

Evah również zbliżył się do przejścia i w jego pobliżu poczuł mrowienie na skórze. Nie zamierzał sprawdzać, czy zdoła pokonać niewidzialny mur.

– Niech to biesy porwą... – jęknął w rozpacz. – Dawno nie siedziałem w zamknięciu. A teraz w dodatku nie ma na zewnątrz żadnego Grzywy, który mógłby nam pomóc...

Odpowiedziało mu ponure milczenie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO